

BREJDYGANT NAPISAŁ — KOLEJNY PO SZADZI —
NIEODKŁADALNY THRILLER. POLECAM!

MACIEJ STUHR



I G O R

BREJDYGANT

SPLĄTANIE

znak
CRIME

I G O R

BREJDYGANT

SPLĄTANIE

Wydawnictwo Znak
Kraków 2023

*Złudzenia człowieka są częścią człowieka, tak jak i ciało jego,
i kości, i pamięć.*

William Faulkner, *Absalom, Absalom...*

Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy tu wchodziście.

Dante Alighieri, *Boska komedia*

1. LIST

Dzwony biły już jakiś czas.

Mijała właśnie dwunasta w południe, czyli jedna z tych godzin, które dzwony anonsują najdłużej. Pomyślał, że choć ich głównym zadaniem od wieków było informowanie ludzi o czasie – w końcu przez setki lat kościół był jedynym zegarkiem, jaki mieli do dyspozycji mieszkańcy – to nie było to zadanie jedyne. Sumienie i powinność. Tak, to o tym dzwony przypominały ludziom dziesiątki razy w ciągu doby, setki w miesiącu, tysiące razy rokrocznie. Interpretacja była jak zawsze i jak ze wszystkim dwojaka. Czy działo się tak ku dobru jednostki, czy ku dobru Kościoła?

– No hej, jesteście nareszcie!

Młoda blondynka o uśmiechu delikatnym jak woal wstała od stolika, żeby przywitać się z drugą, wyższą od siebie i szczuplejszą brunetką o włosach krótkich oraz rysach ostrych i nienawykłych do uśmiechu.

– Przepraszam, sprawy – usprawiedliwiła się brunetka. – Ciągłe te cholerne sprawy.

– Wiem, trochę mi cię żal, a trochę, jak zawsze, ci zazdrozczę.

Usiadły w przykawiarnianym ogródku. Słońce paliło od rana, ale teraz, w związku z obwieszczonym właśnie południem, temperatura zbliżała się do swojej dziennej kulminacji.

– Czego się napijesz? – zapytała blondynka, gdy sekundy później przy ich stoliku wyrósł nagle kelner przepasany ciemnym fartuchem. – Kawy?

– Jeśli tak, to tylko mrożonej. A może macie państwo cold brew? – Brunetka spojrzała na kelnera, który był młody, a do tego miał okulary w bardzo grubych oprawkach i aparat na zębach.

– Owszem.

Zuzanna, lat trzydzieści cztery, uśmiechnęła się nieznacznie, po czym pokiwała głową.

– To ja bardzo chętnie.

Kiedy kelner poszedł, panie przyglądały się chwilę sobie, tak jakby nie widziały się od dawna i teraz chciały chociaż z grubsza ocenić efekty działania czasu.

– Ile myśmy się nie widziały? – zapytała w końcu Karolina, blondynka.

– Chyba ze dwa miesiące – odpowiedziała Zuza po namyśle.

– Kupa czasu. – Karolina się uśmiechnęła.

Ileż to uderzeń kościelnych dzwonów? – pomyślał mężczyzna. Tak naprawdę patrząc na tę sprawę przez pryzmat wszechświata, a nawet przez pryzmat jego nielicznych towarzyskich relacji, dwa miesiące to wcale nie było długo. Co innego jednak dla tych kobiet, przyjaciółek ze szkolnej ławy, młodych, atrakcyjnych i aktywnych.

– I co u ciebie? Opowiadaj! – Z zamyślenia wyrwał go głos brunetki. – Coś chciałaś mi powiedzieć.

– Pokazać raczej, ale to zaraz, to nie takie ważne. Trochę tego użyłam, żeby znaleźć powód dla naszego spotkania. Stęskniłam się i tyle. Tylko robota, wciąż robota. – Karolina znowu się uśmiechnęła. – Swoją drogą świetnie nam idzie z tą aplikacją, byliśmy przez moment nawet w topce Apple Store.

– No to gratki, wielkie gratki. Mówiłam ci, że to będzie hit. Czytałam wywiad z tobą w „Forbesie”. A pieniądze? Płyną szerokim strumieniem? – Zuza była naprawdę szczęśliwa szczęściem przyjaciółki.

– Na razie pokrywają inwestycje, ale jest już trochę górką, odbijam się od dna. – Karolina pokiwała głową. – A u ciebie jak? Czytam, oglądam, sukcesy gonią sukcesy, jesteś chyba najpopularniejszą policjantką w Polsce.

– I to nie jest wcale takie dobre. – Z twarzy Zuzy zniknął uśmiech.

– Koledzy zazdroszczą?

– To też, ale bardziej to, że policjant nie powinien być popularny. Im mniej wiadomo o tym, jak wygląda, tym lepiej. Operacyjnie jestem przez media właściwie spalona, na szczęście i tak bardziej już robię w dochodzeniach, zza biurka działam, nie na ulicy, choć bywa, że nagle: „A pani to nie jest przypadkiem...?”. Wiesz, o co chodzi?

– Tak, domyślam się. Na szczęście popularność, jeśli jej nie podkrećasz cały czas, i tak zaraz gaśnie. Więc jak nie zagrasz w kolejnych odcinkach, jak znikniesz na jakiś czas sprzed kamer, to szybko zapomną. Mogłabyś też coś zmienić w wyglądzie, chociaż osobiście wolałabym, żebyś tego nie robiła.

– Czyli?

– Czyli podobasz mi się taka, jaka jesteś. – Karolina zaśmiała się, ale widać było, że myśli ma zajęte czym innym.

– Wiesz dobrze, że nie o to pytam. Czyli z czym tak naprawdę do mnie przychodzisz, siostrze?

Karolina milczała przez chwilę, przyglądając się Zuzie. Tak jakby wahała się, czy na pewno chce to wyciągać. Może jeśli tego nie zrobi, to zniknie samo z siebie. Jeżeli natomiast zacznie w tym grzebać, będzie musiała się z tym borykać przez Bóg wie jak długo.

– Temat nie zniknie, nawet jeśli go przemilczysz. – Zuza jakby czytała w jej myślach.

Utrzymywały kontakt od siódmego roku życia. Najpierw chodziły razem do podstawówki, potem do gimnazjum. Długość trwania i intensywność ich przyjaźni powodowały, że znały się jak łyse konie. Karolina sięgnęła do pomarańczowej

torebki Longchamp, przy okazji przypominając sobie, że kiedy kupowała ją w promocji, drugą taką samą, tylko zieloną, kupiła Zuzie.

– Co to? – Zuzia popatrzyła na białą, wygniecioną kopertę, którą podała jej przyjaciółka.

– List. Anonim. W skrzynce był. Może powinnam go zawinąć w plastik? Wtedy zachowałyby się jakieś odciski, ślady DNA czy jak wy to nazywacie. Teraz już raczej nic nie ma, za długo to miętołę.

Przyjaciółka najpierw przyjrzała się kopercie z dużą uwagą. Rzeczywiście na odciski czy jakiegokolwiek inne ślady nie było już raczej co liczyć i dlatego bez żenady obracała kopertę w dłoniach. Szukała na niej jednak czegoś innego, jakichś śladów pisma, może kleju na rozdartym przez Karolinę spojeniu koperty.

– A skąd wiesz, że to w ogóle do ciebie? Nie ma żadnego adresu? – zapytała po chwili.

– Mówiłam już, że ktoś go wrzucił do mojej skrzynki, poza tym treść... – wyjaśniła Karolina.

– A kiedy to było? To znaczy, kiedy to do ciebie trafiło? – Zuzia powoli rozwarła kopertę i zajrzała do środka.

– Jakies dziesięć dni, może dwa tygodnie temu. – Zuzia nie patrzyła teraz na Karolinę.

Karolina nie miała wiedzy kryminalistycznej, ale i bez niej zdawała sobie doskonale sprawę, że czas nie działał w tym przypadku na jej korzyść.

– Czemu pokazujesz mi to dopiero teraz? – Policjantka zdziwiła się trochę pro forma, nie oczekując logicznych i wyczerpujących wyjaśnień.

– Nie wiem... w sumie to... właściwie nie wiem. – Odpowiedź Karoliny nie zaskoczyła jej przesadnie.

Po sprawdzeniu wnętrza koperty Zuzia w końcu wyciągnęła zawartość, czyli kartkę formatu A4 z tekstem wydrukowanym na zwyczajnej drukarce laserowej.

Nie znasz mnie, a kiedy poznasz, będzie już za późno. Ja przyglądam Ci się od dawna. Wiem już niemało i co dzień więcej. Nawet o oknie życia. Grzechy

twojej młodości w końcu muszą się zemścić. Może mnie znajdziesz, zanim nadejdzie koniec. Jeśli nie, to wezmę Cię najpierw, a potem oddam nicości.

Zuza popatrzyła na Karolinę przez moment, po czym raz jeszcze przeczytała cały tekst. Teraz jednak zrobiła to już wolniej, starając się oddzielać zdania od siebie, żeby wyszukać ich ewentualne ukryte znaczenia.

– Nie wiem – powiedziała w końcu nagle Zuza i sama trochę się nawet zdziwiła.

– Nie wiesz? – Karolina spojrzała na nią, a potem na list, który Zuza wciąż trzymała w dłoniach, tak jakby chciała przeczytać go jeszcze raz, a może wiele razy. – Czego nie wiesz?

– Nie wiem, co o tym myśleć. – Policjantka nie patrzyła na nią, jej wzrok błądził w przestrzeni, jak gdyby tam próbowała za wszelką cenę znaleźć odpowiedź.

Po chwili zaczęła składać kartkę.

– Pozwolisz, że to wezmę? – Teraz zerknęła na przyjaciółkę.

– Jasne. Nie będzie mi tego brakowało.

– Dam to technikom, raczej nic na tym nie znajdą, ale a nuż. – Zuza pokręciła głową. – Muszę to też przeczytać kilka razy, może dam naszej profilerce, chociaż... – Zamyśliła się na moment, po czym popatrzyła na Karolinę z uśmiechem i dokończyła: – Dziewięćdziesiąt pięć procent takich listów, może nawet więcej, to tylko listy. Piszą je ludzie, najczęściej faceci, którzy żyją w permanentnym lęku, nie są w stanie podjąć rozmowy z drugim człowiekiem, nierzadko mają jakieś zaburzenia w zakresie dojrzałości emocjonalnej, słowem: wylęknieni, pryszczaci, dla których wyjście z domu jest wyzwaniem. Więc groźni nie są, z reguły napisanie takiego listu to wszystko, na co są w stanie się zdobyć. Później siedzą w domu cali w lęku, że ktoś dojdzie, że to oni.

– Tylko to „okno życia”, co? – Karolina spojrzała na przyjaciółkę, wiedząc, że Zuza doskonale zrozumie, o co pyta.

– Tak, to jest trochę dziwne. – Policjantka pokiwała głową.

– A te pozostałe pięć procent? – Karolina po chwili wróciła do porzuconego wątku.

– Wśród nich są różni, tacy, którzy piszą kolejne listy i na tym się kończy, ale też tacy... Tacy, którzy nie tylko piszą, ale też działają. Gdyby on rekrutował się z tego promila, to pewnie by nam się teraz przyglądał. – Zuza po raz kolejny uśmiechnęła się do koleżanki.

Podobał mu się ten uśmiech, zdecydowanie jednak wolał niepokój, który widział w oczach blondynki. W ogóle wolał blondynkę, choć tak naprawdę poznał ją jako drugą, a doprowadził go do niej, w jego przekonaniu, nie kto inny jak owa śmiejąca się teraz policjantka. Lubił, kiedy się spotykały. Właśnie ta konfiguracja: ofiara i wybitna policjantka śledcza tuż obok niej. Zestaw w jego mniemaniu wręcz idealny. Jakby ktoś wymyślił go specjalnie pod niego.

Dalsza rozmowa między nimi prawdopodobnie nie wniesie już za wiele nowego do sprawy, ale delektował się też przecież samym słuchaniem ich głosów. Głosu Karoliny szczególnie.

– Tylko skąd w ogóle się biorą takie zjeby? – zapytała teraz przyjaciółkę, nie oczekując zresztą, że ta jej odpowie.

– To przeważnie splot wielu niefortunnych zdarzeń. – Zuza schowała kopertę do torebki.

„Niefortunne zdarzenia”. Marek uśmiechnął się do swoich myśli. Tak, było tego trochę. Ale to wszystko już nieważne. Ważne było to, że znajdował się tu i teraz, że słuchał tych dwóch dziewczyn, z których jedną już niedługo zamierzał zabić... I ta perspektywa bardzo go cieszyła.

To nie miało początku, w każdym razie on nie umiał go zlokalizować, więc bez sensu byłoby nawet zastanawiać się nad tym, od czego się zaczęło. Przecież przez prawie pięćdziesiąt lat swojego życia nigdy nie posunął się do czegoś takiego. Ba, nigdy wcześniej coś takiego nie przeszło mu nawet przez myśl. Gdyby jeszcze

opuścił go w końcu ten cholerny ból głowy. Sięgnął po schowaną w wewnętrznej kieszeni butelkę z płynem, który choć na jakiś czas uśmierzał ból. Po chwili dał się zepchnąć w krainę wspomnień.

– To koniec. – Kobieta patrzyła na niego spokojnie, ale on czuł, że gdzieś pod spodem kipi tak mocno, że aż się tego przestraszył.

– Oła, przestań, puść tę walizkę, daj mi ją. – Marek, wyciągając rękę w stronę trzymanej przez nią plastikowej rączki, spróbował dać odpór.

– Zostaw – odpowiedziała i odsunęła rękę z walizką, po czym spojrzała w stronę wąskiego korytarza rozświetlonego na końcu oknem niewielkiego pokoju. – Adaś, chodź, wychodzimy!

– Jak Adaś, gdzie wychodzicie, po co to wszystko? – Marek próbował oponować, ale w głębi duszy wiedział doskonale, że do niczego to nie doprowadzi, nie tym razem.

– Po co to wszystko? Spierdoliłeś mi życie, a dziś stawiam granicę. Koniec! Jeszcze może trochę mi zostało, nie dam sobie spierdolić tej reszty!

– Spierdoliłem... ale jak, czym, przecież ja nic nie zrobiłem? – Marek, już kończąc to zdanie, wiedział, że się wystawia na strzał.

– Dokładnie... Ty nic nie zrobiłeś. Od piętnastu lat, nic ze sobą, z nami, z czymkolwiek nie zrobiłeś i to właśnie spierdoliło mi życie. – Oła nie mogła nie wykorzystać takiej okazji.

Mógł jeszcze coś mówić, oponować, może nawet trochę się z nią poszarpać. Kto wie, może w jakimś sensie na to czekała. Mógł, ale nie miał siły, a może motywacji. Jakiś czas zastanawiał się nawet, że być może jest na coś chory, może na poczucie miałości własnego życia.

Pracował od lat, a właściwie odkąd sięgał pamięcią, w Ministerstwie Kultury i Dziedzictwa Narodowego, gdzie jako pracownik jednego z departamentów zajmował się przydziałami środków dla muzeów w całym kraju. Przydzielał więc środki i czekał nie wiadomo nawet na co, i to też składało się na ową miałość.

– I? – zapytała Ola jakiś miesiąc wcześniej, czyli wtedy, gdy już była na krawędzi. Ale może wtedy istniał jeszcze cień szansy.

– I... Wojtkowiak dostał – odpowiedział zdawkowo.

– Co dostał? – Nie znosiła tej jego zdawkowości.

– No... dostał to stanowisko – bąknął i ruszył do swojego pokoju, żeby jak co dzień przysiąść na wersalce, schylić się, rozwiązać sznurowadła i zdjąć buty, które go piły.

– Nie wierzę. – Pokręciła głową i poszła za nim.

Kiedy usiadł do rytualnego rozwiązywania za ciasnych butów, stała nad nim jak wyrocznia, jak pomnik jego nigdy niekończącego się upokorzenia i nic już nie mówiła. On też nie mówił, bo cóż można było powiedzieć? Miał dostać awans, wszyscy zapewniali go o tym od miesiący, mimo że on nawet o to przesadnie się nie dopytywał. Może zresztą dlatego, że tego nie robił? Może Wojtkowiak awansował, bo się dopytywał? Ktoś mu kiedyś próbował uświadomić, że trzeba okazywać zainteresowanie, udowodniać innym, jak bardzo ci zależy. Co miał zrobić, skoro dla niego to było namolnością?

Te cztery miesiące liczone od momentu odejścia Oli całkiem zmieniły jego życie. Czemu wcześniej był taki? I czemu teraz jest już zupełnie inny?

– A co u ciebie poza tym? – Pytanie Karoliny usłyszane w wetkniętej w ucho słuchawce wyrwało go z zamyślenia. – Poza tym, że idziesz jak burza.

– To właśnie jest główny problem. – Zuza pokiwała głową.

– Ładna, inteligentna dziewczyna radzi sobie w świecie z definicji od zawsze przynależnym silnym facetom. Nic dziwnego, że cię wyłowili. No i jeszcze twoje bio.

– Do tego na szczęście się nie dogrzebali. – Zuza się uśmiechnęła, ale po chwili namysłu dodała już bez uśmiechu: – Jednak obawiam się, że się dogrzebią.

Ich biografie w pewnym fragmencie toczyły się równolegle, choć poza tym nie miały zbyt wielu wspólnych punktów. Ich światy zeszły się w jakimś momencie, ale tylko dlatego, że Karolina schodziła po drabinie społecznego statusu, a jej

przyjaciółka w tym samym czasie próbowała się za wszelką cenę ze społecznych dołów wydostać. Ostatnie klasy szkoły podstawowej na warszawskiej Pradze, siermiężna końcówka lat dziewięćdziesiątych, to wtedy i to tam się zaprzyjaźniły.

Karolina wyrzucona z dwóch poprzednich placówek oświatowych trafiła do tej o najniższym możliwym statusie. Stąd spaść niżej już się na dało. Tutaj musiała się zatrzymać, dalej były już tylko ośrodki dla trudnej młodzieży, a ona wtedy jeszcze miała na tyle instynktu samozachowawczego i w ogóle świadomości czegokolwiek, by wiedzieć, że tam wylądować nie chce. Zuza tymczasem do szkoły, w której się spotkały, chodziła, bo tak wynikało z rejonizacji. Ona po prostu należała do świata, z którego owa szkoła wyrastała, trochę jak trawa spomiędzy betonowych płyt chodnika.

Zuza miała klasyczny praski życiorys. Jej mama przyjechała gdzieś spod Białegostoku w poszukiwaniu pracy i jutra lepszego niż w wiejskiej chacie rodziców, pracowała jako kelnerka, następnie jako ekspedientka w sklepie na Inżynierskiej. To tam wypatrzył ją przy okazji nabywania napojów wysokokowych jej przyszły mąż oraz ojciec Zuzy, prawdopodobnie Zygmunt. Prawdopodobnie, bo jak się później okazało, dorobił się na przestrzeni swojego niezbyt długiego życia bardzo wielu aliasów. Małżeństwo, które rozpoczęło się już w kilka miesięcy po pierwszym spotkaniu, było tyleż burzliwe, co mało udane i, na szczęście dla Grażyny i dla małej Zuzy – także krótkotrwałe. Wprawdzie związek nigdy nie został formalnie rozwiązany, ale najpierw – po mniej więcej roku od urodzenia dziewczynki – Zygmunt zniknął, a małżeństwo zakończyła ostatecznie wiadomość o jego śmierci, w której, pewnie dla świętego spokoju, policja nie dopatrzyła się udziału osób trzecich.

Informacja o tym zdarzeniu dotarła do Grażyny, kiedy Zuza miała mniej więcej osiem lat. Czy ją zasmuciła? Pewno trochę tak. Z drugiej strony, gdy wiadomość nadeszła, Grażyna sama była już niestety na tyle odklejona od rzeczywistości przez chroniczne zażywanie środków zmieniających świadomość, że mogła w pełni nie zrealizować sześćoetapowego cyklu pogodzenia się z odejściem bliskiej osoby. W końcu ją też Praga pochłonęła.

Jakiś czas później Zuza poznała Karolinę.

Marek, choć uwielbiał słuchać głosu Karoliny, był już lekko znużony rozmową. Zresztą mikropluskwy podsłuchowe miał zainstalowane nie tylko w szwie jej torebki, ale w ogóle w większości szwów jej życia, więc mógł i co więcej słuchał jej na co dzień, i to w ciekawszych sytuacjach. Podsłuchy były wszędzie – w domu, w pracy, nawet w samochodzie.

Smykałkę do technikaliów miał od zawsze, umiejętność pozostawiania niewidocznym dla innych wykształcił u siebie przez lata w stopniu tak zaawansowanym, że kosztowało go to zmarnowanie poprzedniej edycji własnego życia, utratę żony, szacunku do siebie i tych wszystkich innych rzeczy, które dają ludziom paliwo do istnienia.

Jak to jednak czasami bywa, teraz to, co było jego wadą, okazało się całkiem przydatną zaletą. Niewidoczność, umiejętności techniczne, dodatkowo podszlifowane jeszcze dzięki filmikom z YouTube'a, a co najważniejsze totalna ostrożność. Tak, Marek był w życiu zdecydowanie zbyt ostrożny, od zawsze wszędzie i we wszystkim widział potencjalne zagrożenia. Był człowiekiem, który spacerując w bezwietrzny dzień, obliczał trajektorię łamania się drzew stojących przy trasie jego przejścia, przyglądał się dachom i balkonom nad głową. Jeśli ktoś podchodził do niego na ulicy albo nawet w pracy, zawsze stanowił potencjalne źródło zagrożenia.

A kim właściwie stał się teraz? Czy dałoby się jakoś nazwać jego obecną aktywność? Co robił? Osaczał dziewczynę, żeby w efekcie... I jak do tego doszło? Jak podrzędny urzędnik ministerstwa, który nigdy nie doczekał się awansu, jak subiekt w zaręczawkach stał się tym, kim był obecnie? Co musiało się wydarzyć, żeby mogło do tego dojść?

Wtedy nie dostał awansu, choć tym razem miało się to odbyć bez najmniejszych problemów, nic nie powinno już stanąć na drodze rozwoju jego kariery, która do tej pory sprowadzała się do tego, że od ćwierćwiecza miał to samo stanowisko i odkąd usiadł za tym biurkiem, to właściwie od niego nie wstał. Czemu

ominął go ten awans? Najkrócej rzecz ujmując, pewno dlatego, że komuś zależało na tym bardziej. Bardziej do tego stopnia, że był gotów podłożyć świnie, zdyskredytować konkurencję, oczernić, zniszczyć wszystko, co stało mu na drodze. Taki świat. Powoli stawało się tak, że człowiek, który nie potrafił iść przed siebie po trupach, właściwie nie kwalifikował się do istnienia. On w swoim mniemaniu miał oczywiście wszystkie kwalifikacje potrzebne, żeby awansować, tyle tylko że na przestrzeni jego życia straciły one na znaczeniu, a nawet stały się przeszkodą. Słowem, nie zrobił kariery, bo był na nią zbyt kulturalny. Chociaż pracował w resorcie, który nominalnie kulturą miał się zajmować, to niestety również tutaj walkę o stanowisko wygrał cham.

Kiedy Ola odeszła, zabierając ze sobą kilka walizek i syna, Marek na jakiś czas totalnie zapadł się w siebie. Wydawało mu się nawet chwilami, że gdzieś na nieodległym horyzoncie majaczy już jego koniec.

Ale nie, nie myślał o tym, żeby się zabić, na to był zdecydowanie zbyt słaby.

Chodził więc do pracy, siadał za tym samym biurkiem i powtarzał te same czynności, które wykonywał od ćwierćwiecza, a dzięki temu, że wykonywał je tak długo, mógł wejść w tryb kompletnego automatyzmu. Dni mijały, a on nie wiedział nawet, jakie papiery i komu zaniósł do podpisu, kto dostał dotację, a kto się odwoływał. Był tam, a jakby go nie było. Po przyjściu do domu włączał telewizor, wyciągał kupioną wcześniej małąkę, codziennie dla niepoznaki w innym sklepie, i zatapiał się w niebycie skakania po kanałach. Tak trwało to z górą trzy miesiące.

Każdy dzień potęgował jego zapaść, alkohol, choć pity może nie w gargantuicznych ilościach, to jednak przez regularność spożywania zaczynał dopełniać dzieła atrofii. Depresja, tak to się chyba fachowo nazywa. Marek trochę krzywo uśmiechnął się do swoich wspomnień.

Tak, nicość pochłonęłaby go prawdopodobnie do końca i z kretesem, ale wtedy właśnie ujrzał ją po raz pierwszy.

Zuza ucałowała przyjaciółkę serdecznie w oba policzki. Spotkanie najwyraźniej dobiegło końca. Marek nie uczestniczył w nim w pełni, bo chwilę wcześniej wyjął

z uszu słuchawki i przestał przyglądać się kobietom przez swoją małą lunetkę, jednak zaistniały teraz ruch sprawił, że z powrotem je wetknął.

Z doświadczenia wszystkich poprzednich spotkań, w których brał udział jako ich zły duch, wiedział, że teraz, na koniec, panie będą ustalały szczegóły kolejnego, a to akurat żywo go interesowało.

– W przyszły piątek? – zgodnie z oczekiwaniem zapytała Karolina.

– Myślę, że tak. Może jakieś kino, premiery będą. Sprawdzę. – Zuza się uśmiechnęła.

– Ale jak coś, to jeszcze się zdzwonimy.

Zdzwonią się, zawsze się zdzwaniają. To też usłyszy, bo nawet jeśli nie podsłuchiwał na bieżąco, wszystkie rozmowy Karoliny zgrywały się na dysk. Przesłuchiwał je wieczorami.

2. PRZEPOCZWARZENIE

Jego życie zmieniło się teraz nie do poznania. Nadal chodził do ministerstwa, żeby codziennie zasiadać za biurkiem. Nadal wprawdzie nie za bardzo wiedział, co i gdzie nosi, a przede wszystkim po co, ale obecnie pracę tę traktował już jako alibi, może też trochę jako źródło zasilenia konta, tym bardziej że wydatków nie brakowało.

Wstał z ławki schowanej między krzakami w pobliskim parku i ruszył do samochodu. Zaraz zobaczy ją znowu. Nie musiał jej nawet śledzić, doskonale znał rozkład dnia, a nawet jeśli pojawiały się w nim jakieś modyfikacje, to o nich też wiedział zawczasu. W końcu wszystko najczęściej uzgadnia się najpierw przez telefon, a jeżeli nie przez telefon, to mailem albo esemesem, a do tych wszystkich elementów jej osobistej codzienności miał wgląd od dawna. Czasami używała także WhatsAppa lub Telegramu. Wtedy było gorzej, bo aż tak głęboko jego inwigilacja nie sięgała, ale przy ilorazie inteligencji powyżej stu trzydziestu punktów można takie tajemnice rozwikłać, asocjując elementy znane, można wypełnić luki w czasoprzestrzeni. Można, a on lubił to robić szczególnie.

Do śledzenia ofiary miał kilka kupionych za grosze starych samochodowych strucli. Jeśli uznawał, że jakimś jeździ za nią już za długo, to po prostu przesiadał się do innego, a tamten odstawiał na jakiś czas albo sprzedawał z niewielką stratą. Ogólnie jego życie ze stanu absolutnej atrofii woli, nieomal katatonii, przeszło w ciągu ostatnich miesięcy w fazę hiperaktywną. Jedynie w robocie starał się wciąż utrzymywać na podobnym poziomie osobowościowej dysfunkcji, choć nawet tam niektórym ze współpracowników nie umknęło to, że częściej zmienia koszule

i marynarki, że chodzi do fryzjera i ogólnie bardziej dba o higienę, a do tego nawet czasami potrafi się uśmiechnąć.

Jednak żeby znaleźć się na tym etapie, żeby dać się porwać emocjom i wręcz obsesyjnie zafascynować się Karoliną, najpierw musiała pojawić się Zuza. Jak to było dokładnie? Próbował sobie przypomnieć, tak jakby to miało jakiegokolwiek znaczenie. Ważne, że jakoś to było i że w jego życiu zjawiała się komisarz Zuzanna Walicka, która właśnie wtedy doprowadziła do zatrzymania i postawienia zarzutów człowiekowi przez dwa lata terroryzującemu kobiety na Górnym Śląsku.

Mężczyzna ten mordował i gwałcił kobiety, dokładnie w tej kolejności, a następnie maszynką wygalał im pasek włosów na długości całej czaszki. Z tego powodu, w ten nie do końca może empatyczny sposób, najpierw ścigająca go policja, a potem ogół społeczeństwa ochrzcili go mianem „Skina”. Z telewizyjnego programu Marek dowiedział się, że początkowo poszukiwał go wydział zabójstw i terroru kryminalnego Katowickiej Komendy Wojewódzkiej, jednak po roku bez efektów ze strony policji i niestety z efektami w postaci kolejnych czterech ofiar ze strony zabójcy do współpracy z wojewódzkimi ze Śląska dołączyło CBŚ, a z jego ramienia pani komisarz Walicka.

To ona, współpracując z profilerami i najlepszym europejskim laboratorium kryminalistycznym z Wielkiej Brytanii, doszła do tego, kim był seryjny zabójca kobiet z Bytomia. Wielki sukces, świetna śledcza i...

Czy od razu, już wtedy przyszło Markowi do głowy wszystko to, co realizował później z takim mozołem i jednocześnie entuzjazmem?

Trudno mu to w tej chwili ocenić. Nie do końca pamięta, ale jedno jest pewne. Zaraz po zakończeniu programu wstał od stołu, wylał resztkę wódki do zlewu, posprzątał całe mieszkanie i na koniec o trzeciej nad ranem wziął pierwszy prysznic od wielu dni.

Tak, na pewno to był punkt graniczny jego przygody z samym sobą.

Wtedy zrozumiał, że do tej pory nic się w jego życiu nie wydarzyło, bo nic go tak naprawdę nie zainteresowało, a to dlatego, że nie pojawiła się na jego drodze

jeszcze żadna rzecz ani sprawa, którą potraktowałby jako wystarczające dla siebie wyzwanie.

Tak to rozumiał, ale czy tak było rzeczywiście, to zupełnie inna historia.

Do tego były jeszcze te cholerne bóle głowy, które od tamtej pory zaczął zwalczać popijany regularnie płynem – sam już nie pamiętał, w jaki sposób go odkrył.

W każdym razie czekała go jeszcze bardzo daleka droga do prawdy i samowiedzy.

Pod domem Karoliny na warszawskiej Woli, w tej jej części, która jeszcze dziesięć lat temu była dżunglą postindustrialnych ruin, a dziś należała do najdroższych i najbardziej snobistycznych rejonów mieszkalnych miasta, znalazł się kwadrans przed nią. Kamienicę, która stanowiła zresztą w swoim czasie awangardę, bo stanęła przy ulicy Jaktorowskiej jako jedna z pierwszych, znał już bardzo dobrze i to nie tylko z zewnątrz, ale też i od środka, ponieważ z pomocą kilku różnych agencji nieruchomości zdążył zwiedzić przez ostatni miesiąc wiele mieszkań przeznaczonych pod wynajem.

W końcu jedno wybrał, wpłacił zaliczkę za pierwszy miesiąc i teraz czekał tylko na odpowiedni moment, by się tu wprowadzić. Główna zaleta wybranego lokalu polegała na tym, że mieścił się na tym samym piętrze co apartament Karoliny. Cała procedura nie była jednak prosta. Jako sąsiad Marek chciał się zaprezentować Karolinie w zupełnie innej wersji, niż prezentował się do tej pory kolegom z pracy w ministerstwie oraz sąsiadom w bloku na Okęciu. A przecież kolegom z pracy również nie chciał się nagle pokazać jako zupełnie inny człowiek. Opcją byłaby ewentualnie zmiana miejsca zatrudnienia, ale tego również nie zamierzał robić, gdyż uważał, że ćwierć wieku za ministerialnym biurkiem to wręcz idealna przykrywka na wypadek, gdyby ktoś, a konkretnie oczywiście Zuza, zaczął się kiedykolwiek do niego zbliżać w swoim policyjnym dochodzeniu.

Nowy Marek lubił przewidywać wszystkie możliwe scenariusze rozwoju wydarzeń. Drzewa walące się na ulicę podczas bezwietrznej pogody, a także inne

absolutnie nieprzewidziane zagrożenia dla życia i mienia były w końcu jego specjalnością. Jak zatem zmieniać się, ale nie na tyle, by dla kogoś, kto dostrzeże ową metamorfozę, okazała się ona niepokojąca? Sporo czasu zajęło mu wypracowanie rozwiązania. W końcu był bliski sukcesu, a to oznaczało, że był też bliski wprowadzenia się do mieszkania sąsiadującego przez ścianę z apartamentem Karoliny.

Skąd w ogóle Karolina? Dlaczego nie po prostu i nie od razu Zuza, skoro – jak mu się zdawało – to ona pierwsza zwróciła wtedy jego uwagę i to ona de facto wyrwała go z niebytu, ściągnęła znad krawędzi pustki, czyli prawdopodobnie też uratowała od rychłej śmierci albo co najmniej obłądu? Przynajmniej z dwóch powodów, z których jeden był absolutnie racjonalny, a drugi już niekoniecznie.

Po pierwsze, nie mógł przecież zacząć się na policjantkę, która zwróciła jego uwagę głównie z powodu swojej skuteczności, z zamiarem jej wyeliminowania. Kto wówczas by go ścigał, kto stałby się partnerem w rozgrywce? Zresztą nawet zanim doszłoby do ostateczności, to jeśliby zaczął ją osaczać, na pewno nie pozwolono by jej prowadzić sprawy, czyli wróc do punkt pierwszy. Markowi zaś przede wszystkim w całej tej zabawie zależało na tym, by stanąć do walki z tą najlepszą i żeby ją pokonać, czyli innymi słowy nie dać jej się namierzyć, nigdy, ani przed tym, ani po tym, jak wyeliminuje już swoją ofiarę.

Drugi powód był prozaiczny, choć rzeczywiście mniej racjonalny. Karolina Milewska pociągała go każdym włókmem swego ciała. Dlatego Marek chciał ścigać się z Zuzą, a z Karoliną – zgodnie z tym, co napisał w liście – pragnął najpierw być, by potem ją unicestwić. Jak? Wiele o tym myślał, koncepcje się zmieniały, ale w końcu zdecydował, że najpierw sparaliżuje ją nabytym już jakiś czas temu w dark webie pavulonem. Specyfika jego działania sprowadza się do tego, że podobnie jak starsza znacznie i naturalna, a nie pozyskiwana chemicznie kurara, lek ten powoduje paraliż i kompletne zwiotczenie mięśni, w najmniejszym nawet stopniu nie upośledzając jednocześnie funkcji poznawczych. Człowiek nie może zatem nic zrobić, ale równocześnie jest totalnie świadomy tego, co się z nim dzieje. Substancja paraliżuje również mięśnie odpowiedzialne za oddychanie, jeśli zatem

podano jej zbyt dużo i nie zaintubowano pacjenta od razu, to umiera on, dusząc się w męczarniach. Marek nie chciał jednak, by Karolina się udusiła, to byłaby śmierć zbyt prosta i trwająca zbyt krótko. Dlatego zaraz po podaniu specyfiku zamierzał naciąć jej powłoki skórne w miejscach, w których przebiegały żyły, przeciąć same naczynia krwionośne, a następnie mówić do niej i uprawiać z nią seks aż do momentu, kiedy zgaśnie.

Czym zamierzał ekscytować się po zabiciu dziewczyny, jaki miał być kolejny etap jego przygody, tego na razie nie wiedział. Na pewno po Karolinie będzie musiał przynajmniej przez jakiś czas bawić się z Zuzą w kotka i myszkę, zwodzić ją, nakierowywać w inną stronę, zacierać ślady, prowadzić grę. Ta perspektywa, choć nie mogła się równać stopniem ekscytacji z tym, co spodziewał się osiągnąć w momencie samego unicestwiania ofiary, być może mogła się przydać jako swoisty wygaszacz rozpalonych emocji.

Taki szczególny sposób na przejście etapu odstawienia – uśmiechnął się chłodno do swoich myśli.

– Dzień dobry, panie Marku. – Drzwi otworzyła mu atrakcyjna kobieta w wieku na oko czterdziestu pięciu lat, pani Bożena. – Zapraszam.

Pani Bożena wraz z konkubentem za kilka dni miała wyjechać na placówkę do jakiegoś odległego, egzotycznego kraju, którego nazwy nie pamiętał. Był u niej wcześniej już dwa razy. To właśnie jej mieszkanie, które w związku z wyjazdem zamierzała wynająć na co najmniej sześć miesięcy, sąsiadowało przez ścianę z apartamentem Karoliny.

– Napije się pan czegoś, herbaty, kawy, może coli? – Bożena poprowadziła go do obszernego salonu, którego okna wychodziły na ulicę i na znajdujący się po przeciwległej stronie nowoczesny apartamentowiec.

– Nie, dziękuję, pani Bożeno, podpiszę tylko, zostawię pani tę wpłatę za pierwszy miesiąc i będę leciał. – Marek sięgnął do wewnętrznej kieszeni dżinsowej kurtki i wyciągnął z niej białą, pękatą kopertę.

– Mógł pan przelać. – Kobieta uśmiechnęła się.

Mógł oczywiście przelać, ale wolał tego nie robić, bo nie chciał, żeby gdziekolwiek pojawiły się jakiegokolwiek ślady tego, że wynajął to mieszkanie. Z wcześniejszych rozmów z Bożeną wyczuł, że choć starała się być legalistką, to robiła to bardziej ze względu na niego i w obawie, że może to on woli, by tak sprawy wyglądały, a nie z powodu, że sama miała do tego szczególną skłonność. Dlatego gotówka i niezarejestrowanie umowy, którą zresztą na wszelki wypadek zawarł na lewe nazwisko, były na rękę zarówno jemu, jak i jej. Słowem: szara strefa, w jego przypadku rozszerzona jeszcze na inne zagadnienia, choć tego Bożena nie tylko wiedzieć nie musiała, ale wręcz nie mogła.

– Mogłem, jednak myślę, że tak będzie wygodniej dla nas obojga. – Uśmiechnął się rozbrajająco.

– To może coś mocniejszego? – Bożena do wcześniejszego miłego uśmiechu dosypała teraz odrobinę filuternej zalotności. – Wzniesiemy toast na dopięcie interesu.

– Nie, nie, dziękuję bardzo, muszę jeszcze wrócić do roboty. Pozwoli pani, że się trochę rozejrzę? – zapytał, po czym dodał wyjaśniająco: – Muszę zaplanować, jakie meble dam radę do państwa ściągnąć z poprzedniego mieszkania.

– Jasne, proszę się czuć jak u siebie w domu. – Zaśmiała się krótko, a potem dodała znów nieco zalotnie: – Czy mi się wydaje, czy my byliśmy już na ty?

– Oczywiście, przepraszam. To pewno znowu przez tę moją cholerną nieśmiałość.

– Nie sprawiasz na mnie wrażenia przesadnie nieśmiałego. – Bożena nie odpuszczała.

Tak, to też była spora zmiana. Dwa miesiące temu żadna kobieta nie uśmiechnęłaby się do niego zalotnie. Teraz był przystojnym i zadbanym facetem w jasnych spodniach z miękkiej bawełny, w koszulce polo delikatnie podkreślającej klatkę piersiową, z zadbanymi dłońmi wystającymi z podwiniętych nieco rękawów dżinsówki.

Kiedy Ola wynosiła z domu walizki, błagalnym wzrokiem patrzył na nią zarośnięty typ z przetłuszczonymi i dawno nieścinianymi włosami, ubrany w zbyt długi wełniany sweter i wytarte sztruksy, z których na końcu wystawały stopy w skarpetach wbite w znoszone laczki.

Gdyby nie Karolina oraz Zuza, w której dostrzegł godną siebie rywalkę, a co za tym idzie poczuł ekscytację związaną z nadchodzącym współzawodnictwem, pewno, zanimby się obudził, zasnąłby na amen.

– Czy myślisz, że w to duże okno dałoby się wstawić żaluzje? To znaczy dałoby się na pewno, ale czy zgodzilibyście się, żebym zrobił to pod waszą nieobecność?

– Zapytam Norberta, ale raczej tak, nie powinno być problemu. – Bożena nie przestawała się uśmiechać. Cały czas też trzymała się na tyle blisko Marka, że wystarczyłoby, by zrobił krok i tak zwana granica intymności zostałaby przekroczona, a jej zdaje się najzupełniej by to nie przeszkadzało.

– Nie podglądają? – spytał Bożenę, wykorzystując atmosferę dziwnej dwuznaczności, która zapanowała między nimi.

– Raczej nie, poza tym niech się wstydzi ten, kto widzi – odpowiedziała, zbliżając się przy tym do niego jeszcze trochę bardziej i naruszając już tym samym nieokreśloną niczym, a jakże konkretną granicę, poza którą między dwójką ludzi mogło dojść do bardzo wielu nieprzewidzianych rzeczy.

– Też prawda. – Nie odsunął się, ale też nie pozwolił obudzonym właśnie wibracjom przejąć kontroli nad sobą.

To była jeszcze jedna nowość, która go ciekawiła, a nawet sprawiała mu sporą przyjemność. Wcześniej był człowiekiem niezwykle drażliwym i podatnym na negatywne działanie ludzkiej bliskości. Takie sytuacje jak ta raczej mu się nie zdarzały, ale każda zbyt bezpośrednia interakcja z innym człowiekiem, kobietą w szczególności, powodowała u niego niekontrolowane zachowania, kończące się przeważnie ucieczką.

Teraz też nie musiał wchodzić w zaproponowany przez te wibracje układ, ale mógł. Przede wszystkim nie ogarniała go już panika. Stali więc blisko siebie, on czuł narastające pożądanie, a wiele wskazywało na to, że ona czuła je nawet bardziej.

Jednak to on musiał wykonać pierwszy ruch.

– Wolę, żeby nie musieli się wstydzić. – Uśmiechnął się i powoli odszedł od okna, a przy okazji od niej.

Wibracje ustały.

– A jak sąsiedzi? – zapytał, gdy krew przestała buzować.

– Kulturalni – odpowiedziała z ledwie wyczuwalną nutą urazy w głosie. – Tu na piętrze zawsze cisza. Jak tu mieszkamy sześć lat, może jedna impreza była u dziewczyny za ścianą. Chyba jej teraz nie ma, mogłabym was sobie przedstawić.

– Nie, nie, to już jakoś samo może potem wyjdzie. A po drugiej stronie?

– Tam... – Zawahała się, próbując sobie przypomnieć. – Jakiś gość, ale on w ogóle rzadko tu bywa, chyba mieszka na stałe gdzie indziej, tu się zjawia tylko, jeśli jest akurat w Warszawie.

– Mógłby wynająć – zasugerował Marek.

– Mógłby, ale może nie musi. Wiesz... kto bogatemu zabroni.

– Też prawda. – Marek usłyszał za drzwiami dźwięk uruchamianej windy, przyszło mu do głowy, że to może być Karolina.

Bał się trochę, że Bożena też może o tym pomyśleć i postanowić ich sobie jednak przedstawić, a on miał zupełnie inny plan na pierwsze spotkanie i za nic nie chciał go spalić czymś tak przypadkowym. Dlatego nagle zerknął na zegarek w telefonie.

– O rany, ale się zasiedziałem. Muszę lecieć, spotkanie mam, kompletnie zapomniałem. – I ruszył w stronę drzwi.

– Dobra, to co z tą umową? – zapytała przytomnie.

– A tak, umowa... To może jutro przyjadę jeszcze raz, jakoś przed południem? – Wiedział doskonale, że przed południem Karoliny w apartamencie

obok nie będzie na pewno.

Dziesięć sekund później wybiegł z mieszkania. Winda, słyszał to już teraz wyraźnie, jechała właśnie do góry. Gdyby nie chwilę wcześniej sformułowana propozycja Bożeny, która mogłaby mimo jego protestów doprowadzić do spontanicznie wymuszonego zapoznania z jej najbliższą sąsiadką, nie uciekałby teraz schodami w dół.

Generalnie od jakiegoś czasu porzucił ten jakże często wcześniej praktykowany zwyczaj uciekania od wszelkich możliwych sytuacji społecznych, ale w tym akurat przypadku miał bardzo precyzyjny plan i zniweczenie go było mu wybitnie nie w smak. Dlatego po chwili wyszedł z klatki i idąc blisko ściany budynku, tak by pozostać niewidocznym dla Bożeny, a także ewentualnie dla Karoliny, po minucie doszedł do zaparkowanego na rogu Towarowej i Jaktorowskiej samochodu, wsiadł, z leżącego na siedzeniu bidonu pociągnął spory łyk swojego tajemniczego płynu na ból głowy, po czym odetchnął głęboko i odjechał.

Na dziś plan został zrealizowany.

3. LĘK

Zuza po spotkaniu z Karoliną czuła się dziwnie. Przy czym kompletnie nie mogła zlokalizować źródła owego samopoczucia. Był to jeden z tych stanów, w których bardzo trudno jest jasno określić genezę dyskomfortu. Czy powodem niepokoju był delikatny ból brzucha wywołany być może nadmiarem kawy, czy wręcz przeciwnie: ból brzucha spowodowany został przez niepokój?

Czyżby przyczyną niepokoju był list, w którego treść, teraz siedząc już w kuchni i przygotowując sobie rumianek, po raz kolejny się wczytywała? Raczej nie. Takich listów widziała w życiu sporo, bo freaków kręciło się po świecie więcej, niż przeciętny człowiek był sobie w stanie wyobrazić. Nie, nie list sam w sobie, ale jakaś intuicja, że w tej akurat sprawie, którą zresztą Karolina za wszelką cenę próbowała zbagatelizować, było coś więcej.

Zresztą im bardziej przyjaciółka starała się ująć temu znaczenia, tym mniej była w tym przekonująca.

Będzie się zatem, chcąc nie chcąc, musiała przyjrzeć tej sprawie bliżej. Tylko jak przyjrzeć się bliżej czemuś, co nie daje właściwie żadnego punktu zaczepienia?

Zuza sięgnęła do szafki pod zlewozmywakiem, z której wyciągnęła lateksowe rękawiczki. Następnie ujęła zamkniętą w przezroczystej koszulce kopertę, w której nadszedł list, i obejrzała ją z obu stron. Od tyłu nie było na niej nic. Co więcej, koperta była zaklejana na pasek samoprzylepny, nie było więc szans na ślinę, czyli na DNA nadawcy. Z przodu było więcej, bo na środku wysyłający wpisał odręcznie adres i nazwisko Karoliny, a dodatkowo nakleił znaczek. Sam list był

wydrukowany na laserówce, ale być może nadawca chciał jednak zostawić jakiś ślad i dlatego użył ręki. Zuza miała zatem jego charakter pisma i jeśli nie posłużył się gąbką, tylko sam poślinił znaczek, to tu akurat była szansa na kod genetyczny. Innymi słowy: czuła, że człowiek, z którym właśnie zaczęła mieć pośrednio do czynienia, nie popełniłby tak prostych błędów.

Kolejnego dnia Marek przed dwunastą wyszedł na godzinę z pracy, pojechał do starego mieszkania, tam dokonał owych nie tak znów wielkich modyfikacji w swoim wyglądzie, schodzoną i wygniecioną marynarkę zmienił na ciętą na wysokości pasa kurtkę dżinsową, a koszulę z przetartym kołnierzykiem i mankietami na czarny, zwężony lekko w talii T-shirt. Do tego zaczesał włosy do tyłu, założył przyciemniane okulary i ruszył na Wolę do czekającej już na niego Bożeny. Tak naprawdę owe zmiany w wyglądzie były na tyle niewielkie, choć jednocześnie znaczące, że mógł ich dokonywać choćby nawet i w samochodzie.

W swoim nowym mieszkaniu był pół godziny później.

– To co, może po kieliszku wina na cześć podpisanej umowy? – Bożena najwyraźniej postanowiła znów uciec się do innej ścieżki skracania dystansu w relacjach.

– Samochodem przyjechałem... – zaczął Marek, ale w jego głosie nie było jednoznacznego zdecydowania, więc Bożena wykorzystała moment.

– Wrócisz uberem, na piechotę, metrem, jest trochę opcji – powiedziała, jednocześnie podchodząc do barku.

Wypili butelkę wina, potem ona go uwiodła, a on dał się uwieść. Uprawiali seks w sypialni obstawionej zdjęciami Norberta, co było już samo w sobie dość ekscytujące, ale tak naprawdę Marka w krainę namiętności najbardziej zabierała świadomość, że za ścianą było mieszkanie, a może nawet sypialnia Karoliny. Seks był najpierw dość zachowawczy, ale im bardziej się w nim zatracił, tym bardziej uwalniało się coś dziwnego, nad czym nie miał tak naprawdę kontroli. Inicjatywa seksu oralnego wyszła od niego, Bożena trochę się opierała, ale nie za bardzo i nie

za długo, po chwili zrewanżowała mu się zresztą tym samym. Kiedy jednak byli już blisko, a on brał ją coraz brutalniej od tyłu, nagle przerwał i nie konsultując już tego z nią w żaden sposób, powoli wszedł w nią analnie. Ona próbowała się bronić, lecz znów nie trwało to długo i skończyło się obopólnym orgazmem, który obojgu nieomal odebrał zmysły.

Potem Marek leżał przez jakiś czas na łóżku obok zdyszanej Bożeny, próbując w ogóle zrozumieć to, co się właśnie stało. Przez moment, a może nawet przez dłuższą chwilę czuł, że nie jest sobą, że coś jakby prowadzi go tam, gdzie sam być może wcale nie chciałby pójść, a w każdym razie na pewno nie miałby na to odwagi. Coś oderwało go od siebie i popchnęło w stronę, której w sobie w ogóle do tej pory nie znał. To nie powinno było się zdarzyć, taka oboczność, gwałtowność, perwersja, to wszystko zaskoczyło go nie mniej niż ją.

Kiedy ostatnio był z kobietą? Rok temu, a może jeszcze dawniej. Z tego, co pamiętał, choć z tamtego czasu w ogóle nie pamiętał zbyt wiele, z Olą przestali współżyć jakieś osiem miesięcy przed jej odejściem, a o żadnych innych kobietach od wielu lat nie mogło być mowy. Kto poszedłby do łóżka z abnegatem, który miał wieczny ból głowy i takiego doła, że strach było się do niego nawet zbliżyć? Wariatka?

– Szkoda, że nie poznaliśmy się wcześniej. – W głosie Bożeny dało się usłyszeć żal szczerzy aż do bólu. – Nie wiedziałam, że w ogóle istnieją tacy faceci.

Jednak wspomnienie rozkoszy wygrało w niej najwyraźniej z chwilowym przestraszeniem wywołanym gwałtownością i determinacją Marka.

– Ja też żałuję. – Marek nie musiał starać się być przekonujący, bo to, co mówił, było prawdą, a że podłoże jego prawdy było odległe od podłoża jej prawdy, to już inna sprawa.

– Wyjeżdżamy za cztery dni... Może jeszcze wpadniesz? – zapytała z nadzieją.

– Może wpadnę. – Marek odpłynął trochę myślami za ścianę.

– W każdym razie dam ci już teraz klucze. Jeśli chcesz, możesz zacząć zwozić swoje rzeczy. To by też było dobre alibi, gdyby coś.

„Gdyby coś” – powtórzył w myślach. U niego nie mogło być żadnego gdyby coś, zero ryzyka, wszystko dopracowane i zapięte na ostatni guzik. To, co wydarzyło się tutaj przed chwilą, było wprawdzie lekkim zgrzytem, swoistym loading errorem, ale na szczęście Bożena i tak zaraz zniknęła z horyzontu wydarzeń, a poza tym raczej nie podzieli się z nikim opowieścią o dzisiejszym zdarzeniu. Dla niego tymczasem teraz właśnie powoli rozpoczynała się druga faza realizacji projektu. Na początek musiał Karolinę nastraszyć trochę bardziej, głównie po to, żeby rychło okazać się jej wybawcą i opoką.

Czasem szczęśliwie los stawia na naszej drodze życzliwych bądź „życzliwych” ludzi akurat wtedy, gdy potrzebujemy ich najbardziej.

On o tym powinien wiedzieć najlepiej, ale czy był tego świadom, to zupełnie inna sprawa. W każdym razie w zaistniałych okolicznościach takim człowiekiem może być na przykład świeżo poznany sąsiad.

Do projektu przygotowywał się na tyle długo, że zdołał już rozpoznać bardzo wiele różnych technicznych obszarów. Jednym z nich była możliwość łączenia się z danym numerem z internetu po uprzednim podszyciu się pod jakiś istniejący, z góry ustalony numer.

Wykorzystywali to czasem co sprytniejsi złodzieje, którzy dzwoniąc na przykład spod numeru komendy rejonowej, podszywali się w ten sposób pod policjantów od przestępczości internetowej i uzyskiwali od ludzi ich dane do kont bankowych albo innych ważnych wirtualnych zakamarków ich życia. O tym, że tak robią, wiedział od dawna, w końcu po kilku miesiącach ślęczenia w dark webie i kupowania porad za bitcoiny sam doszedł też do tego, jak to się robi.

Spoofting telefoniczny. Tak w oficjalnej nomenklaturze nowego językowego wolapiku się to nazywało, a polegało w skrócie na tym, że z pomocą internetowej telefonii typu VoIP można było wpisać numer, z którym chciało się połączyć, ale także i ten, z którego chciało się, by rozmówca myślał, że się dzwoni.

Wciąż jednak do rozwiązania pozostawała jedna kwestia. Pierwsza rozmowa, którą przeprowadzi, będzie dla Karoliny oczywiście na tyle zaskakująca, że oprócz

słuchania i może ewentualnie odpowiadania nie uda jej się na pewno zrobić nic innego. Ale po tym, gdy już przekaże wiadomość o rozmowie Zuzie, ta prawdopodobnie oprócz tego, że zajmie się zidentyfikowaniem numeru, każe jej również nagrać kolejną ewentualną rozmowę. Jego głos nie może więc być jego głosem. Dlatego oprócz VoIP-a podpiął się też pod urządzenie syntezujące głos w zupełnie inne brzmienie.

– Halo? – Marek siedział w ogrodzie Krasińskich i mówił do mikrofonu laptopa rozstawionego na kolanach.

– Tak, słucham? – Głos Karoliny działał na niego kojąco.

– To ja.

– Jaki ja? Kto mówi? – W głosie kobiety pojawił się pierwszy fuzel zdenerwowania.

– Ja, czyli Wojtek, twój psychofan. – Zamilkł na chwilę, żeby podkreślić napięcie. – Nie znasz mnie, ale ja znam ciebie...

W słuchawce po drugiej stronie zapanowała cisza albo może prawie cisza, bo wrażliwemu uchu Marka udało się usłyszeć w niej zduszony, rytmiczny i przyspieszony delikatnie oddech.

– Już wiesz? – zapytał po krótkiej przerwie.

– Czego chcesz? – odezwała się w końcu.

Marek uśmiechnął się delikatnie, bo jej usiłowanie bycia obcesową czy choćby nieprzyjemną nie przystawało do niej tak bardzo, że właściwie czyniło ją jeszcze bardziej bezbronną.

– Przecież wiesz – powiedział cicho, prawie szeptem.

– Odwal się, zboku! – Teraz opryskliwość wyszła jej nieco lepiej.

Najwyraźniej adrenalina dotarła do mózgu, pomyślał.

– Czemu?

– Bo pójdziesz do pierdła! – odkrzyknęła i rozłączyła się.

Marek uśmiechnął się do swoich myśli.

Właśnie to, ten element ryzyka nakręcał go niemal najbardziej. Jedyną rzeczą, która przewyższała go potencjałem przyjemności, było samo wyobrażanie sobie momentu, gdy ona będzie umierała.

Za chwilę podłączy się do podsłuchu. Karolina będzie już wtedy prawdopodobnie rozmawiała telefonicznie z Zuzą. Komisarz postara się ukryć zdenerwowanie wynikające z trudnego teraz do podważenia przekonania, że mają do czynienia z przedstawicielem nieszczęsnych pięciu procent tych groźniejszych, a potem umówi się z nią na spotkanie w najbliższym możliwym terminie.

Na razie wszystko było tak przewidywalne, że nie stanowiło jeszcze nawet wstępu do partii szachów, w której każdy ruch rodził wielość możliwych wariantów rozwoju sytuacji. Na razie grali raczej w wojnę i do tego gra odbywała się znaczonymi przez niego kartami.

Później będzie na szczęście trudniej – pomyślał i zamknął laptopa.

4. SPOTKANIE

Karolina wracała dziś z pracy w wyjątkowo złej formie. Wprawdzie Zuza za wszelką cenę próbowała ją uspokoić, ale po pierwsze nie bardzo jej to wychodziło, bo znały się na tyle długo, że Karolina bez problemu potrafiła odróżnić u przyjaciółki szczerą od dobrych chęci, a po drugie było jednak coś jeszcze.

Karolina nie żyła wyłącznie pracą i tym, co akurat zgotował jej dzień dzisiejszy. Za jej plecami w odmętach przeszłości wisiało coś, co powracało do niej w różnych momentach. Teraźniejszość miała na to wszystko wpływ głównie o tyle, że kiedy w tu i teraz było gorzej, to przeszłość wracała z większą intensywnością. Mało kto jest całkowicie niezależny od własnej przeszłości.

– Dzień dobry. – Sympatyczny i całkiem przystojny mężczyzna czekający na windę uśmiechnął się do niej ciepło.

– Dzień dobry – odpowiedziała, niespecjalnie odnotowując jego obecność.

– Pani na które? – zapytał po chwili, kiedy już wsiedli razem do windy.

– Na szóste, dziękuję bardzo.

– A to ja też.

Pokiwała głową. Przez kolejne trzydzieści sekund, czyli przez kolejne pięć pięter, jechali w milczeniu. W końcu winda stanęła i drzwi rozjechały się na boki, skrzypiąc nienaoliwioną stalą.

– Dziękuję – rzekł przepuszczając ją przodem.

– Dziękuję – odparła.

Czasem ludzie mniej biegli w meandrach savoir-vivre'u w takich sytuacjach mówią „proszę”. Kto wie, może gdyby tak właśnie odpowiedziała, innymi słowy, gdyby okazała się mniej biegła w regułach, gdyby była z innej bajki niż ta, którą lubił najbardziej, to zaoszczędziłoby jej dalszych problemów, pomyślał. Bywa, że łowca jest bardzo wybredny.

– Sąsiedzi już chyba wyjechali – usłyszał za swoimi plecami jej głos zmieszany ze szczękiem przekręcanego klucza.

– Jeszcze nie wyjechali. – Odwrócił się z uśmiechem. – Za dwa dni wyjeżdżają. Wiem, bo wynajmuję od nich mieszkanie.

– Będziemy sąsiadami – stwierdziła, po raz pierwszy odpowiadając uśmiechem na jego uśmiech.

Przystojny mężczyzna, pewno zaraz pojawi się też żona i czereda dzieci, pomyślała. Oby tylko nie zrobiło się głośno.

– Na to wygląda. Marek Pobłudzki. – Marek miał już zapukać do mieszkania Bożeny, ale zamiast tego podszedł do niej, uklonił się i wyciągnął rękę. – Miło mi bardzo.

– Karolina Milewska, mnie również.

Ich ręce połączyły się w uścisku.

Jej dłoń była niewielka, ale o długich palcach z minimalnie tylko dłuższymi paznokciami, chłodna i przyjemna w dotyku, pomyślał. Jego była męska, też nieprzesadnie duża. Trochę może wyschnięta skóra, ale nienaganny manikiur, raczej inteligent, może biznesmen, może wolny zawód, pomyślała ona.

– Pan z rodziną? – zapytała go o to, nad czym chwilę wcześniej się zastanawiała, ale od razu przeszło jej przez myśl, że może pytanie było zbyt osobiste.

– Nie. – Uśmiechnął się, po czym szybko dodał, jakby siedział jej w głowie: – I obiecuję, że będzie cicho.

Znowu pokiwała głową. Uściski dłoni są trochę jak uśmiechy – łatwo je zacząć, potem czasami nieco trudniej skończyć. Kto ma zainicjować zakończenie uścisku?

Jak to przeprowadzić? Czy puścić po prostu od razu ściskaną dłoń, która spadnie wtedy niejako w pustkę powstałą po serdecznym geście?

– No nic, to pewno do zobaczenia w windzie za jakiś czas – powiedziała i puściła jego rękę.

– Do miłego – odpowiedział i ruszył do drzwi obok.

Bożena, podobnie jak poprzednio, przywitała go pełna życzliwej zalotności, ale tym razem to on był motorem dalszych działań, co jej spodobało się zresztą ogromnie. Znow sypialnia przez ścianę z mieszkaniem Karoliny, znow seks, ale tym razem nawet jeszcze intensywniejszy i zakończony krzykiem Bożeny. Czy słyszany przez Karolinę? Raczej tak, ściany w tym domu, choć betonowe, nie były szczególnie grube.

Cóż, na razie jest to zabawne, może nawet trochę interesujące, ale jeśli stanie się nagminne, jeśli miły pan Marek w okularach okaże się niezaspokojonym tytanem seksu, to też może być trochę ciężkie do zniesienia. Albo z drugiej strony całkiem łatwe i przyjemne. Tak daleko myśli Karoliny zajętej rozkładaniem lunchu z pudełka na talerze nie powędrowały, choć przecież do ludzkiej świadomości dociera jedynie niewielki fragment tego, co skrywa przed nim własny umysł.

Po wszystkim Marek uzgodnił z Bożeną jeszcze ostatnie szczegóły i przekazał jej w gotówce kaucję na wypadek zniszczeń, których zresztą absolutnie nie zamierzał spowodować. Był przecież w końcu kulturalnym, ministerialnym urzędnikiem, a nie jakimś lumpem czy balangowiczem, był wzorem obywatela i wszelkich cnót, a to, że miał przy tym plan na dokonanie krwawego mordu, który mógłby przerazić najbardziej zatwardziałego śledczego, to już zupełnie inna sprawa, która zresztą nijak nie zagrażała wyposażeniu mieszkania Bożeny i Norberta, gdyż mord i tak miał się dokonać gdzie indziej.

Karolina tymczasem zaraz po zjedzeniu pudełkowej piersi z kurczaka wyszła zobaczyć się z Zuzanną. Nowy sąsiad, spotkanie z nim, późniejszy krzyk Bożeny, która, odkąd mieszkali przez ścianę, czyli od pięciu lat, nie krzyknęła do tej pory

ani razu, wszystko to snuło się po jej wnętrzu delikatną mgiełką. Zniknęła ona dopiero na dobre, kiedy usiadły z przyjaciółką na ławce w ogrodzie Krasińskich sąsiadującym z zakładem pracy Zuzy, czyli z siedzibą Komendy Stołecznej Policji w pałacu Mostowskich.

– Numer dałam do sprawdzenia – zaczęła Zuza.

– Czyli jak ustalicie, co to za numer, będzie można go dopaść? – zapytała Karolina z nadzieją.

Przez kilka godzin w pracy udało jej się nieco zapomnieć o wcześniejszym telefonie, a później, gdy wróciła do domu, jej uwagę pochłonął nowy, sympatyczny sąsiad. Teraz, widząc Zuzannę, a nawet wcześniej, już w drodze tutaj, przypomniała sobie jednak o tym, co tak bardzo wybiło ją dziś rano z rytmu dnia.

– Jeżeli telefon okaże się prywatny, to tak, powinno pójść szybko, a jeśli należy do jakiejś firmy albo instytucji, to potrwa chwilę dłużej. – Zuza powiedziała to, co logicznie podpowiadała sytuacja, ale ani w jej głosie, ani w jej głowie nie było przesadnego przekonania o prawdziwości tego, co właśnie oznajmiła.

– Ale? – Karolina wyczuła ów brak pewności od razu. – Mów.

– Tylko że coś mi podpowiada, że z tym gościem trochę się będziemy musieli zabawić. – Zuza popatrzyła na przyjaciółkę.

– Coś ci podpowiada? – Karolina też nie odrywała od niej wzroku.

– Nie wiem, intuicja. – Zuza spojrzała na przezierający między drzewami fragment tylnej fasady pałacu Krasińskich, po czym dodała: – Treść listu, na którym mogło się skończyć, ale się nie skończyło, świadczy o tym, że nie mamy do czynienia z debilem. Gdyby facet wystawił się tak po prostu telefonem, toby oznaczało, że albo chce iść siedzieć, albo ma pół łyżki mózgu.

– Ma więcej. – Karolina pokiwała głową. – Rozmawiałam z nim.

– No właśnie.

– Czyli co teraz?

– Sprawdzimy ten numer, bo albo z niego dzwonił i coś jednak da się dzięki temu ustalić, albo tym numerem próbuje też coś przekazać. To może być ślepy tor,

ale nawet lewe sanki zawsze coś nam mówią o człowieku, który nas na nie próbuje wsadzać. No i będę miała do ciebie prośbę. – Zuza zawiesiła głos na moment. – Prosta rzecz, pomogę ci się do tego przygotować.

Zainstalowały wspólnie na telefonie Karoliny apkę, która umożliwiała nagrywanie przychodzących rozmów. Należało ją tylko włączyć i zacząć zapisywanie, już kiedy dzwonił telefon. Potem zastanawiały się przez chwilę, czy nagrywać od razu tylko rozmowy przychodzące z numerów nieznanych Karolinie, ale w końcu Zuza doradziła, żeby przyjaciółka rejestrowała wszystkie przychodzące rozmowy, bo jeśli jej prześladowca potrafił spoofować i podszywać się pod różne numery, to może również podszyć się pod numery jej znane.

– Ale skąd on może mieć numery, które mi są znane? – Karolina wyraziła trafną wątpliwość.

– Nie mam pojęcia, zresztą pewnie ich nie ma, ale strzeżonego... Nagrywaj wszystko, potem po prostu wyrzucisz. – Zuzanna się uśmiechnęła.

– A ci nagrywani nie będą wiedzieć? – zapytała Karolina, po czym od razu przyszło jej do głowy, że to niedorzeczne, więc dodała: – Głupie pytanie.

Gdyby mieli wiedzieć, to wiedziałyby też i on, więc wszystko nie miałyby wtedy sensu.

Potem umówiły się jeszcze, że jeśli Karolinie przytrafi się cokolwiek, co w jej odczuciu będzie odbiegało od normy, od razu zadzwoni do Zuzy, a jeśli nie będzie mogła zadzwonić, to wciśnie pięciokrotnie włącznik telefonu, co w efekcie wyśle na telefon przyjaciółki informację, że Karolina jest zagrożona, wraz z jej dokładną lokalizacją. Zuza obiecała natomiast, że kiedy tylko dowie się czegoś o sprawdzanym numerze, odezwie się do Karoliny od razu.

Niestety żadna z nich nie była świadoma tego, że właśnie w tym momencie w mieszkaniu sąsiadującym przez ścianę z apartamentem Karoliny Marek słuchał ich rozmowy i uśmiechał się do swoich myśli.

– A czego ty tam tak słuchasz? – dobiegł go zza pleców głos Bożeny.

Marek stał na balkonie i kontemlował panoramę warszawskiego śródmieścia, kiedy Bożena podeszła do niego z kieliszkiem prosecco.

– Takiego podcastu, do pracy mi potrzebny. Bo ja, gdybyś nie wiedziała, jestem teraz właśnie w pracy. – Marek uśmiechnął się do niej, odbierając kieliszek.

– Gdy już tu zamieszkas, to będziesz pamiętał o naszych gorących spotkaniach? – Bożena zmieniła temat.

– A co sobie wyobrażasz? – Marek delikatnie dotknął jej dłoni. – A jak mnie zmęczy samo pamiętanie, to przyjadę do tego twojego Paragwaju, czy co to tam jest i porwę cię na kilka godzin.

– Już to widzę. – Bożena zaśmiała się w głos.

Potem siedzieli chwilę przy stoliku ustawionym na balkonie i pili prosecco. On myślał o tym, że za kilka dni zamieszka przez ścianę ze swoją ofiarą, ona myślała o Norbercie, który za dwie godziny wróci z pracy i z którym wkrótce nie wiadomo po co pojedzie do Paragwaju.

Kiedy Karolina wróciła ze spotkania z Zuzą, Marka nie było już na balkonie u Bożeny. Siedział w samochodzie zaparkowanym na końcu uliczki i przyglądając się policjantom z drogówki, popijał swój homeopatyk na bóle głowy. Obok mieścił się główny parking drogówki, z którego co dzień na ulice Warszawy wyjeżdżały setki oznakowanych i nieoznakowanych patroli policyjnych. Niezłe miejsce na uwiedzenie i porwanie kobiety – pomyślał w jakimś momencie Marek. Pod latarnią najciemniej. Gdy Karolina skończyła parkować, wysiadła i weszła do klatki schodowej, Marek odpalił silnik i ruszył w stronę domu, tego domu, w którym – jak sądził – spędził przegraną część swojego życia. Za kilka dni pod nowym adresem miał zacząć tę drugą część ukierunkowaną na sukces. A że miarą owego sukcesu miało być zamordowanie młodej kobiety? Cóż, różni ludzie za sukces uznają różne rzeczy.

Karolina po wejściu do domu, nie rozbierając się nawet, nalała sobie koniaku i usiadła przy kuchennym stole. Przez chwilę siedziała w bezruchu, w końcu wypła

alkohol jednym haustem i zerknęła na swoje odbicie w lustrze.

Jej życie bynajmniej nie układało się na płaszczyźnie jednostajnie wznoszącej. Ono też miało etapy. Do tej pory przynajmniej dwa, z których drugi różnił się od pierwszego tak diametralnie, że aż ciężko było sobie wyobrazić, iż był częścią życia tej samej osoby.

5. TAJEMNICA

Od sześciu lat mieszkała w tym domu i właściwie moment sprowadzenia się tutaj stanowił cezurę oddzielającą dwie części jej życia. Czy pamiętała, co było wcześniej? Niestety tak, ale bardzo nie lubiła wracać do tamtych wspomnień. Przez lata jakoś się udawało.

Teraz, dziś, a właściwie od kilku dni, odkąd poczuła się zagrożona, tamto zaczęło jednak powracać. Najpierw w formie krótkich fleszy, w których obrazy wyłaniały się wypchnięte do świadomości narastającym lękiem. Z czasem zaczęły się pojawiać dłuższe konstrukty pamięciowe. Praga, życie wśród butelek, a potem też strzykawek, kolejne odwyki, izby zatrzymań, pobicia – słowem, najniższy krąg piekieł osiągalny dla człowieka, przynajmniej w czasie pokoju.

Było jeszcze coś, coś gorszego od tamtego gnicia, ale o tym pamiętać nie chciała, więc wstała teraz szybko, nalała sobie kolejną porcję courvoisiera, wypija ją od razu i dopiero wtedy zaczęła się rozbierać. Sprzątanie, może kolacja, książka, coś w telewizji, cokolwiek, tylko żeby się uśpić, zapomnieć i uciec od tego, co wisiało nad nią, a może bardziej obrazowo toczyło się za nią, jak powiększająca się wciąż coraz bardziej śnieżna kula, przed którą nie da się uciec.

Marek w tym czasie pakował rzeczy. Nie zamierzał się wprawdzie wyprowadzać na stałe ze swojego starego mieszkania na Okęciu. Było jego własnością, żona przynajmniej na razie nie zgłaszała jeszcze chęci rozwodu, za którym prawdopodobnie poszedłby też podział majątku. Nie zgłaszała, bo może było jej jednak trochę głupio, w końcu opuściła go bez żadnego konkretnego powodu.

W każdym razie, pomyślał Marek, mieszkanie tak czy siak zostanie przy nim na długo. Dodatkowo dzięki temu, że przez lata prawie nie miał siły oddychać, nie miał także ochoty robić nic, na co zużywa się pieniądze. Nie kupował rzeczy, nie jeździł na wakacje, nie kultywował hobby. Owszem, łożył sporo na utrzymanie domu, ale całą resztę trzymał w kieszeni, a konkretnie na osobnym koncie, które założył przed laty. Z niebyt wysokiej, ale jednak nie najgorszej pensji w budżetówce udało mu się zgromadzić całkiem pokaźne środki.

Teraz, gdy w końcu życie niosło go ku z góry wyznaczonym celom, środki te okazały się bardzo przydatne, choćby na wynajem mieszkania w ekskluzywnej części Woli. Zresztą cena tego mieszkania w zbudowanej na przełomie mileniów budynku, pomimo jego świetnej lokalizacji, nie sięgała chmur, więcej, była dość rozsądna, a w miarę pogłębiania znajomości z właścicielką stała się wręcz niebywale atrakcyjna.

Czyli dwa mieszkania, dwa życia.

Jedno to przeszłość na Okęciu, do której zawsze będzie można bezpiecznie powrócić, choć z dzisiejszej perspektywy wydawało mu się to mało prawdopodobne. Drugie to przyszłość z jasno wytyczonym celem, a właściwie celami, bo Karolina miała być jedynie pierwszym, wstępnym, szkoleniowym właściwie etapem na drodze do realizacji jego planu.

Przyszłość nie wymagała zbyt wielu rzeczy z przeszłości, tamte rekwizyty do niej wręcz nie pasowały. Właściwie wszystko – od mieszkania, samochodu i kobiet począwszy, a na szcotechce do zębów skończywszy – miało być teraz nowe. A jednak jakieś rzeczy ze sobą zabierał. Swoje zdjęcia z młodości, zdjęcia Adasia z różnych okresów aż do czasu, gdy mniej więcej dwa lata temu stracił już nawet dryg do fotografowania.

Tak, mniej więcej dwa lata temu zaczął się chyba zapadać już poza kontrolą. To znaczy zapadał się właściwie od zawsze, od dzieciństwa, które nie było obiektywnie złe, może jedynie pozbawione miłości. Zapadał się, ale przez lata rozpaczliwie starał się jeszcze czegoś łapać, próbował pisać, robił przyzwoite

zdjęcia. Miał nawet jakąś wystawę u siebie w ministerstwie, zdjęcia wisiały kilka ładnych miesięcy.

Dwa lata temu przestał się łapać, patrząc na to z dzisiejszej perspektywy, czyli z punktu widzenia człowieka, który właśnie uchwycił się życia naprawdę fest, wtedy chyba musiał już po prostu zamknąć oczy. Otworzył je dopiero jakiś czas po tym, jak Ola otworzyła drzwi od mieszkania, wzięła Adasia za rękę i wyszła z ostatnią walizką. Czy tęsknił za nimi? Tak, ale w tej tęsknocie nie było już teraz wcześniejszej bezwoli i rozpacz, miał plan, był zajęty jego realizacją. Czasem przy lampce prosecco wieczorami, oglądając wiadomości, myślał o nich, co teraz robią, gdzie są. Myślał ciepło i była to chyba jedyna chwila, w której w jego wnętrzu pojawiała się jeszcze dodatnia temperatura.

Zdjęcia i co jeszcze? Trochę ubrań, książek, notesy, aparat fotograficzny z obiektywami, bo po pierwsze może znów mu się zachce robić zdjęcia, a po drugie, skoro śledził obie panie, czasem nachodziła go ochota, by coś też z tego śledzenia udokumentować. No i jeszcze fotografie rodziców, których wprawdzie nie kochał, ale jako że trochę nie wypadało nie kochać rodziców, to zdjęcia pomagały ustawiać odpowiednio jego wizerunek. Do tego garść pamiątek, jakichś dziwnych talizmanów, gadżetów, lampa z soli, którą przywiózł mu kiedyś Adaś z wycieczki, rzeczy, które ani nie były mu potrzebne, ani nie czuł do nich przesadnego sentymentu, lecz podobnie jak zdjęcia rodziców mogły pomóc w wypełnieniu przestrzeni czymś osobistym.

W gruncie rzeczy najbardziej lubił pokoje hotelowe. Nie przebywał w nich za wiele, bo ani nie było go na nie stać, ani nikt go za bardzo nie wysyłał w służbowe delegacje, nawet te kilkanaście razy w życiu pozwoliło mu stwierdzić, że to jego świat. Totalna anonimowość, rzeczy, które niczym nie obciążają, nie ciągną za sobą żadnej historii, żadnej pamięci. Szczególnie teraz pamięć nie była mu za bardzo do niczego potrzebna, bo Marek patrzył do przodu, w czeluść zbrodni, którą miał popełnić, a nie w tył, ku swojej przeszłości, która wydawała mu się mialka i bez znaczenia.

Nagle odezwał się stłumiony dzwonek telefonu. Zdziwiło go to lekko, bo jako że nie miał właściwie żadnych przyjaciół, ani nawet znajomych, telefon, zwłaszcza ten stacjonarny, dzwonił na tyle rzadko, że nawet nie wiedział, gdzie go szukać.

Znalazł go dopiero po chwili przywalony ubraniami i poduszką od kanapy.

– Halo?

– Marek? – usłyszał kobiecy głos po drugiej stronie.

– A kto mówi? – zapytał podejrzliwie.

– No tak, na pewno Marek, stary dobry Marek. Zawsze tajny przez poufny. Julka, Julka Wojtczak. – Kobieta opowiadała szybko, a jej głos sprawiał wrażenie, jakby coś ogromnie ją cieszyło. – Liceum, czwarta klasa, Kołłątaj, ty doszedłeś do nas. – Nie dała mu odpowiedzi.

– Wiem przecież. – Marek w końcu wcisnął się w wąską lukę między jej oddechami i udał, że doskonale wie, z kim rozmawia. – Nie tyle doszedłem do was, co spadłem.

– Oj tam, oj tam, od razu spadłem. Zostałeś, żeby utrwalić materiał, tak to się nazywa. – Teraz Julka już nie tylko była rozradowana, ale wręcz się śmiała, a śmiech, chrypiący i gardłowy, miała nie do podrobienia.

– Dobra, dziękuję, utrwalalem z wami materiał. – On też się zaśmiał, i to nawet w nie do końca wymuszony sposób, po czym dodał właściwie szczerze: – Miło cię słyszeć.

– No i nawzajem. Może jakaś kawa wspólna, ciacho, jakaś wuzetka? – Julia wciąż trochę się śmiała.

Julka, tak, pamiętał ją już teraz trochę, ale na razie bardziej jako zestaw szczątkowych danych na jej temat niż jako konkretną osobę. Zestaw danych bardziej jednak dotyczył jej profilu psychologicznego, potencjału intelektualnego. Nie było w nim wyglądu. Jak ona wyglądała?

– Jasne – usłyszał swój własny głos. – Gdzie i kiedy?

– Ty mi powiedz. Ministerialne stanowisko, takie rzeczy zobowiązują, między innymi czasowo, domyślam się. – Zabłysnęła wiedzą.

– Tak... a skąd wiesz? – Marka delikatnie to zaniepokoiło.

– Mam kontakt z ludźmi ze szkoły, z wieloma osobami stały. Mirek mi mówił – wyjaśniła kompletnie niezaskoczona jego rezerwą.

Mirek? Tak, rzeczywiście, z Mirkiem zdarzyło mu się spotkać ze trzy razy w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Przyszło mu w tym momencie do głowy, że akurat to, że także ludzie spoza jego pracy w razie czego będą mogli potwierdzić jego główne alibi, czyli to, że jest totalnym niezgułą, może się kiedyś okazać przydatne.

– Dobra, w przyszłym tygodniu? – zdecydował.

– W przyszłym... – Wydała się trochę zawiedziona, ale po chwili zdaje się zmiarkowała, bo dodała: – Super, w przyszłym. Zadzwoń w poniedziałek.

Marek podał jej swój numer komórkowy, później trochę się jeszcze zastanawiał, czy na pewno dobrze zrobił, zgadzając się na to wszystko, ale uznał, że nie będzie się już tym zbytnio przejmował i szybko znów o niej zapomniał. Ważniejsze, dużo ważniejsze rzeczy miał teraz na głowie, która zresztą zaczynała go lekko boleć, więc ruszył na poszukiwanie swojego nieodłącznego bidonu.

Kolejne dni wypełnione były działaniami związanymi z przeprowadzką na Wolę. Zaskoczyło go nawet odrobinę to, że chociaż ze starego mieszkania zamierzał zabrać tylko trochę drobiazgów, to uzbierało się tego na tyle, że przez trzy dni po pracy codziennie wykonywał co najmniej jeden, a czasem nawet kilka kursów samochodem z dwoma albo trzema kartonami. Mógł zorganizować jakiś płatny przewóz. Wtedy pewnie kurs byłby jeden, ale on przede wszystkim nie chciał się afiszować. Wynoszenie późnym wieczorem dwóch kartonów mogło umknąć uwadze sąsiadów, wóz przeprowadzkowy nie umknąłby na pewno.

Dwa dni później mieszkał już w bloku na Jaktorowskiej i tylko tam. Od tej pory zamierzał swoje poprzednie miejsce odwiedzać co kilka dni, żeby sąsiedzi byli przekonani, że wciąż tam wegetuje. W mieszkaniu na Jadwisinie w tym celu zainstalował nawet kilka lamp, do których podłączona była apka w jego telefonie.

Dzięki temu gasił i zapalał światła, kiedy miał na to ochotę, dodatkowo włącznik zdalny był też na radiu, słowem: światło i dźwięk w całej krasie.

Przez trzy kolejne dni nie spotykał Karoliny, przy czym nie działo się tak dlatego, że nie było odpowiedniego zrzędzenia losu, bo to w jego gestii pozostawały wszelkie zdarzenia losowe, to on kontrolował fatum. Nie spotykał Karoliny, bo na razie nie był przygotowany.

Domyślał się, że po pierwszym spotkaniu, pod windą i później, gdy słyszała, jak z Bożeną hałasowali przez ścianę, w Karolinie musiał pozostać jakiś ślad. Czy negatywny, tego nie wiedział, ale wiedział, że teraz koniecznie musi wywołać w niej negatywne emocje o znacznie większym natężeniu, spowodowane czymś, co nadejdzie z innego kierunku.

Najpierw, pijąc jeszcze kawę przez kilka minut, przyglądał się jej mieszkaniu z zainstalowanej zaraz po przeprowadzce żaluzji. Patrzył i myślał o tym momencie, który nadejdzie niechybnie już wkrótce. Znow przed oczami stawały mu obrazy wyobrażone, a jakże realne. Brał ją, a z jej naciętej w wielu miejscach skóry powoli płynęła krew.

6. SĄSIAD

– Dzień dobry, pani Karolino. A co to się stało? – zwrócił się do stojącej w bezruchu i niewiedzącej kompletnie, co dalej robić, kobiety.

– Nie wiem za bardzo, ale wydaje mi się, że ktoś przebił mi opony. – Kobieta była roztrzęsiona.

Nie opony oczywiście, ani nawet nie to, że zostały przebite, powodowały, że trzęsły jej się ręce. Bardziej chodziło o to, że w kontekście tego wszystkiego, co działo się ostatnio, domyślała się, kto owe opony przebił. Po raz pierwszy jej prześladowca przekroczył magiczną granicę bezpośredniego ataku, czyli przeszedł od słów do czynów.

– Przebił? – Marek wydawał się szczerze zaskoczony. – Ale po co? Zastawiła pani komuś drogę?

Mężczyzna obchodził samochód, jednocześnie lustrując najbliższą okolicę.

– Nie zastawiła pani? – Spojrzał na nią. – Może wcześniej pani komuś zaszła za skórę?

– Nie zastawiłam ani nie zaszłam za skórę – powiedziała Karolina cicho.

Nagle wraz z jego pojawieniem się potężna dawka uwolnionej adrenaliny sprawiła, że pod Karoliną ugięły się nogi.

– Nic pani nie jest? – Marek czujnie wychwycił moment, podszedł i podparł ją na tyle szybko, że nie zdążyła się przewrócić.

– Nie, nic, dziękuję bardzo. – Uśmiechnęła się blado.

– To tylko opony, pani Karolino, może uda się zwulkanizować, a jak nie, to proponuję pani jakieś używki na zamianę.

– Tak, tak, wiem. – Pokiwała głową, przysiadając na masce swojej toyoty, po czym dodała po chwili: – Muszę zadzwonić.

– Do mechanika? – zainteresował się żywo.

– Nie, nie, do znajomej – wyjaśniła. – Mam przyjaciółkę, która pracuje w policji.

– Jasne, to proszę dzwonić, a ja załatwię pomoc drogową, muszą panią ściągnąć do wulkanizacji – zaproponował i nie czekając na jej aprobatę, sięgnął po telefon.

– Bardzo dziękuję, ale pan pewnie musi dokądś jechać, do pracy, czy coś? Nie mogę panu tak... – próbowała oponować.

– Nie, nie, nic się nie stanie, jak przyjadę trochę później, nie zauważą nawet. – Uśmiechnął się do niej uspokajająco.

W ogóle był w nim ogrom spokoju, który emanował też na nią, i była mu za to wdzięczna, choć może nawet jeszcze w tej chwili nie w pełni docierało do niej jak bardzo.

Kiedy tak chodziła wokół samochodu, cały czas prześladowała ją jedna myśl. Opony jako takie nie miały rzeczywiście większego znaczenia, a bardziej przerażał ją fakt, że człowiek, który to zrobił, mógł przecież równie dobrze w tym momencie jej się przyglądać.

Teraz, czyli odkąd pojawił się przy niej ów kulturalny, a zarazem odpowiednio bezpośredni w relacjach mężczyzna i przejął inicjatywę, lęk i niepokój opuściły ją kompletnie. Adrenalina opadła, bo coś w środku zdecydowało, że nie będzie już potrzebna. Zagrożenie minęło.

Cóż za paradoks – pomyślał Marek, bardziej czując przez skórę, niż widząc jej reakcję.

Zuza zjawiała się na miejscu kwadrans później, dokładnie wtedy, gdy wyciągarka zainstalowana na ciężarówce pomocy drogowej zaczęła wciągać toyotę Karoliny na stalowe prowadnice.

– Co się stało? – Zuza, nie widząc nigdzie Karoliny, zadała to pytanie stojącemu obok samochodu pomocy drogowej Markowi.

– Ktoś podziurawił opony pani... – Marek zawahał się przez moment.

– Pani Karolinie. – Zuza podeszła do samochodu i nagle zdała sobie sprawę z tego, że coś tu nie gra. – A gdzie ona jest tak w ogóle?

– Pani Karolina poszła na górę, to znaczy do domu – rozgadał się Marek. – Chyba nie czuła się najlepiej.

– Pan zatrzyma – Zuza zwróciła się do operującego przy wyciągarce człowieka od pomocy drogowej.

– Czemu? – zapytał tamten, nie zatrzymując ciągnącego samochód mechanizmu.

– Temu. – Zuza sięgnęła po odznakę.

Wyciągarka stanęła i wreszcie zrobiło się ciszej. Zuza podeszła do auta, zerknęła na jedną, a potem po przejściu jeszcze kilku kroków na drugą oponę.

– Nóż – zawyrokowała.

– Na to wygląda – potwierdził mechanik.

Marek, na którego teraz spojrzała Zuza, wzruszył ramionami.

– A pan jest kim, jeśli mogę wiedzieć? – Zuza popatrzyła na niego nagle bardzo przenikliwie.

– Sąsiadem. – Marek na ofensywność jej pytania odpowiedział równie ofensywnie.

Uznał, że może się na tyle wykazać inteligencją, żeby w pytaniu dostrzec jej podejrzliwość i zareagować na nią od razu z delikatną pretensją w głosie. Zadziałało, bo Zuza pokiwała głową i nie zapytała – przynajmniej na razie – o nic więcej.

– Będzie pan wymieniał te opony? – zwróciła się teraz znów do mechanika.

– Raczej tak, boki mają sprute, boków nie łątamy.

– To proszę te przebite zatrzymać, ktoś po nie przyjedzie – powiedziała Zuza, po czym ruszyła w stronę wejścia do klatki.

– Można wciągać? – Mechanik pytanie zadał jej, ale jako że już się oddalała, popatrzył na Marka.

– Można – odpowiedziała Zuza, nie odwracając się już jednak.

Na górze zastała Karolinę, która nie wyglądała najlepiej. Usta miała lekko zsiniałe, ręce jej się trzęsły, ogólnie sprawiała wrażenie osoby, która przejawiała symptomy szoku.

– Czemu aż tak? – zapytała Zuza, kiedy usiadły w końcu za stołem, a Karolina mimo upału podała gorącą herbatę.

– Czemu aż tak...? – Karolina powtórzyła pytanie, jakby nie rozumiała jego treści. – Nie wiem czemu aż tak...

– Wiesz – upierała się Zuza.

– Może to coś przywołuje, ten lęk, który był wtedy... – zaczęła przyjaciółka.

– Wtedy?

– Wtedy, kiedy brałam... – spróbowała wyjaśnić Karolina, ale nie przekonało to ani Zuzy, ani chyba też jej samej. – Kiedy zaniósłam go do szpitala... – Ta odpowiedź nadeszła dopiero po chwili.

Zuza pomyślała, że na tę konstatację Karolina zdobyła się z trudem, ale także jakby z ulgą. Zdawała sobie doskonale sprawę z tego, o czym mówi przyjaciółka, prawdopodobnie zresztą była jedyną osobą na świecie, która to wiedziała. No, może jedną z dwóch, bo prawdę znała również jej matka.

– Nie może tak być. – Pokręciła głową.

– Wiem – zgodziła się łatwo Karolina.

Zbyt łatwo, pomyślała Zuza.

– A kim jest ten facet? – zapytała po krótkim milczeniu.

– Jaki facet?

– Ten, który stał tam na dole, przy samochodzie.

– Sąsiad, niedawno się wprowadził, pan Marek. Schodził akurat, jak tam stałam. Wezwał pomoc drogową, pomógł mi.

Zuza zorientowała się, że kiedy Karolina mówiła o tym mężczyźnie, zmienił się lekko jej wyraz twarzy. Jakby zapomniała na moment, że urodziła dziecko i oddała je do okna życia. Dawno i nieprawda, chciałoby się powiedzieć, ale niestety się nie da – pomyślała policjantka.

– A to dobrze. – Zuza pokiwała głową, po czym zapytała z ciekawością: – A wiesz o nim coś więcej?

– Niewiele. Miły jest, wprowadził się obok, do mieszkania po tych sąsiadach, którzy polecili do Argentyny czy do Paragwaju – wyjaśniła Karolina.

Przez jakiś czas siedziały w milczeniu.

– To co, podwieźć cię do pracy? – przerwała w końcu ciszę Zuza.

– Tak, tylko poczekasz chwilę? Ubiorę się.

– Poczekam.

Karolina wstała od stołu i ruszyła do sypialni, jednak odwróciła się jeszcze na moment.

– A co z tym? – Wskazała ręką w kierunku okna.

– Z tym? Zbadamy opony, zobaczymy, czym to zrobił. Poza tym tu jest sporo różnych monitoringów wokoło, sprawdzę je, może będzie jakiś ślad. Myślę, że gdzieś popełnił błąd.

– Czyli go dopadniesz? – spytała niepewnie Karolina.

– Teraz na pewno będzie prościej. – Zuza pokiwała głową.

Zuza po tym, jak odwiozła Karolinę do biura mieszczącego się nieopodal, bo w biurowcu przy Płockiej, sama podjechała na moment do fabryki, czyli do pałacu Mostowskich. Tam wypełniła papiery zgłoszeniowe, które później zamierzała dać Karolinie do podpisu, i tym samym rozpoczęła oficjalne śledztwo w sprawie stalkingu połączonego z uszkodzeniem mienia. Były to dwa przestępstwa przewidziane w kodeksie karnym odpowiednio artykułami 190a i 288, za które kara łączna mogła wynieść nawet do kilku lat pozbawienia wolności.

I tak oto Marek, czego sam miał zresztą doskonałą świadomość, stał się przestępcą ściganym na mocy paragrafów. Po podpisaniu papierów Zuza zeszła do dyżurnego i złożyła je na dziennik, wyjaśniając, że później zostaną dołączone podpisy osoby zgłaszającej, ale jako że ona już chce rozpocząć działania operacyjne, sprawa musi nabrać biegu od teraz.

– A co cię tak pili z tym? – zainteresował się dyżurny, który od lat próbował zaprosić ją na kawę.

– Facet muli babkę, trochę jak ty mnie, tylko bardziej.

– A to rozumiem, w takim razie wbijamy od razu, nie wolno bardziej niż ja. – Wieczny aspirant Witek Waliszak zaśmiał się jowialnie.

Lubiła go, a on ją. Nie było w tym żadnej perwersji, żadnego przekraczania granic, przebijania opon i wysyłania debilnych liścików; on z nią próbował flirtować, ona go ścinała i na tym kończyła się sprawa. Dlaczego są ludzie, którym przychodzą do głowy takie kretynizmy? – zastanawiała się Zuza, idąc do służbowej kii zaparkowanej na tyłach budynku, a właściwie pałacu.

Pod domem na Jaktorowskiej zjawiała się półtorej godziny po tym, jak go opuściła razem z Karoliną. Już będąc tu rano, przepatrzyła potencjalne miejsca, w których mógł być monitoring, więc teraz szła już jak po swoje. Nowoczesny, niedawno wybudowany blok vis-à-vis miał co najmniej trzy kamery od strony, która ją interesowała, na parkingu obok też musiała być przynajmniej jedna, do tego bank, no i parking pieczarek należący do wydziału ruchu drogowego na pewno musiały być jakoś monitorowane.

Dozorca apartamentowca starał się być formalistą, robił problemy, domagał się nakazów, dopiero postraszony konsekwencjami prawnymi za próbę utrudniania śledztwa wyjawiał, że tak naprawdę nic nie może. Monitoringi nagrywały się na dyski znajdujące się w biurze administratora budynku, on nie miał tam dostępu, a administrator również bywał tu rzadko. Zuza dostała jednak od niego telefon i po kwadransie administrator zjawiał się w kantorku swojego biura na parterze. Zuza

najpierw od razu na miejscu obejrzała obrazki z interesującego ją przedziału czasowego.

To, co ją interesowało, wydarzyło się o 6.42 – przed blokiem najpierw parokrotnie przejechało na oko dziesięcioletnie audi kombi, które w końcu zatrzymało się, ale niestety poza zasięgiem wszystkich kamer. Po chwili przy samochodzie Karoliny pojawił się mężczyzna ubrany w dżinsową kurtkę, także spodnie i jasną czapkę bejsbolówkę typu hardtop, spod której wystawały jasne, nieco dłuższe włosy. Twarz mężczyzny nie była widoczna, bo po pierwsze poruszał się w taki sposób, że oprócz może ułamka sekundy był cały czas tyłem do kamery, po drugie miał przyciemniane okulary, po trzecie wreszcie rozdzielczość urządzenia nie była na tyle dobra, żeby z tej odległości dało się rozróżnić rysy twarzy.

Jedno było jednak pewne: facet z audi przebijający na ekranie monitoringu opony w toyocie nie był tym facetem, którego zastała na dole przy lawecie, kiedy podjechała pod dom przyjaciółki. Nie był sąsiadem, który zdaje się trochę podobał się Karolinie. Cóż, nie zawsze intuicja policjantki śledczej musi być nieomylna.

Później z pomocą monitoringu z parkingu drogówki udało jej się jeszcze ustalić numery rejestracyjne audi kręcącego się wokół bloku przed siódmą rano. Przez moment miała więc nadzieję, że dyżurny siedzący w kantorku przy wjeździe na parking policji drogowej pomoże jej rozwiązać w ciągu kilku minut sprawę faceta stalkującego jej przyjaciółkę, ale niebawem jej nadzieje okazały się płonne.

Rejestracja należała do innego audi, które dwie godziny wcześniej jako skradzione zgłosił mieszkający na warszawskim Mokotowie właściciel. Gdyby była to sprawa o zabójstwo, prawdopodobnie temat można by pociągnąć dalej. Doszłoby do przesłuchania właściciela tamtego audi, ktoś przejrzałby monitoringi z okolicy parkowania tego samochodu, sprawdziliby pewnie, czy poprzedniej nocy nie wałęsało się gdzieś w pobliżu inne, poszukiwane teraz przez nią audi.

Na razie jednak nic nie zwiastowało, że sprawa Karoliny może się zakończyć w tak prosty sposób, wobec czego Zuzanna odpuściła.

Do tej pory udało jej się przynajmniej z grubsza ustalić, jak wygląda facet, który jedynie przyczyniał się do powstawania w życiu jej przyjaciółki pewnych niedogodności i wywoływał u niej stres oraz złe wspomnienia. Ale coś podpowiadało Zuzannie, że sytuacja może być niestety rozwojowa.

Moment, podczas którego mężczyzna był widoczny z profilu, a także kilka klatek z obrazu, gdy kamera zarejestrowała go od tyłu, komisarz sfotografowała swoją komórką i na tym zakończyła działania związane z monitoringiem.

Marek po tym, jak przypilnował zapakowania samochodu Karoliny na lawetę i wziął wszystkie konieczne namiary od jej kierowcy, pojechał w końcu do pracy. Po drodze zatrzymał się jeszcze jak co dzień od jakiegoś czasu na stacji benzynowej i zmienił nieco swój wygląd.

Mimo wszystkich jego starań, psucia fryzury, częściowej zmiany ubrań, włożenia okularów, w których przychodził tu od dziesięciu lat, zmiana na lepsze i tak była widoczna.

– Co tam, Marczyku, dzisiaj? – przywitał go Roman, z którym biurko w biurko siedział już od tak dawna, że prawie nie pamiętał, jak wygląda.

– Dzisiaj wielki dzień, rozpatrujemy podania o dotacje – odpowiedział mu z sarkazmem.

– Rozpatrujemy coś, co już dawno zostało rozpatrzone znacznie wyżej od nas. A co po robocie? Może wyskoczmy na jednego, Legiunia gra.

– Jakoś nie mogę się tym przejąć, Romek, nie dotyczy mnie to emocjonalnie. – Marek rozwiązał kokardę na pierwszej z wielu teczek z dokumentami do zaopiniowania, których nikt nigdy nie przeczyta.

– Nigdy nie mogłeś, nigdy cię nie dotyczyło, a na piwko chodziliśmy – skonstatował z żalem Romek.

Marek tymczasem kompletnie nie żałował czasów minionych, a obracanie się za siebie ku własnej przeszłości wzbudzało w nim tylko lęk i odrazę.

– Nie dam rady dziś, Romuś, może następnym razem.

– A co cię tak goni teraz? Jakiś ogólnie zmieniony jesteś. Dostaniesz tego dyrektora departamentu, czy jak? – Romek, nie on pierwszy zresztą w ostatnim czasie, podjął próbę ustalenia tego, co stało za tak widoczną zmianą w zachowaniu kolegi.

– Nic mnie nie goni, ale nie mam siły ani ochoty – uciął Marek, jak sądził, ostatecznie dyskusję na ten temat.

– Nie wydaje mi się, żebyś nie miał siły ani ochoty. Na mecz może nie masz, ale ogólnie to raczej chyba masz – zachichotał Roman, a Markowi zdawało się, że kolega miał na myśli coś więcej niż to, co powiedział.

– Co to znaczy ogólnie? – Spojrzał na Romka czujnie.

Teraz Romek uznał dyskusję za zakończoną, bo w spojrzeniu Marka oprócz czujności dostrzegł coś jeszcze i było to coś, czego ani nie potrafił, ani przede wszystkim nie chciał nazwać.

– Następnym razem. – Pokiwał tylko głową i rozwiązał kokardkę w swojej teczce z ofertami na konkurs, który choć jeszcze się nie odbył, to już się zakończył.

Karolina nie mogła się kompletnie skupić w pracy. Jej wspólnik Tomek już po kilku minutach porannej odprawy, którą przeprowadzali w każdą środę od dziewiątej do jedenastej, zorientował się, że dziś Karolina nie da rady poprowadzić spotkania, więc z najwyższym wysiłkiem woli, bowiem w przeciwieństwie do niej był z natury introwertykiem, podjął trud animowania spotkania.

– Co się dzieje? – zapytał od razu po tym, jak przeszkloną salę konferencyjną opuściła grupa ośmiorga pracowników.

– Nic, nic, mam w domu małe problemy, ale zaraz będzie luz. – Uśmiechnęła się blado.

– W domu? – zdziwił się.

Wiedział przecież doskonale, że Karolina mieszka sama, słyszał kiedyś coś o jej mamie, z którą wspólniczka miała kontakty raczej odświeżone, i o mężczyźnie jej życia, który już nie żył, ale tak poza tym nie miał pojęcia, co mogłaby mieć na myśli, mówiąc „w domu”.

– Ktoś mi listy podrzuca, dziś mi przebił opony w samochodzie.

Z Tomkiem znali się od tak dawna i tak wiele ich łączyło w sensie przyjaźni i spraw zawodowych, że raczej nie miała przed nim tajemnic. O sprawach męsko-damskich nie mogło być mowy, bo wspólnik był gejem. Od czasu listu wahała się, czy podzielić się z nim swoimi problemami. Wtedy zdecydowała, że nie ma potrzeby, sprawa nie była poważna, teraz okoliczności się zmieniły.

– Zuza wie? – zapytał od razu.

– Wie, wie, już nawet coś działa w tej sprawie. Będzie okej, ale chwilowo mnie trochę rozchwiało. – Karolina spojrzała na Tomka.

– Coś oprócz listu i tych opon? – dociekał.

– Jeszcze dzwonił. No i sam list nie był miły.

On pokiwał głową, chwilę jej się przyglądał.

– Może idź do domu, damy radę kilka godzin bez ciebie.

– Chyba wolę tu zostać. Pójdę, jak zadzwonią, że zrobili te opony.

– Może podjechać tam z tobą, pomóc ci coś z tym samochodem? – zaproponował.

– Nie, nie, dam radę. – Pokręciła głową, po czym dodała: – Ale dzięki.

Tomek uśmiechnął się raz jeszcze, położył na moment dłoń na jej ramieniu i spojrzał prosto w oczy. Często tak robił, był bardzo ciepłym i miłym facetem, ona jednak odmówiła przyjęcia od niego pomocy nie tylko dlatego, że nie chciała go trudzić, i nie tylko dlatego, że była z gruntu kobietą zaradną i samowystarczalną, ale też dlatego, że po odbiór samochodu umówiła się już z kimś innym.

Marek czekał już na nią pod zakładem wulkanizacyjnym na ulicy Syreny. Z pracy wyszedł wcześniej, co nie było specjalnym problemem, bo tak naprawdę nikt nie zwracał tam nawet za bardzo uwagi na to, czy pracownicy jego rangi w ogóle do tej pracy docierali.

Wychodząc, na wszelki wypadek burknął do zagłębionego w tworzeniu nikomu niepotrzebnych ocen Romana, że idzie do lekarza. Tamten pokiwał głową, ale czy

to usłyszał i zanotował, ciężko byłoby stwierdzić. Romek miał szczególną zdolność angażowania się w pełni w to, co robił, nawet kiedy wiedział doskonale, że robi to po nic. Może wynikało to z faktu, iż jego życie i tak toczyło się gdzie indziej. Do pracy przychodził wyłącznie, żeby zarobić w niej na to, co robił po niej, czyli na codzienne wypijanie minimum sześciu piw. To tam, czyli w domu albo w jego ulubionym i jedynym, jaki znał, pubie, odżywał i zaczynał dopiero w pełni być sobą i siebie doświadczać.

W jednej z wąskich i nieuczęszczanych uliczek Marek poprawił fryzurę, włożył golf i schowaną w bagażniku tweedową marynarkę. Na koniec zmienił jeszcze rozczłapane półbuty na stan smithy Adidasa.

Kiedy podjeżdżał pod warsztat, wyszło akurat słońce, a że pora była już późna, światło raziło w oczy. Markowe okulary słoneczne, włożone tym razem z konieczności, dopełniły obrazu zupełnie innego człowieka.

– Dzień dobry, pani Karolino. – Uśmiechnął się, zdejmując je.

– Dzień dobry, panie Marku. – Również się uśmiechnęła, a w środku poczuła delikatną ekscytację, która spowodowała nawet, że zawiesiła się na moment. Po sekundzie dodała dla pokrycia zmieszania: – Jak tam samochód?

– Wszystko gotowe, dzwoniłem. Niestety dwie opony musieli wymienić na nowe, nie dało się ich zreperować. Dali je na przednią oś, bo jest ważniejsza, więc lepiej mieć tam lepsze opony.

– Możliwe. – Uśmiechnęła się. – Bardzo dziękuję. Idę płacić, a potem zapraszam może do mnie na lampkę wina.

– Pani Karolino, z największą przyjemnością, ale dziś nie dam rady, mam jeszcze zobowiązania zawodowe. Może kiedy indziej? – Marek popatrzył jej prosto w oczy, lecz tylko chwilowo i zaraz udał, że lekko się płoszy.

Oczywiście o niczym innym nie marzył już w tej chwili bardziej niż o lampce wina i ewentualnie wszystkim tym, co owa lampka mogła przynieść w konsekwencji, ale najważniejsza była strategia. Ona zaś podpowiadała, że choć Karolina też miała lekką ochotę na lampkę wina z nim i nie proponowała jej

wyłącznie z czystej kurtuazji, to teraz należało zrobić wszystko, żeby z ochoty lekkiej zrobiło się coś, nad czym później trudniej będzie jej już zapanować.

– Jasne – powiedziała z uśmiechem, spod którego wprawne oko było w stanie wyłowić delikatny zawód, po czym dla pokrycia tegoż szybko dodała: – Mój grafik jest dość powtarzalny, więc po prostu wieczorami przeważnie jestem u siebie. Zapraszam, kiedy tylko znajdzie pan wolną chwilę.

– Znajdę rychlej, niż pani sądzi. Może jutro?

– Jutro, świetnie. – Uśmiechnęła się znowu. Teraz pod uśmiechem nie było już zawodu.

Marek, choć zagrał tę scenę z niemałym wysiłkiem, bo naprawdę wolał na lampkę z Karoliną nie czekać do jutra, miał też rzeczywiście plany na dalszą część dnia. Zaraz po tym, jak rozstali się pod warsztatem i Karolina odjechała w stronę domu, on wsiadł do swojego saaba i ruszył w drugą stronę, do Trasy Toruńskiej, a nią dalej na zachód i potem południe, w kierunku Grójca. Do zmroku pozostawały jakieś dwie godziny. Akurat tyle, żeby dojechać tam i jeszcze za dnia rozejrzeć się trochę po okolicy.

7. PRZESZŁOŚĆ

Marek przybył do Warszawy w wieku dziewiętnastu lat. Tutaj z wyróżnieniem ukończył polonistykę na Uniwersytecie Warszawskim, później jakiś czas pracował jako asystent redaktora naczelnego w jednym z pism literackich, skąd trafił do Ministerstwa Kultury. Przed Warszawą był jednak inny rozdział w jego życiu, prawdopodobnie ważniejszy o tyle, że to tamten czas i okoliczności uformowały go tak, że najpierw utknął, a teraz zbliżał się powoli i nieuchronnie do swojego pierwszego zabójstwa.

Tamten rozdział związany był z dzieciństwem spędzonym w oddalonej o blisko czterdzieści kilometrów od Warszawy wsi Bogatki.

W Bogatkach Marek wychował się w z pozoru normalnym domu, w którym oboje rodzice pracowali na roli, a konkretnie w PGR-ze. Po pracy matka zajmowała się domem, ojciec zaś odpoczywaniem z butelką w ręku.

W domu Marka miały miejsce trochę dziwne wypadki, których on ani wtedy, ani do dzisiaj do końca nie pojął. Jakieś dwa kilometry od domu, wysoko na skarpie władza ludowa wybudowała sobie ambonę, ale nie taką klasyczną, czyli balkonik na drewnianych balach, tylko ambonę luksusową, wielki betonowy przeszklony taras, na który co i rusz zjeżdżały się hordy lokalnych, a często też zagranicznie egzotycznych decydentów i kacyków.

Z ambony trochę strzelano, ale głównie korzystano z faktu, że była luksusowa, zadaszona oraz w miarę obszerna, i organizowano na niej pijackie wielodniowe imprezy, a w ich trakcie działy się rzeczy, które nie śniły się filozofom, i to nawet

takim, którzy mieli koszmary po trudnym dzieciństwie. Czasem efektem tych pijackich burd były różnego rodzaju niefortunne zdarzenia i ktoś musiał po tych zdarzeniach posprzątać.

Traf chciał, iż w związku z tym, że ich dom znajdował się w pobliżu, ojciec i matka Marka wiedzieli o tym wszystkim więcej niż ktokolwiek inny. Z ludźmi zaś, którzy za dużo wiedzą, można zrobić dwie rzeczy: uśmiercić ich, ale to może nastreczyć dodatkowych problemów, albo ich skorumpować, co wydaje się znacznie praktyczniejsze i skuteczniejsze.

Innymi słowy, tata pomagał sprzątać po imprezach.

Co to dokładnie oznaczało? Marek nie pierwszy raz się nad tym zastanawiał, stojąc teraz w rogu zatapiającego się powoli w wieczornym mroku podwórza.

Bywał tu bardzo rzadko, czasem raz, czasem dwa razy do roku. Spędzał tu dzień, bywało, że kilka, a zależało to głównie od tego, co w danym roku się rozsypało i co wymagało naprawy. Nigdy tu jednak nie spał i nigdy nie zamierzał tu spędzić więcej czasu, niż to było konieczne.

Po co zatem reperował? Czemu nie pozwalał temu dziwnemu miejscu, z historią, której do końca nie rozumiał ani też pewnie nie znał, ale która mąciła mu umysł, po prostu sczeznąć i w proch się obrócić? Do tej pory nie miał pojęcia. Czasem myślał, że może chodzi o to, że kiedyś to sprzeda. Lepiej sprzedawać w dobrym stanie niż w rozpadzie. Innym razem przychodziło mu do głowy, że może kiedyś będzie tu chciał spędzać czas jego syn albo wnuk czy wnuczka.

Tak naprawdę chodziło jednak o coś zupełnie innego.

Marek utrzymywał to miejsce w stanie zamrożenia, bo coś w jego głowie chciało kiedyś jednak pojąć, co tak naprawdę go ukształtowało. Łatwiej wrócić do przeszłości, gdy jest taka, jaką ją zostawiliśmy, niż do ruiny, która nic nie przywołuje już na myśl. Poza tym ojciec, którego wprawdzie w głębi serca nienawidził, gdy umierał, kazał mu doglądać, a on, który z lęku zawsze go słuchał za życia, posłuchał go też i po śmierci.

Pachniało ziemią, chłodem, trochę mchem, może pleśnią. Zawsze tak samo, czasem latem tylko nad te stałe zapachy wybijał się jeszcze jeden, zapach kwiatów, czyli życia.

Samochód zostawił we wsi na górze, pod sklepem spożywczym, gdzie stało już kilka aut, więc nie rzucał się w oczy. Normalnie podjeżdżał na samo podwórko, było to możliwe, niekiedy tylko utrudnione, gdy wylewała płynąca u podnóża wzgórzka, na którym stało obejście, rzeczka Jeziorka.

Dziś przyjechał, by się rozejrzeć, zastanowić i przygotować miejsce, w którym już wkrótce zamierzał umieścić, oczywiście wbrew jej woli, a także prawdopodobnie świadomości, swoją nową sąsiadkę, Karolinę.

Jako że Marek przewidywał swoje nieco częstsze tutaj wizyty, w okresie między umieszczeniem tu Karoliny a jej anihilacją, obawiał się, iż ktoś zaciekawiony nową sytuacją może go odwiedzić. Poza tym dom stał na takim odludziu, że właściwie w każdej chwili ktokolwiek mógł się do niego także włamać. Innymi słowy: do ceglanego domu mógł zawitać ktoś oprócz niego.

W domu piwnica nie była głęboka, znajdowała się tuż pod podłogą, a on nie mógł przecież zostawić tu Karoliny na kilka dni zakneblowanej, bo wtedy umarłaby prawdopodobnie bez jego udziału, to zaś kompletnie nie wchodziło w rachubę. W mieszczącej się obok stodoły pod podłogą od zawsze był schowek. Ojciec twierdził, że ktoś go pewnie stworzył, żeby schować w nim zboże przed poborcami podatkowymi. Później w czasie okupacji, jak wieść gminna niosła, poprzedni właściciele ukrywali w nim Żydów. Sprawa podobno skończyła się fatalnie. Ktoś doniósł, zginęli i Żydzi, i właściciele domu. Jego dziadkowie byli przesiedleńcami ze wschodu i dom objęli w posiadanie kilka lat po wojnie.

Marek wiedział o istnieniu schowka, ale przez lata nie wolno mu było do niego ani zaglądać, ani nawet się zbliżyć. W stodole nie było inwentarza, służyła bardziej jako magazyn, w środku stała przez lata stara nyska i dwa motory Junak. W piwniczce stodoły ojciec okresowo coś, a może – co gorsza – kogoś, przetrzymywał.

Gdy teraz odsunął zeschnięte siano, podniósł klapę i zajrzał w mroczne wnętrze, po plecach przebiegł mu dreszcz. Dawniej byłby to na pewno dreszcz wywołany wyłącznie lękiem, dziś była to mieszanina starego strachu i nowej ekscytacji. Do środka prowadziło najpierw kilka schodków, które kończyły się sporych rozmiarów pomieszczeniem oszalowanym deskami. Dalej były drzwi do kolejnego.

Ciekawe, kto i kiedy uczynił to miejsce tak przestronnym. Czy było takie od początku, to znaczy od momentu, gdy się tu sprowadzili, czy może to ojciec albo jacyś przysłani tutaj przez tamtych dziwnych ludzi pomagierzy stworzyli tu to nieomal mieszkanie? Doprowadzona była nawet elektryczność.

Marek wszedł do kolejnego pomieszczenia oddzielonego od tego pierwszego niskimi drzwiami zbitymi z desek. Na szalowaniu podłogi w desce wydrążony był otwór, który dalej przechodził w stalową, przerdzewiałą już gdzieniegdzie rurę. Przewód wentylacyjny, pomyślał. Jeśli będzie krzyczała do rury, kręcący się w pobliżu ludzie mogą ją usłyszeć. Będzie musiał sprawdzić, gdzie jest wylot przewodu, i jakoś go zaizolować, żeby cyrkulowało powietrze, ale już nie dźwięk.

Na drewnianej pryczy wzdłuż ściany leżały jakiś podgniły siennik i koc. Marek wziął go do ręki, powąchał. Nie miał pojęcia, co spodziewa się poczuć i po co w ogóle wącha, ale koc śmierdział wyłącznie stęchlizną. Nie było na nim śladu po zapachu człowieka, który zapewne kiedyś pod nim leżał.

Na koniec rozejrzał się jeszcze dokładnie po wnętrzu, następnie wyciągnął z kieszeni głośnik bezprzewodowy, ustawił go na pryczy, sprzągnął z telefonem, puścił serię efektów dźwiękowych oraz krzyków i oświetlając sobie drogę powrotną, wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Potem przeszedł przez większe pomieszczenie i po schodkach wyostał się z wykopu. Klapę z desek przygniół belą siana i wsłuchał się w ciszę. Krzyki, które słyszał jeszcze przed momentem, gdy był wewnątrz, teraz stały się niesłyszalne.

Kiedy wrócił do Warszawy, w mieszkaniu Karoliny nie paliło się światło. Czy dlatego, że jego wybranka poszła już spać, czy może wręcz przeciwnie, wyszła

gdzieś w miasto, żeby wina, którego chciała się napić z nim, napić się z kimś innym?

Marek wszedł do mieszkania sąsiadującego przez ścianę z jej, włączył laptopa i program do odsłuchu zainstalowanych w różnych miejscach pluskiew. Wybrał jej telefon, przez moment nie słyszał nic, tylko szum ciszy, gdy jednak zwiększył głośność i przepuścił dźwięk przez filtr odszumiający, po chwili usłyszał jej spokojny oddech. Karolina spała. Nie poszła w miasto, była tuż obok, za ścianą zbudowaną z jednego rzędu pustaków. Marek nalał sobie do szklanki whisky i usiadł obok komputera. Spokojny oddech Karoliny był wszystkim, czego teraz potrzebował.

8. LEWE SANKI

Kolejnego dnia Zuza po odprawie miała w końcu trochę czasu. Weszła więc w powiązany z krajowym systemem informacji policji rejestr mężczyzn oskarżonych o gwałty i stalking, zawężyła kryteria do Warszawy i do wieku trzydzieści–pięćdziesiąt lat, bo miała wrażenie, że facet, którego zarejestrowały monitoringi, mieścił się w takim właśnie przedziale wiekowym. Dostała około stu wskazań i teraz rozmawiając ze swoim przełożonym przez telefon o innej sprawie, którą akurat przekazywali do prokuratury, nieco machinalnie przechodziła od zdjęcia do zdjęcia.

Nagle jej wzrok przykuł facet o długich jasnych włosach. Zenon Marczak, wiek czterdzieści dwa lata, mieszkaniec Pragi-Północ, oskarżony dwa lata temu o zgwałcenie swojej konkubiny, która już rok wcześniej założyła mu niebieską kartę. Sprawa odbyła się w zeszłym roku, kobieta finalnie wycofała zarzuty i Zenon z sali sądowej wyszedł jako wolny człowiek. Zuza wynotowała numer sprawy...

– Słyszysz, co mówię? – Głos komendanta wyrwał ją z zamyślenia.

– Nie, właśnie nie słyszałam, coś przerwało. Możesz powtórzyć?

– Musisz dołączyć jeszcze to zeznanie sąsiada. Ono jest kluczowe. – Komendant nieco zniecierpliwiony powtórzył coś, co powiedział do niej przed chwilą.

– Dołączyłam już, przecież to oczywiste.

– Oczywiście, ale jakoś do tej pory nie było.

– Bo nie miałam podpisu, a teraz mam. – Zuza spojrzała na ekran. – Znasz prokuratora Antczaka z Pragi-Północ?

– Znam. A co on ma do rzeczy?

– Do tej nic, ale ma do innej. Ja pracuję na wielu odcinkach.

– Aha, a ten odcinek jest o czym?

– O pewnej kobiecie, którą ktoś próbuje stalkować i zastraszyć.

– To jest wydział zabójstw i terroru kryminalnego.

– Czyli mam poczekać, aż ją zabije?

– Nie mogę z tobą. – Komendant westchnął ciężko. – Przyjdź, dam ci numer do Antczaka, muszę poszukać.

Zuza skontaktowała się z prokuratorem Antczakiem, który nie chciał rozmawiać o sprawach służbowych przez telefon, więc umówili się w bistro po drugiej stronie alei Solidarności.

Komisarz była tam pół godziny później. Miała w pracy wiele innych, teoretycznie pilniejszych spraw, ale po pierwsze tamte nie dotyczyły jej przyjaciółki, a po drugie ludzie w nich przeważnie już nie żyli, więc nie było pośpiechu, a tu miała złe przeczucia, więc był.

Prokurator stanowił spore zaskoczenie. Przede wszystkim był przystojny, a poza tym miał całkiem dobrze skrojony garnitur zakończony u dołu ładnymi półbutami typu oksford. Może jest na wylocie ku karierze sędziowskiej albo idzie w mecenasy – pomyślała Zuza zaraz po tym, jak uścisnęli sobie dłonie.

– Czyli tam było coś więcej oprócz przemocy rodzinnej? – Zuza wysnuła prosty wniosek z tego, co prokurator właśnie jej opowiedział o Zenonie Marczaku.

– Tak, coś było. Ta konkubina się wycofała i nie chciała już nawet z nami więcej o tym rozmawiać, a myślę, że mogła opowiedzieć jeszcze wiele ciekawych rzeczy nie tylko o tym, co robił jej, ale może też innym. Była z nim chyba ze trzy lata. – Prokurator pokiwał głową, jakby sam do siebie, po czym właśnie wypowiedziane zdanie popił łykiem wystygłej kawy.

– Była?

– Tak, zaraz potem, z tego, co wiem, się rozstali. Może taka była umowa. Ona nie mówi, a on pozwala jej odejść.

– Tacy ludzie przeważnie nie są zbyt słowni.

– Nie są, więc tym bardziej sędzę, że ona wie dużo, bo tylko dzięki temu on dał jej spokój. – Prokurator się uśmiechnął.

Zuza zrobiła to samo. I do tego ma naprawdę sporo wdzięku – pomyślała. Kto wie, może gdyby nie była już tak bardzo zakochana w kimś innym, podjęłaby grę, którą on właśnie rozpoczął, patrząc na nią zdecydowanie zbyt długo i przeciągle.

Zuza od dziesięciu bez mała lat miała męża, ale to nie z jego powodu nie mogła ulec urokowi przystojnego prokuratora Antczaka. Jej serce, i to na długo przed mężem, skradł ktoś zupełnie inny. Ktoś, kto nawet o tym nie wiedział, bo wiedzieć nie mógł, bo i tak nie byłby w stanie odwzajemnić jej uczuć.

– Da mi pan namiar do niej? – zapytała, uśmiechając się trochę zalotnie.

On jednak był inteligentny i to również emocjonalnie, więc wiedział doskonale, że nic nie wydarzy się w ślad za tym uśmiechem.

– Nie powinienem.

– Wiem, ale staram się kogoś ochronić przed możliwym dramatem – powiedziała dobitnie.

– Jak my wszyscy. – Uśmiechnął się raz jeszcze, ale teraz Zuza w tym uśmiechu dostrzegła cień głębokiego smutku.

Jaka szkoda, naprawdę ciekawy facet. Spojrzała na jego ładną dłoń, która właśnie teraz sięgnęła po telefon, i prokurator Antczak zaczął przeglądać książkę z kontaktami.

Justyna Polaczek na spotkanie z komisarz Zuzanną Walicką nie zgodziła się łatwo. Komisarz musiała ją trochę postraszyć, trochę zachęcić, a trochę też wziąć pod włos, mówiąc jej już przez telefon, jak bardzo podziwia jej odwagę i wytrwałość. Nie musiała zresztą zbytnio kłamać, bo naprawdę podziwiała kobiety za to, że były

w stanie wytrwać w sytuacji upokorzeń, a często także przemocy doznawanej od swoich partnerów. Tak naprawdę czuła z nimi również rodzaj solidarności, bo jej również przemoc domowa nie była do końca obca.

– Jak to było? – zapytała od razu po tym, gdy usiadły przy stoliku schowanym w najdalszym kącie kawiarni na warszawskim Żoliborzu.

Z Żoliborza nie była wprawdzie żadna z nich, ale obu zależało na tym, by rzecz odbywała się w jak najbardziej anonimowych okolicznościach. To znaczy głównie zależało na tym Justynie, lecz Zuzie też właściwie było na rękę, że spotkają się gdzieś daleko od jej miejsca zamieszkania. Nie chciała, żeby o jej dochodzeniu w sprawie Karoliny dowiedział się na przykład jej mąż, Rafał.

– Jak co było? – spytała Justyna, pociągnąwszy przez słomkę spory łyk postawionego jej przez Zuzę drinka.

– Jak było z Zenonem? Ale najlepiej od początku.

– Pamiętnik pani pisze? – zażartowała Justyna w swoim knajackim nieco stylu.

– Nie, dochodzenie prowadzę w sprawie pani byłego – zripostowała szybko Zuza.

– Mówiłam, że ja nie chcę się pojawić w żadnych papierach, ani nic – zachnęła się tamta.

– A ja mówiłam, że się nie pojawisz. To jest dochodzenie w innej sprawie, od ciebie chcę się tylko dowiedzieć, jaki on ma styl – zdenerwowana Zuza trochę z policyjno-śledczego automatu przeszła z kobietą na ty.

– Styl? Zależy. Na początku osacza, nawet jest miły, błyskotki, liściki, kręci się wokół ciebie jak gówno w przerębli, nie możesz się opędzić, jakby świata poza tobą nie widział, a potem powoli wyłazi z niego cham. – Justyna skończyła zdanie i popiła je od razu kolejnym głębokim haustem.

Zuza popatrzyła na prawie już pusty pokal, sto gram wódki z dwustoma gramami pośledniej jakości soku pomarańczowego zniknęło w dwóch podejściach. Justyna nie była prawdopodobnie świadkiem najbardziej rzetelnym i miarodajnym, ale innego na razie nie miała.

– Czasem szybciej – powiedziała Zuza refleksyjnie, po czym dodała dla wyjaśnienia: – Czasem szybciej wychodzi cham.

– Może i szybciej, tylko jak kobieta się zapatrzy, to też nie od razu widzi – odparła Justyna w nie mniej refleksyjnym tonie.

– Zawarliście układ?

– Jaki układ?

– Że on się odpierdoli, jak ty wycofasz zeznania.

– Nie było układu, samo tak jakoś wyszło. Nikt niczego nie zawierał.

Komisarz patrzyła na nią chwilę, a następnie pokiwała głową.

– Wiesz coś o tym, że podobnie osaczał inne kobiety? – zapytała w końcu.

Justyna, zamiast odpowiedzieć, zerknęła znacząco w stronę baru, za którym na półce lśniły butelki z wódką i kartony z sokiem, który nigdy nie widział nawet pomarańczy.

– Na odwyk byś poszła – zasugerowała Zuza.

– Pójdę... kiedyś, jeszcze nie teraz.

Zuza pomyślała, że ma oto przed sobą wciąż jeszcze atrakcyjną dziewczynę, która mogłaby w życiu osiągnąć normalność, ale wielopokoleniowy los zdeterminował ją do tego, żeby na odwyk poszła kiedyś, jeszcze nie teraz. Po chwili skinęła na kelnerkę. Nie jej rolą jest zawracać bieg rzeki.

– Tak... – Justyna wróciła do porzuconego wcześniej wątku. – Po jakimś czasie zaczęłam mieć wrażenie, że chodzi na boki. Przeglądanie telefonu, szukanie kwitków w rzeczach do prania, takie tam różne sposoby zdradzanej kobiety. Szybko się połapałam, że nie ma za bardzo o co być zazdrosnym. Chyba od tego momentu zaczęłam się naprawdę go bać.

– Bo? – zainteresowała się Zuza.

– To, co pisał do tych kobiet, zdjęcia, jakie im robił z ukrycia... Zrozumiałam, że musi je śledzić, niektóre o tym wiedziały, inne pewnie nie. Nawet nie wiem, co gorsze.

– Najgorsze wiedzieć i nic z tym nie zrobić. – Zuza popatrzyła na nią znacząco. – Jak go skrucimy, to spod celi ci raczej nie zagrozi.

– On ma kolegów, wszędzie, wielu siedzi u niego w kieszeni. – Justyna spuściła głowę.

– To ich też skrucimy.

– Wszystkich pani nie wyłapie.

– Wyłapię wystarczająco wielu.

Justyna przez jakiś czas kiwała się na krześle, jakby miała chorobę sierocą.

– On może nie zawsze taki był – odezwała się po chwili. – Wcześniej chyba była jakaś żona, jakieś dziecko nawet.

– Nikt z nich nie był taki od zawsze.

Marek też rzecz jasna znał Zenona. Z tego, co pamiętał, znajomość ta wzięła się z projektu jakiegoś dokumentu filmowego, który opiniował w ministerstwie, zanim przyznano fundusze. Ktoś chciał zrobić film o subkulturze praskiej, Zenon pojawiał się tam jako jeden z potencjalnych bohaterów.

Stamtąd też, jak sądził, miał jego zdjęcia. Na fotografiach twarz była wprawdzie zblurowana, ale to i tak nie miało przesadnego znaczenia, bo w jej miejsce musiał wstawić swoją. Uwagę musiały ściągnąć inne elementy charakterystyczne, w tym wypadku długie, jasne włosy i obfity zarost w tym samym kolorze.

Pomijając wszelkie inne aspekty sprawy, Zenon był bandytą, więc to, że zostanie prawdopodobnie zatrzymany i może tym razem zamknięty na dłużej, Marek traktował przy okazji wręcz jako rodzaj misji.

Po latach przygniecenia samym sobą, własnym wychowaniem, może też jakąś cholernie popsutą biochemią mózgu Markowi udało się wyrwać do świata, o którym zawsze marzył, świata intensywnych doznań, emocji i wszystkiego tego, co dawał jasno wytyczony i doskonale widoczny na horyzoncie wydarzeń cel, a to, że przy okazji doprowadzi do osądzenia i prawdopodobnego uwięzienia bandyty,

było jakby wisienką na torcie całego przedsięwzięcia i nie miało tu znaczenia, że Zenon Marczak pójdzie siedzieć za nie swoją przewinę.

A co z jego, Marka, konsekwencjami? Przecież zabije człowieka, unicestwi byt. Wyrządzi krzywdę nie tylko tej, którą zgładzi, ale też jej rodzinie, przyjacielom, całemu jej otoczeniu. Co z tym wszystkim?

Okaże się. Zajmie się tym, gdy to już się zdarzy.

Czuł w sobie taki potencjał i siłę do pokonania tamtych, do wywiedzenia ich w pole, że nie dopuszczał nawet myśli o tym, że kiedyś mógłby trafić przed sąd. Nie mówiąc już o tym, żeby mieli go skazać i by miał trafić do więzienia. Komisarz Walicka była wprawdzie godną przeciwniczką. Nie wyobrażał sobie, by mierzyć się z kimś o niższym potencjale inteligencji, mniej uzdolnionym w dochodzeniowym fachu. Była trudnym antagonistą, ale nie takim, który mógł go pokonać, bo Marek czuł się teraz absolutnie niepokonany i niepokonywalny.

Wszystko to jednak nie przeszkadzało mu w tym, żeby przy okazji, gdzieś na marginesie swoich własnych działań, karzącemu ramieniu sprawiedliwości podsyłać innych delikwentów. A nuż w matematyce moralności istnieje jakieś równanie, które po zsumowaniu zła i dobra wystawi mu w tej sytuacji zwolnienie od Hadesu. Takim delikwentem, cyferką w równaniu, którą Marek namierzył już dawno i którą teraz z przyjemnością wystawił komisarz Zuzannie Walickiej, był właśnie Zenon.

9. WIZYTA

Tego wieczora Marek zapukał w końcu do drzwi Karoliny. Zapukał nie w byle jakim momencie, tylko dokładnie w tym, w którym miał zapukać. Karolina nie podeszła do drzwi od razu, co zupełnie go nie zdziwiło. Kiedy otworzyła, stanęła przed nim w szlafroku i z mokrymi włosami, co dodawało jej jeszcze zresztą uroku.

– O rany, przepraszam, ja to mam naprawdę... gorszego momentu nie mogłem wybrać. – Marek zaczął się wycofywać w kierunku drzwi do swojego mieszkania.

– Ale nie, nic, luz. To dobry moment, tylko włosy trochę ogarnę, proszę wejść. – Uśmiechnęła się spomiędzy kosmyków spływających jej miękko na twarz. – Poczekaj pan moment w salonie?

– Jasne, ale może przyjdę po prostu później albo jutro może wcześniej? – Marek łamał sobie język na tyle bezradnie, że naprawdę przekonująco.

– To w końcu wcześniej czy później? – Zaśmiała się.

– Jak pani woli. – Spuścił oczy zawstydzony swoją nieporadnością.

– Wolę wcześniej. – Popatrzyła na niego na tyle długo, że ich spojrzenia wreszcie się skrzyżowały. – Wejdz. – Karolina skróciła dystans, przechodząc przy okazji na ty bez dodatkowych formalnych ceregieli. Po chwili wskazała kanapę. – Za minutę jestem.

Wszedł. Dlaczego na swoje przybycie wyczekał taki właśnie moment? Bo chciał zagrać skrępowanego, bo chciał, żeby była prawie naga, bo to jednak zawsze skraca dystans, jeśli oczywiście ktoś tego chce. A ona tego chciała, był tego pewien.

Był jeszcze jeden powód. Oprócz wszystkich tych manipulacji i tego, w jaki stan zamierzał ją wprowadzić, on sam też chciał zobaczyć ją taką. Też chciał wprowadzić się w stan. Oczywiście jego namiętność nie mogła porwać do końca, ale nie do końca nie oznaczało przecież, że wcale.

– W kredensie są kieliszki i jest wino, wyjmiesz?! – usłyszał jej wołanie z łazienki.

– Wyjmę! – odkrzyknął.

Czy się czegokolwiek obawiał? Czy brał pod uwagę, że to ona wraz ze swoją przyjaciółką mogą rozegrać jego? Tak, ale w bardzo niewielkim procencie. Prawdopodobieństwo takiej sytuacji było skrajnie niskie.

Miał je obie, a Karolinę w szczególności, właściwie cały czas pod kontrolą.

Kiedy wyszła, kieliszki stały już na stole, a wino było otwarte.

– Cieszę się, że przyszedłeś.

Jej włosy wciąż były jeszcze trochę mokre. Teraz były jednak mokre inaczej, bo nie spływała po nich woda, teraz były miejscami posklejane, miejscami puszyste, sterczały gdzieś tam, ale wszystko to dodawało jej uroku, czyniło ją bardziej dziką, a przez to ponętną.

Wiedziała o tym zresztą chyba doskonale, gdyby nie to, nie wyszłaby przecież taka. Kobiety sporo wiedzą o tym, jak wyglądają i co to robi z facetami, pomyślał. Zresztą im bardziej to wiedzą i im bardziej potrafią tym grać, czując, że druga strona ma tego świadomość, tym bardziej to wszystko staje się ekscytujące. Było to dość wielopoziomowe, a jako że on bardzo dawno nie wędrował po tych poziomach, to teraz ta akrobatyka podniecała go tym mocniej.

– Powinienem najpierw zadzwonić chyba. – Marek nadal się krygował.

– Po co? – Karolina podsunęła mu kieliszek. – Mieszkamy tak blisko, że szybciej zapukać, niż wyciągnąć komórkę.

– To prawda. – Dał się przekonać.

Przez moment pili wino, nic nie mówiąc.

– Czym się zajmujesz? – zapytała po chwili, rozbijając nasycone podtekstami milczenie. – Kiedy oczywiście akurat mi nie pomagasz.

– Jestem pracownikiem departamentu prawa autorskiego i filmu w Ministerstwie Kultury – zaczął, nie patrząc na nią, po czym dodał z uśmiechem: – Taka raczej urzędnicza robota.

– Może i urzędnicza, ale w kulturze jednak. – Ona nie miała problemu z patrzeniem na niego.

Dziwiło ją trochę, ale może nawet bardziej jej schlebiało, jego skrępowanie. Oczywiście, zgodnie zresztą z jego przypuszczeniami, słyszała doskonale, jak poczynał sobie zaledwie kilka dni temu z Bożeną. Jeśli zatem wobec niej stał się nagle tak introwertyczny, to mogło oznaczać tylko jedno. Podobała mu się bardziej od tamtej kobiety i prawdopodobnie właśnie to zamyka go na kontakt z nią.

– A ty? Czym się zajmujesz? – spytał, bo przypomniał sobie nagle, że powinien.

– Mam taki mały start-up, niedużą firmę z branży nowych technologii, założyłam ją ze współnikiem. Wymyślamy aplikacje różnego rodzaju. – Karolina się ożywiła.

Gadali jeszcze jakiś czas i gadało im się całkiem dobrze. Przy czym z jej perspektywy było to szczere i niepodrzyte niczym innym, z jego natomiast sprawa była dalece bardziej skomplikowana. Dokończyli jej wino, a potem jeszcze jedną butelkę, którą on przyniósł ze sobą. Po tym wszystkim ona miała nadzieję, że on zostanie, a on znów żałował, że nie może tej nadziei zadośćuczynić. Kiedy zaś usiadła obok niego na kanapie, zrobiło się już naprawdę trudno.

– Muszę iść – powiedział przez ściśnięte gardło.

Tym razem nie grał, mógł wreszcie być sobą, czyli facetem, który iść nie chce, ale musi. Dlaczego musi, nie miało dla ściśniętego gardła aż takiego znaczenia.

– Czemu? – zapytała z rozbijającą szczerością.

– Jutro rano wcześniej zaczynam, mam spotkanie z ministrem i... – skłamał i się zaciął.

– I...? – To zacięcie zainteresowało ją najbardziej.

Minister i spotkanie wcześniej rano kompletnie jej nie przekonały. Marek myślał szybko. Nie przygotował się na sytuację, w której emocje odbiorą mu zdolność zimnej kalkulacji i spokojnego skupienia.

– I... I jeszcze nie... – rzekł tylko.

Tym razem też był szczery, więc, choć nie rozumiała, przekonał ją. To, że jeszcze nie, wynikało akurat z zimnej kalkulacji, tyle że owa nie przewidywała, iż może się zrobić tak gorąco. Nagle Marek poczuł dotyk ciepłych, miękkich i delikatnie spierzchniętych warg na swoich. „Jeszcze nie...” stanęło na ostrzu noża.

– To chociaż tyle – powiedziała Karolina i uśmiechnęła się delikatnie. – Na razie.

Jak wstać? Jak teraz stąd wyjść? Czuł się jak człowiek, który w środku nocy obudził się w płonącym domu. Przez jego głowę, przez wyobraźnię przebiegły nagle wszystkie obrazy, które obmyślał tygodniami. Zobaczył i poczuł, jak bierze ją brutalnie, a ona gaśnie w jego ramionach z upływu krwi.

– Aż tyle... – odparł trochę idiotycznie, wrywając się jednocześnie z matni swoich wizji.

Po chwili wstał w końcu jakoś, choć nie bez trudu, i ruszył do drzwi.

– Muszę iść, bo... – usprawiedliwiał się jak sztubak.

– Wiem, idź. Ale wróć – odpowiedziała z ledwie wyczuwalną nutą żalu w głosie.

10. EMOCJA

Kolejne dni upływały mu na myśleniu o niej, co starał się przykryć działaniem przygotowującym go do jej unicestwienia.

Cała ta sytuacja paliła się w nim ogniem tak żywym, że aż chwilami oślepiającym. A on przecież nie mógł być oślepiony. Zamyśł i istota, sama esencja przyjemności tkwiła w panowaniu nad emocjami.

Przez cztery dni nie widział się z Karoliną, ale widział ją cały czas przed sobą. Każdego kolejnego dnia po pracy zmieniał samochód, strój i specjalnie opracowaną trasą, na której nie było kamer monitoringu, wyruszał do domu w Bogatkach. Tam spędzał od pięciu do sześciu godzin, trochę błąkając się po mrokach swojego dzieciństwa, ale głównie przygotowując miejsce pod stodołą na przyjęcie gościa.

Do zrobienia pozostawało kilka rzeczy, z których najważniejszą było zapewnienie stuprocentowej dźwiękoszczelności pomieszczenia. Dlatego Marek zerwał najpierw drewniane szalunki ze ścian, następnie obłożył je częściowo opakowaniami po jajkach, częściowo specjalnymi ekranami z włókien, a częściowo po prostu watą szklaną i dopiero na tak przygotowanych powierzchniach odtworzył konstrukcję z desek. W ten sposób, gdyby nawet Karolina, która miała być przyczepiona łańcuchem za nogę do wmurowanego w środku pomieszczenia kółka z pręta zbrojeniowego zalanego w betonie, dostała się jakimś cudem w pobliże ściany, nie byłaby w stanie zerwać desek i dostać się do wytłumienia.

Pracował więc w swoim rytmie, uspokajając się przy tym i skupiając na realizacji zadania. Swoją drogą, kiedy Marek to robił, zastanawiał się, jak ten

problem rozwiązywał jego ojciec. Przyszło mu do głowy, że po pierwsze prawdopodobnie przetrzymywał tu ludzi krócej, niż to planował on, a po drugie, co ważniejsze, przez cały czas był na miejscu. Nawet jeśli ktoś zaczynał się wydierać i słychać go było na zewnątrz, ojciec w każdej chwili mógł zejść na dół i zakneblować go albo uciszyć w inny sposób.

Czy tata był psychopata, tak jak on? Nie, chyba raczej nie. Ojciec prawdopodobnie robił to, co robił, głównie dlatego, że nie miał innego wyjścia. Odkąd tamci towarzysze partyjni z betonowej ambony mieli świadomość, że jest świadkiem, sytuacja stała się jasna. Zabicie go byłoby dla nich kłopotliwe o tyle, że musieliby też zabić jego żonę, syna i siostrę. Nie było to oczywiście niewykonalne, ale po co zabijać, skoro można skorumpować. Ojciec również doskonale zdawał sobie sprawę, że wyjścia są w zasadzie dwa. Wybrał wariant z przeżyciem, swoim i ich. Przy okazji później tamci, korumpując go pieniędzmi i talonami na traktory, uczynili go współwinnym, bo ktoś współwiny zachowuje się zupełnie inaczej niż ktoś, kto jest jedynie świadkiem uwikłanym lękiem o własne życie.

Dużo myślał o ojcu i o tamtych latach, kopiąc, betonując i instalując wszystko to, co było potrzebne do sprawnego uwięzienia Karoliny w domu jego dzieciństwa. Co miał z niego i przede wszystkim dlaczego niósł to brzmie i kopiował sytuację zamiast po prostu się od niej uwolnić? Właściwie to w jakimś sensie był gorszy od niego. Ojciec to, co robił, robił zdaje się też, a może nawet przede wszystkim, żeby ratować rodzinę. On nikogo nie ratował. Powtarzał więc formę, choć nie było już treści.

Na razie jednak głównie chciał ją już po prostu zobaczyć i to nie tylko za pośrednictwem lornetki, której używał do jej obserwowania, kiedy przyjeżdżała pod dom, i nie tylko za pośrednictwem zhakowanej kamery jej komputera i telefonu. Chciał ją zobaczyć na żywo. Chciał, ale jednocześnie przyjemność sprawiało mu to, że musi oddalać ten moment, lubił to dawkowanie.

Nagle jednak zdarzyło się coś, czego zupełnie nie przewidział, coś, co znów zburzyło mu radość z ekscytacji i nieomal zepchnęło z powrotem w odmęty pustki, z których z takim trudem się wydobył. Piątego dnia zrobił sobie przerwę w pracach

remontowych i w ramach rozrywki włączył odsłuch jej telefonu. Nagle usłyszał w nim męski głos. Nie ma w męskich głosach zasadniczo nic aż tak złego, Karolina miała przecież współpracowników, kolegów i znajomych, ale ten nie należał do żadnej z wymienionych kategorii.

Nie był ani współpracownikiem, ani kolegą, tylko poznanym na Tinderze facetem, z którym Karolina umawiała się na szybką randkę u niego w domu. Dlaczego? Markowi przyszło do głowy, że być może Karolina nie czerpała aż takiej przyjemności z tortury, jaką było przedłużające się oczekiwanie, jak on.

Rozbudził ją, rozpalił, potem zniknął, a jej ogień wymagał pilnego ugaszenia. Stąd wziął się Bartek, dwudziestokilkuletni instruktor fitnessu, jak niebawem ustalił Marek. Cóż za absurdalny banał! Rozpalił ją pracownik Ministerstwa Kultury, a zaspokoi o kilka lat młodszy od niej i ćwierć wieku od niego chłopak od kultury fizycznej? Marek najpierw obraził się na nią. Dosłownie, jak dzieciak, któremu coś stanęło na drodze do zaspokojenia doraźnego kaprysu. To właśnie był ten moment, w którym szare zaczęło wracać. Na jego szczęście i nieszczęście Bogu ducha winnego Bartka potem pojawiła się złość, która rychło przekształciła się we wściekłość.

Słyszał ich spotkanie niedługo po tym, jak spiknęli się w internecie. Słyszał wszystko, czyli o wiele za dużo. Zadzwoił kilka godzin później, tyle że tym razem dla podwyższenia poprzeczki, dla wzmocnienia efektu podszył się pod numer Zuzy.

– Cześć, Zuzka – ucieszyła się Karolina. – Super, że dzwonisz, musimy się spotkać, chcę ci coś opowiedzieć.

Tak naprawdę Karolina chciała przede wszystkim opowiedzieć Zuzie o swoim spotkaniu z sąsiadem, czyli z nim, sprawa z chłopcem z Tindera, choć była w jakimś sensie ekscytująca i uwolniła ją przynajmniej na chwilę od ogromu rozsadzającego ją erotycznego napięcia, to nijak nie mogła się równać co do ważności z tym, co przeżyła, spotykając się z nim.

Tego Marek jednak nie wiedział, co więcej nawet, gdyby to usłyszał, i tak by nie uwierzył.

Teraz, może po raz pierwszy w nowym wydaniu swojego ja, stracił kontrolę nad emocjami, myślami i właściwie nad wszystkim. Był tak rozjuszony wściekłą zazdrością, że cała dotychczasowa racjonalność, chłód, którym tak bardzo lubił gasić rozpalające się emocje, uleciały gdzieś daleko poza jego psychiczny zasięg.

Ten jeden raz mógł popełnić błąd, który kosztowałby go wiele.

– Chcesz jej opowiedzieć, jak się kurwiłaś z tym półgłówkiem z siłowni? – wybrzmiał głos zmieniony wielostopniowym syntezatorem.

Był to jednak przy tym głos brzmiący naturalnie, bo taki był też zamysł. Proces syntezy miał go upodobnić do głosu konkretnego człowieka. Nie udało się to w pełni, ale udało się na tyle, że na jakiś czas mogło ściągnąć uwagę na tamtego człowieka, który i tak był już na dochodzeniowym widelcu Zuzy.

Marek zamilkł, żeby dać Karolinie czas na namysł i zrobienie tego, co po poprzednim telefonie zaleciła jej zrobić Zuza. Karolina drżącymi rękami zaczęła szukać w komórce zainstalowanej wcześniej aplikacji. W końcu ją znalazła i nacisnęła czerwone kółko nagrywania.

– Czego chcesz, fajansie? – odpowiedziała po chwili.

Jej głos też był zmieniony, ale nie syntezatorem, a raczej mieszaniną przerażenia i wściekłości. Z jednej strony Karolina chciała uciec i ukryć się przed tym człowiekiem w jak najgłębszej dziurze, z drugiej czuła przemożną chęć, żeby od razu rzucić mu się do gardła.

– Harda jesteś – odezwał się głos. – Takie lubię najbardziej.

– Spierdalaj! – Chęć rzucenia się do gardła przechyliła szalę, ale zaraz potem kobieta przypomniała sobie, że Zuza poprosiła, by przeciągnęła rozmowę jak najdłużej, więc powtórzyła: – Czego chcesz?

– Zgadnij, czego chcę. Jak było z instruktorem wuefu?

– Było dobrze, bardzo dobrze – odbiła piłeczkę Karolina.

– No i świetnie. – Dyszkant lekko zadrzał.

Zadrzał szczerze, bo zadrzał też głos mówiącego Marka, a tego drżenia syntezator usunąć nie był w stanie.

– Zobaczmy, jak będzie dalej – dodał, po czym się rozłączył.

Zuza przez ostatnie dni nie próżnowała, a jej aktywność zawodowa skupiła się właściwie w pełni na osobie Zenona Marcza. Pozycja, którą wyrobiła sobie przez lata sukcesów śledczych, pozwoliła jej teraz rozwinąć skrzydła w sprawie, która wprawdzie swoją rangą nie bardzo pasowała do profilu wydziału, ale za to dotyczyła jej przyjaciółki.

Komendant nie miał pojęcia o tym fakcie, dlatego dziwił się trochę jej zaangażowaniu, ale przymykał na to oko. Zuza miała do dyspozycji dowolne siły i środki. Zenon był prześwietlany na wszystkie możliwe strony w KSIP-ie, w bankach, nawet w spółdzielni mieszkaniowej, policjanci tropili go w archiwach sądowych, na czatach internetowych, przeglądali jego billingi, a także oczywiście go podsłuchiwali.

Dlatego sekundę po tym, jak Karolina puściła jej nagranie z telefonu, Zuza wiedziała już wszystko. Przynajmniej tak jej się wydawało, bo tak właśnie miało jej się wydawać.

– Mamy go. – Uśmiechnęła się ze spokojem i pewnością, jakiej nie miała jeszcze bodaj przy żadnej sprawie w życiu.

– Jak to?

– Wiem, kto to jest, i wiem też, że twoje problemy właśnie się skończyły. – Zuza dotknęła dłoni przyjaciółki, po czym dodała wyjaśniająco: – Namierzyłam tego faceta już po tej sytuacji pod twoim domem. Jest dość charakterystyczny, ale teraz, kiedy okazało się, że głos ma też bardzo podobny, zyskałam pewność, więc... – policjantka zerknęła na Karolinę i namyślała się – ... poczekaj sekundę.

Prokuratora Antczaka, od niedawna cichego admiratora Zuzy, nie trzeba było długo namawiać. Ta kobieta mogła go skłonić właściwie do wszystkiego, tu jednak przesłanki były tak jasne i niebudzące wątpliwości, że nakaz zatrzymania i doprowadzenia wystawił zaocznie, bez najmniejszych nawet wątpliwości.

Zenon Marcza, wielokrotnie karany za rozboje, również te dokonane z bronią, a także za pobicia i próbę gwałtu, należał do kategorii przestępców zwanych

niebezpiecznymi. Dlatego niejako z automatu do jego zatrzymania zadysponowany został pluton antyterrorystów, którzy zastali go pod wskazanym adresem kompletnie pijanego.

Później, już na komendzie, rządzący aresztem profos schodził do Zenona parokrotnie, żeby mierzyć zawartość alkoholu we krwi, która początkowo była bardziej zawartością krwi w alkoholu. Zenon do przesłuchania nadawał się dopiero po upływie dwóch pełnych dób, choć nawet wtedy był umiarkowanie gibki umysłowo, gdyż męczył go niewyobrażalny dla przeciętnego zjadacza chleba kac.

– Czy poznajesz tę kobietę? – Zuza przeszła od razu do rzeczy.

– Nie – odpowiedział Zenon, nie patrząc nawet na zdjęcie. – Chcę wody. – Mężczyzna oblizał usta spierzchnięte jak pustynne koryto rzeki.

– Dostaniesz wodę, gazowaną, z lodówki, z lodem i plasterkiem cytryny... – Zuza uśmiechnęła się łagodnie – ... zaraz po tym, jak skończymy.

– To nie zaczniemy. – Zenon nagle spojrzał na nią lubieżnie.

– To nie dostaniesz. – Zuza nie przestawała się uśmiechać.

Siedzieli jakiś czas, mierząc się wzrokiem. Jego przekrwione oczy wydały jej się wyschnięte równie mocno jak usta. Jemu też chyba w końcu takie się wydały, bo przesunął zdjęcie w swoją stronę i chwilę mu się przyglądał.

– Nie, nie znam tej kobiety, nigdy jej nie widziałem, pamiętałbym, ładna jest. – Odsunął zdjęcie z powrotem w jej stronę.

Tak naprawdę Zenon skłamał, bo znał tę kobietę, ale z zupełnie innego kontekstu, niż wydawało się teraz policjantce.

– Gdzie byłeś rankiem czwartego lipca? – Popatrzyła na niego, nie wierząc w ani jedno słowo.

– U mamy – sapnął ciężko.

– Tak dobrze pamiętasz? To było tydzień temu, a ty wyglądasz, jakbyś pił bez przerwy od miesiąca.

– Wiem stąd, że trzeciego były jej urodziny, a piję od tygodnia i właśnie u niej zapiłem wszywkę, a jak człowiek zapija wszywkę, to budzi się następnego dnia na

takim kacu, że nie jest w stanie nawet ruszyć ręką. – Uśmiechnął się z satysfakcją.

– Mama potwierdzi?

– Po co pytasz, jak i tak sprawdzisz?

– Gdzie mieszka?

Zenon głupi nie był, oni przeważnie nie są głupi – pomyślała.

– W Inowrocławiu. – Pokiwał głową, jakby dobijał ostatni gwóźdź do trumny jej hipotezy.

– Świadcowie? – Ona widziała to jednak inaczej.

– Jakieś dziesięć osób. – Zenon nie pomagał.

– Pewno sami koledzy i rodzina. – Policjantka grała w jego grę, nie ustępując na krok.

– Różnie, ogólnie raczej lumpy, jak ja. – Zenon zaskoczył ją samoświadomością. – Ale kilku nie znałem. Poza tym masz wykurwiste kamery monitoringu na dworcu i pewno w całym mieście, możesz sprawdzić. Z Inowrocławia zdołałem się wywlec po czterech dniach chyba, od tej pory piję u siebie na kwadracie.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy mało przyjaźnie.

– To co, mogę już tej wody?

– Możesz.

Zuza nie uwierzyła Zenonowi. Za dużo było poszlak, żeby go nie podejrzewać. Jego pijackie alibi nie było wprawdzie przesadnie przekonujące, ale musiała je sprawdzić. Niestety zarówno matka Zenona, jak też jeszcze kilka osób, które podał on, i kilka innych, które znalazła dodatkowo ona, potwierdziły jego słowa.

Tylko czy można zawierzyć słowom zgrai pijaków, kiedy naprzeciw ma się sylwetkę bandziora i zeznania kobiety z jego otoczenia, które potwierdzały jego obsesyjny i agresywny stosunek do płci przeciwnej, a na domiar tego obrazki z kamer monitoringu, na których pojawiał się facet łądząco podobny do niego, i nagranie rozmowy, na którym pojawiał się głos łądząco podobny do jego?

Sędzia zastanawiał się chwilę, lecz niezbyt długo, w końcu uznał, że Marczak może stanowić zagrożenie nie tylko dla Karoliny, ale w ogóle dla społeczeństwa, ze szczególnym wskazaniem na jego żeńską część, i przyklepał areszt na trzy miesiące. Jednocześnie poinformował prokuratora Antczaka, że jeśli przez te trzy miesiące nie zdobędzie twardych i ostatecznie przekonujących dowodów na niego, to Zenon wróci na wolność. Dodatkowo, żeby nie zamykać mu absolutnie drogi, tym bardziej że obawa o ewentualne mataczenie była niewielka, sędzia ustalił kwotę kaucji, na wypadek gdyby Zenon chciał odpowiadać z wolnej stopy, na trzydzieści tysięcy złotych. Ani prokurator, ani Zuza, ani nawet sędzia wyznaczający kaucję nie spodziewali się jednak, że Zenon ma znajomych nie tylko w środowisku inowrocławskich lumpów.

W czasie, kiedy Zuza wpadała coraz głębiej w pułapkę zastawioną na nią przez podekscytowanego tym faktem Marka, on działał dalej na froncie robót przygotowawczych.

Cela, w której Marek zamierzał przetrzymywać Karolinę, była już gotowa. W całym projekcie rzecz najistotniejszą stanowiło jednak to, by nie zostawiać za sobą żadnych śladów. Jego dom rodzinny zapisano na nieżyjącego od kilku lat brata matki, który miał inne nazwisko i nie miał dzieci. Po śmierci wuja nikt się tym domem nie interesował, urzędnicy z gminy wiedzieli wprawdzie, że należał do Pobludzkiego, ale dla niego najważniejsze było to, że nigdy formalnie nie został na niego przepisany. Dlatego, przynajmniej na papierze, a to do papierów głównie dostęp miała policja, mężczyzna nie miał z nim nic wspólnego.

Narzędzia i części potrzebne do wykończenia ziemianki kupował każdorazowo za gotówkę, tak by nie pozostawiać żadnych elektronicznych śladów. Prace w tym odciętych od cywilizacji miejscu na wszelki wypadek prowadził w taki sposób, aby nikt nie mógł odnotować jego obecności. Światło zapalał wyłącznie, będąc pod ziemią. W domu po drugiej stronie obejścia bywał rzadko, aczkolwiek tam również miał pewne rzeczy do przygotowania. Wszystkie okna od środka zabił deskami, ale nie bezpośrednio, tylko w pewnym odstępnie od firan, tak żeby wyciemnienie nie było zauważalne z zewnątrz.

W przyszłości, gdy Karolina znajdzie się już pod ziemią, zamierzał spędzać tu więcej czasu, również prawdopodobnie nocą, tym bardziej że ciemność jesienią nadchodzi znacznie szybciej. Nikt z zewnątrz nie mógł tego jednak wiedzieć. Dom miał pozostać martwy i niezamieszkały. Jeśli chodzi o wyposażenie i ewentualne rzeczy, które mogły ściągnąć tu potencjalnych złodziei, to przez lata pustostan został ogołocony na tyle, że cała okolica wiedziała, iż w środku nie ma już nic, na co warto byłoby się połasić. Słowem: baza była gotowa i to na długo przed planowanym jej zasiedleniem. Teraz pozostawało tak urobić Karolinę i za jej pośrednictwem także jej przyjaciółkę policjantkę, by później, gdy to wszystko już się wydarzy, nikomu nie przyszło nawet do głowy go podejrzewać.

Zenon był głównym podejrzanym i zgodnie z planem Marka na razie Zuza prowadziła śledztwo mające na celu zdobycie dowodów, które mogłyby go pogrążyć ostatecznie. Ku zaskoczeniu wielu Zenonowi udało się jednak zebrać niezbędną do wykupienia go z aresztu kwotę kaucji i, co choć zaskoczyło również Marka, to akurat jemu było zdecydowanie na rękę, mężczyzna po dwóch tygodniach wyszedł z aresztu na Białogórze i mógł się wreszcie znów porządnie opić.

Marek polubił swoje puchnące ego na tyle, że zdecydowanie nie miał ochoty na to, by cokolwiek w nie uderzyło. Do rozwiązania pozostawała więc jeszcze jedna kwestia. Teraz, gdy zły Zenon był na wolności, Pobludzki mógł się nim posłużyć w jeszcze jednej sprawie.

Bartka z Tindera najpierw obserwował przez jakiś czas, aż w końcu dał upust temu, co wzbierało w nim od dawna. Pierwotnie nie było tego w planie, bo plan formułował człowiek o umyśle chłodnym jak skóra po krioterapii. Tu zaś Marek po raz pierwszy od miesiąca nad chłodem już nie zapanował. Do tego stopnia, że wściekłość nieomal przysłoniła mu pole widzenia. Marek Pobludzki wreszcie mógł upuścić choć trochę powietrza z buzującego w nim kotła brutalności.

Z raportu policyjnego wynikało, że Bartek Wójcik, lat dwadzieścia osiem, wyszedł z siłowni piętnaście po dziesiątej wieczorem. Do zaparkowanego pod wiaduktem Trasy Toruńskiej samochodu doszedł prawdopodobnie w mniej więcej

trzy minuty później. Otworzył go za pomocą pilota i kiedy już miał pociągnąć za klamkę w drzwiach, dostał bardzo silne uderzenie tępym narzędziem w tył głowy.

Gdy się przewrócił, tracąc przytomność, sprawca pochylił się nad nim i uderzał tym samym tępym, prawdopodobnie obłym, długim przedmiotem w jego nogi tak długo i z taką intensywnością, że kończyny zostały złamane wielokrotnie z przemieszczeniem kości i uszkodzeniem stawów kolanowych. Bartek przeżył, ale powrót do pełnej sprawności miał mu zająć kilka lat. Dlaczego akurat nogi? Bo to o nich i o poślądkach młodzieńca Karolina głównie opowiadała swojej przyjaciółce, gdy spotkała się z nią wkrótce po randce z Bartkiem. To nogi tego chłopaka podobały jej się najbardziej, choć i reszta nie pozostawiała wiele do życzenia.

11. OSACZANIE

Karolina spotkała się z Bartkiem tylko raz, wtedy przed mniej więcej trzema tygodniami. Znajomość była tinderowa, oprócz nóg i innych elementów jego wyglądu niepozostawiających wiele do życzenia w chłopaku nie było nic, co mogłoby spowodować, by spotkała się z nim ponownie. Dlatego napadu na niego nikt, przynajmniej na razie, nie skojarzył z tym, co przytrafiało się Karolinie. Tym bardziej zresztą, że akurat przez okres pobytu Zenona w areszcie Karolinie nie przytrafiało się nic złego. Tak miało być, taki był plan.

Plan był jednak nawet jeszcze bardziej przewidujący. Jeśli ktoś kiedyś powiąże napad na Bartka z jego spotkaniem z Karoliną, a kto wie, czy Marek w jakimś momencie sam nie pomoże w dokonaniu tego powiązania, to osoba pijanego Zenona na wolności będzie pasowała do tej układanki jak ostatni element puzzli.

Czy Karolinie schadzka z Bartkiem sprzed trzech tygodni jakkolwiek pomogła? Czy rozluźniła ją po przejściach z dziwnym anonimowym stalkerem i po kilku rendez-vous z sąsiadem, które powinny były doprowadzić do czegoś, a nie doprowadziły? Zastanawiała się, siedząc teraz przed telewizorem w swoim mieszkaniu i oglądając *Zwierzęta nocy*, film o kobiecie, która miłość przehandlowała za złudne i chwilowe poczucie bezpieczeństwa. Może na jakiś czas pomogła. Tak, przez kilka dni było jej lepiej, ale jedynie powierzchownie lepiej. Pod spodem wciąż czaił się lęk z jednej strony, a pożądanie z drugiej.

Nie było to jednak pożądanie po prostu, które można było zaspokoić kimkolwiek albo czymkolwiek. Może wynikało to też z tego, że owa potrzeba była jednocześnie sklejana z lękiem. Dlatego choć pomyślała o tym przez moment

i nawet uruchomiła znów aplikację, żeby odszukać Bartka i może powtórzyć tamto raz jeszcze, to kiedy okazało się, że jest nieaktywny, nie szukała dalej, nie wysłała mu także już żadnej wiadomości.

Marek. Tak, to byłaby znacznie lepsza odpowiedź na jej zapotrzebowanie, tyle że on po pierwsze w tym akurat zakresie zachowywał się wobec niej nieco dziwnie, a po drugie nie miała z nim ostatnio kontaktu.

Wiedziała, że był bardzo zapracowanym człowiekiem, a poza tym nie chciała być stroną inicjującą, szczególnie inicjującą bez powodu. Powód znalazł się jednak szybciej, niż mogła się tego spodziewać. Kilka minut po tym, jak zgasiła światło i podjęła próbę zaśnięcia, nagle gdzieś od strony drzwi wejściowych usłyszała dziwne puknięcie, a po chwili kolejne.

Wstała z łóżka, włożyła szlafrok i podeszła do drzwi. Kiedy wyjrzała przez wizjer, po drugiej stronie nie zobaczyła nikogo, ale na klatce schodowej paliło się światło, co było dziwne o tyle, że lampy zapalały się na każdym piętrze osobno automatycznie, pod wpływem ruchu. Karolina odczekała moment, w końcu otworzyła zamki, a potem zabezpieczając drzwi blokadą dystansującą, uchyliła je częściowo i wyjrzała przez szparę. Na kafelkach podłogi ujrzała czerwoną farbę, która musiała ściekać z jej drzwi.

Już samo to, że ktoś wypisał coś na jej drzwiach czerwoną farbą, przeraziło ją na tyle, że zatrzasnęła je od razu i zaryglowała od środka. Przez chwilę ciężko było jej oddychać, znów nadeszła fala lęku niemożliwego do opanowania. Xanax? Może, ale nawet jeśli weźmie, to nie zadziała od razu, a jej brakowało powietrza tu i teraz. Wróciła do sypialni i ledwie trzymając się na nogach, sięgnęła po telefon. Następnie wyszukała numer do Marka i wybrała go, przełączając jednocześnie komórkę na tryb głośnomówiący.

– Halo? – Aksamitny męski głos rozszedł się po pokoju.

– Halo, to ja... – odezwała się trochę bez sensu.

– Miło cię słyszeć – odpowiedział Marek z uśmiechem, po czym dodał, udając zaskoczenie z powodu niepokoju w jej głosie: – Coś się stało?

– Tak... trochę się stało... Jesteś może w domu? – wyjąkała z trudem.

– Jestem.

– To wyjdź, proszę, na klatkę, będziesz wiedział...

– Będę wiedział? – powtórzył przekonująco zaskoczony i ruszył do drzwi.

Przez pewien czas słychać było tylko jakieś szумы, kroki, otwieranie drzwi.

– O kur... a to co? – niemalże wykrzyknął Marek.

– Co tam jest napisane? – zapytała przez ściśnięte gardło.

– Nieważne – odparł. – A ty jesteś w domu?

– Tak.

– Wpuścisz mnie?

– Spróbuję.

Z trudem wstała z łóżka, na którym przysiadła minutę wcześniej, nie mogąc zaczerpnąć tchu.

Dojście do drzwi zajęło jej dobre kilkadziesiąt sekund, kilkakrotnie musiała przystawać, brakowało jej powietrza. Przy czym nie wynikało to z jakiegokolwiek przypadku somatycznej, Karolina była zupełnie zdrowa. Po prostu mięśnie brzucha, które wspomagały oddech, były totalnie spięte. Miała wrażenie, że skróciły się o znaczną część swojej długości, przez co musiała cały czas iść skulona. Marek pukał, po chwili już prawie walił w drzwi, za jej plecami odezwał się też telefon, to prawdopodobnie on dzwonił zaniepokojony.

– Zaraz... zaraz będę – wyszeptała.

Była już na tyle blisko drzwi, że ją usłyszał. W końcu zaskrzypiała zasuwka, on nacisnął klamkę i wejście do mieszkania stanęło otworem. Kiedy wszedł, Karolina nieomal osunęła się na ziemię, wziął ją więc na ręce i przeniósł do salonu.

– Co...? – wysapała ciężko zaraz po tym, jak ułożył ją na kanapie, podłożył poduszkę pod głowę.

Spojrzał na nią z niepokojem, nie rozumiejąc pytania.

– Co tam jest napisane? – dokończyła, patrząc mu prosto w oczy.

– Nic ci nie zrobił? – Marek odpowiedział pytaniem na pytanie.

Oczywiście wiedział, że ujawni w końcu to, co jest napisane na drzwiach, a właściwie to, co sam na nich napisał dziesięć minut wcześniej. Wiedział, że ujawni, ale nie chciał tego zrobić teraz. Trochę bał się, że jej stan się pogorszy, a tego chciał uniknąć, bo zależało mu, by w żadnym wypadku nie trzeba było wzywać pogotowia. Poza tym... nagle, na moment zrobiło mu się jej naprawdę szkoda. Nad tym będzie musiał zapanować jak najszybciej, żadnego „szkoda”, żadnej litości – pomyślał, patrząc na nią teraz z łagodnym uśmiechem.

– Jak to się stało? – zapytał po chwili.

– Nie wiem, usłyszałam jakieś uderzenia o drzwi, podeszłam, wyjrzałam przez wizjer, na klatce nikogo nie było, ale paliło się światło, otworzyłam, zobaczyłam, że ścieka farba... – Karolina mówiła, a słowa wylewały się z niej teraz nadmiarowo, tak jakby nie miała nad tym kompletnie kontroli, zatrzymała się jednak w końcu. – Co tam jest napisane?

– Nieważne. – Marek pokręcił głową i delikatnie pogładził ją po twarzy. – Ważne, że nie możesz być teraz sama. Chcesz zadzwonić do tej twojej przyjaciółki z policji?

– Tak, trzeba do niej zadzwonić, ale ona... ona mieszka daleko, ma swoje życie. – Karolina popatrzyła na niego błagalnym wzrokiem.

– Jasne. Dziś ja tu zanocuję, potem zobaczymy.

– Dziękuję. – Spuściła wzrok i poczuła ulgę.

Tak jakby ktoś ściągnął jej nagle z klatki piersiowej ciężki odważnik. Coś jeszcze zostało, ale mogła w końcu spokojnie zaczerpnąć oddechu.

– W szafce nad zlewem w kuchni są leki, jest też xanax, mógłbyś mi...

Marek pokiwał głową, wstał i podszedł do szafki w otwartej na salon kuchni. Wyciągnął pudełko z lekarstwem, wziął po drodze butelkę stojącą na blacie wody, wrócił.

– Ty zadzwonisz czy dasz mi numer? – zapytał, podając jej tabletkę.

– Zadzwonię, zaraz jak trochę mi przejdzie.

– Trzeba w miarę szybko, może jak pošlą patrole, to go złapią jeszcze gdzieś w okolicy.

– Telefon jest w sypialni. – Spojrzała na niego – Zaraz pójdę.

– Poczekaj. – Uśmiechnął się i wstał znowu z kanapy.

Zuza oczywiście bardzo się zdenerwowała, obiecała uruchomić patrole znajdujące się w okolicy, może wymóc, by dosłali inne z miasta. Nie pytała nawet Karoliny, czy widziała, kto to zrobił. Wiedziała doskonale, że Zenon wyszedł dwa dni wcześniej z aresztu, skojarzenie przyszło samo i rysopis przekazany patrolom był oczywisty. Potem zapytała jeszcze Karolinę, czy ma przyjechać do niej teraz i czy czuje się zagrożona. Mogła być najwcześniej za godzinę, tyle zabrałoby jej zawiezenie syna do teściowej i przyjazd z Grodziska. W normalniejszej sytuacji mogłaby syna zostawić z mężem, Rafałem, ale jej sytuacja nie była do końca normalna, bo mąż był akurat znowu w cugu. Karolina zgodnie z prawdą powiedziała, że nie ma takiej potrzeby, bo jest u niej sąsiad, który obiecał zostać, dopóki będzie taka potrzeba. Umówiły się, że Zuza przyjedzie następnego dnia z samego rana, chyba że któryś z patroli ujmie w okolicy człowieka, którego poszukują. Tak naprawdę, nawet gdyby było inaczej, gdyby Zuza mogła przyjechać szybciej, gdyby nie wymagało to odwożenia pięciolatka do teściów, Karolina i tak by tego nie chciała. Z mężczyzną, który teraz właśnie robił dla niej herbatę, czuła się bezpieczniej nawet, niż czułaby się ze swoją przyjaciółką. Pewnie zresztą nie tylko o bezpieczeństwo w tym wszystkim chodziło.

– Kanapkę? – zapytał Marek.

– Nie, wielkie dzięki, nie jestem głodna. – Karolina posłała mu błydy uśmiech. – Może później. Usiądziesz?

Marek wziął kubek ze świeżo zaparzoną herbatą i podszedł do kanapy.

– Powinnaś coś zjeść – zasugerował. – Szczególnie po tej tabletkę. To chyba jakiś psychotrop.

– Tak, xanax „to chyba jakiś psychotrop” – zaśmiała się cicho. – Skąd ty się wziąłeś? Masz spokojną pracę, spokojne życie?

– Nie zawsze, ale przeważnie staram się panować nad nerwami we własnym zakresie – skłamał. Leki uspokajające brał na kilogramy, aż dziw, że się nie uzależnił.

– A wino?

– Wino?

– Wina mogę się napić?

– Raczej nie, po tych lekach chyba nie należy. – Pokręcił głową.

– Nie należy, czy nie można?

– Nie znam się na tym, nie biorę takich rzeczy, ale coś kojarzę, że nie można – odpowiedział po chwili dobrze udawanego namysłu.

– Należesz? – Karolina uśmiechnęła się, wskazała głową na barek w przedwojennym przeszklonym kredensie stojącym przy przeciwległej ścianie, po czym dodała: – I sobie też.

Marek popatrzył na nią zdziwiony.

– No co? Nie bierzesz xanaxu, to chyba możesz.

Wypili po kieliszku czerwonego wina o smaku tak bogatym, że już po pierwszym łyku zdawał się wypełniać każdą komórkę ciała.

– Tak dobrze, że jesteś – odezwała się Karolina po dłuższym milczeniu.

– Jestem, jestem, ale to trzeba zakończyć jakoś, to nie może się tak dłużej ciągnąć.

– Zuza jutro na pewno się tym zajmie, tym bardziej że to pewnie ten sam facet, on jest chyba namierzony. – Karolina była już znacznie spokojniejsza. – Ale dobrze, że jesteś tu ze mną... teraz.

Zerknęła wymownie na pusty już kieliszek, a Marek, demonstrując delikatną dezaprobatę, dolał wina jej i sobie. Potem gadali jeszcze o różnych rzeczach, o apkach, które ona tworzyła, i o dofinansowaniach, które on opiniował. Przyszło im nawet w jakimś momencie do głowy, że być może Ministerstwo Kultury, wychodząc naprzeciw wyzwaniom przyszłości, powinno stworzyć osobny fundusz, który dofinansowywałby projekty apek przyczyniających się do krzewienia kultury.

Oczywiście w zaistniałych okolicznościach geopolitycznych musiałaby to być kultura głównie, o ile nie wyłącznie, promująca wartości polskie, cokolwiek by to miało oznaczać. Rozmawiało im się na tyle dobrze i luźno, że w pewnym momencie Marek zdał sobie sprawę, iż kompletnie zapomniał, po co tak naprawdę tu był. Wreszcie Karolina zmęczona przeżyciami i uspokojona mieszanką xanaxu i bordeaux usnęła, a on zaniósł ją na rękach do sypialni. Sam dopił butelkę, następnie wziął prysznic w jej łazience, a nie mając ze sobą nocnej bielizny, nagi położył się na kanapie i przykrywszy się znalezionym w szafie kocem, zasnął snem sprawiedliwego.

Śnił mu się dom rodzinny. Sen, który często powracał. Mgła, on zmarznięty, może nagi, tak jak teraz, tyle że o wiele młodszy. Skąd we śnie, w którym widzi się świat, a nie siebie, świadomość, że jest się młodszy? Może to wewnętrzne poczucie, poczucie siebie sprzed lat, pamięć własnego wnętrza? Idzie przez podwórko, wokół unosi się mgła. Tam często była i pewnie nadal się zdarza mgła. Rzeczka płynęła niedaleko, grunty wokół domu podmokłe, duża wilgotność, kiedy zmieniała się temperatura i robiło się goręcej albo zimniej, zaraz pojawiała się pomroka gęsta jak mleko. Teraz nie jest ani zimno, ani gorąco, nie czuje temperatury, może ze strachu. Boi się tego, ku czemu idzie. Czarna czeluść wnętrza stodoły wyłania się z oparów. Kiedy ma już tam wejść i wreszcie zobaczyć, wreszcie zrozumieć, nagle staje przed nim ojciec i wtedy ze strachu zawsze się budzi.

Teraz też się obudził, a przed sobą ujrzał twarz Karoliny, która właśnie wpełzła pod jego koc. Też była naga, ale teraz, jeśli chodzi o temperaturę, nie miał już żadnych wątpliwości. Ona była gorąca, jemu było gorąco, tak gorąco, że prawie nie poczuł, kiedy włożyła go sobie do środka. Pragnienie było potężne, choć przynajmniej w jego przypadku obudziło się, albo raczej wybudziło się, bo drzemało w nim od wielu dni, w ciągu paru sekund. Była tak mokra, że prawie jej nie czuł. Prawie jednak wystarczyło w zupełności. Kochali się krótko, a do niego znów napłynęły obrazy.

Przez moment z trudem się powstrzymał, żeby nie wziąć jej tak, jak zrobił to z Bożeną. Po wszystkim leżeli chwilę obok siebie, milcząc i wsłuchując się tylko w jednostajny szum swoich oddechów. W końcu Karolina wstała i przeszła do łazienki, a potem nie zapalając światła, wróciła do swojej sypialni. Marek nie zasnął już tej nocy. Zastanawiał się przez cały czas, czy tak miało się stać, czy mógł temu zapobiec, co z tego wyniknie i jak ma sobie z tym poradzić. Choć pragnął jej, odkąd zobaczył po raz pierwszy, to zaplanował sobie, że wcześniej nie skonsumuje tego pragnienia, żeby nie zepsuć przyjemności tego jednego ostatniego, przynajmniej dla niej, razu. Poza tym przemknęło mu przez głowę, że po tym, co się tutaj wydarzyło, może się w nim zalęgnąć coś jeszcze, coś, czego zdecydowanie nie chciał. Teraz jednak, kiedy leżał i o tym myślał, zrozumiał, że choć wszystko trochę się zmieni, nie powinno to mieć jakiegoś kluczowego wpływu na to, co miało się wydarzyć dalej. Jego determinacja do zrealizowania planu była silniejsza nawet od instynktu, który normalnie osobę tak bliską nakazałby człowiekowi chronić. Nie jemu pierwszemu zresztą przytrafiało się coś takiego, choć jego przypadek był raczej ekstremalny. Wielu było jednak mężczyzn, którzy nie chronili kobiet, mimo że uważali, że je kochają.

Rano usiedli razem do śniadania, ale on wcześniej, kiedy tylko otworzyli sklepy, wyszedł na chwilę, zamykając przy tym drzwi na dwa zamki, tak jakby sam zapomniał o tym, że tak naprawdę nie kto inny tylko on stanowi największe i jedyne dla niej zagrożenie. Kupił świeże pieczywo, jajka, sery i wszystko to, co było potrzebne do przyrządzenia obfitego śniadania, a czego nie znalazł w jej lodówce.

– Lepiej? – zapytał, gdy jeszcze zasnana w zwiewnym jedwabnym szlafroku, miał skrywającym to unaoczniającym jej wdzięki, stanęła w drzwiach do kuchni.

– O wiele. – Uśmiechnęła się miękko – Takiego śniadania nie widziałam chyba, odkąd byłam na wakacjach all inclusive w hotelu nad pięknym morzem, w którym dawali najlepsze jedzenie na świecie.

– Gdzie? – spytał z ciekawością podszytą parodiowaną zazdrością.

– W Egipcie. Taba...

– Hotel Mövenpick – dokończył.

– Tak, chyba tak. Skąd wiesz? – zapytała zaskoczona.

– Też kiedyś tam byłem. Niezapomniane doznania kulinarne – odpowiedział, sam wędrując też w krainę wspomnień.

Rzeczywiście był tam pięć lat temu z Olą i małym wtedy Adasiem. To było jeszcze przed okresem totalnej zapaści, więc pamiętał ten pobyt nawet dość kolorowo. Wtedy był jeszcze w miarę normalnym człowiekiem, który mógł przeżyć życie, ciesząc się drobnymi radościami w rodzaju dobrego lunchu w Mövenpicku. Z czarnej dziury, w którą wpadł później, wakacjami all inclusive już wyjść by się nie dało.

– Sam? – zainteresowała się Karolina.

Może zresztą bardziej niż się zainteresowała, to skorzystała z okazji, żeby dowiedzieć się o nim w ogóle czegoś więcej.

– Nie... – Marek zamyślił się na moment.

Kiedy się kłamie, podstawową zasadą jest, żeby kłamstwa jak najbardziej osadzać w prawdzie, słowem: kłamać tylko miejscami, a resztę ujawniać. Tylko tak kłamstwo będzie przekonujące.

– Z żoną i synkiem – dokończył.

Karolina przez chwilę milczała, widać było, że informacja uderzyła ją, choć wcale niekoniecznie jako sama w sobie, uderzyło ją coś w niej samej, z czym ta informacja rezonowała. Marek doskonale wiedział, o co chodzi.

– Obecnie jesteśmy w separacji, od kilku miesięcy nie widziałem syna – powiedział, udając, że nie ma pojęcia o tym rezonowaniu.

Przyszło mu do głowy, że może w ten sposób zwiąże ją tym bardziej. Nie mylił się.

– O Boże, to musi być bolesne – odparła, patrząc na niego z troską.

Tym samym wyzwoliła się ze swojego bólu, przekierowując uwagę na jego ból.

– A czemu tak? – dopytała po namyśle.

– Nie układało nam się od pewnego czasu, żona po prostu któregoś dnia wyszła, zabierając syna, od tej pory się nie odezwała – wyjaśnił, wciąż nie kłamiąc. – Szukałem jej w różnych miejscach, do których wiedziałem, że mogła pojechać. Dzwonię, ale nie odbiera.

– Może powinieneś zawiadomić policję – zasugerowała. – Przecież masz takie same prawa rodzicielskie.

– Myślę o tym, poczekam jeszcze chwilę i pewno tak zrobię – zgodził się, kiwając głową.

– Może Zuza ci pomoże?

– Może, ale to później, na razie niech Zuza zamknie tego zjeba. – Marek wkręcił się całkiem na serio, po czym zdał sobie sprawę, że może za bardzo, więc dodał: – Przepraszam za to określenie.

– Nie przepraszaj. W myślach, a czasem też na głos nazywam go znacznie gorzej.

– O której ma być? – zapytał.

– Jakoś za... – Karolina spojrzała na wyświetlacz telefonu – ... godzinę.

– To zjedzmy, a potem ja pójdę, nie chcę wam się tu pałętać. – Marek wskazał na stół z gotowym śniadaniem.

– Nie ma mowy. Chcę, jeśli możesz oczywiście, żebyś przy tym był.

– Dobrze, będę. Pójdę tylko po śniadaniu do siebie wykonać kilka telefonów.

– A ten napis? – zagadnęła jeszcze Karolina, po czym dodała: – On tam wciąż jest.

– Tak, zostawiłem, policjanci może będą go chcieli jakoś zanalizować. To dowód w sprawie – wyjaśnił.

– A co tam jest napisane? – Spojrzała na niego.

– „Oddam cię nicości”. Albo jakaś podobna bzdura – powiedział szybko, jakby wiedział, że musi, jednocześnie chcąc mieć to za sobą.

– Tak jak w liście. – Karolina pokiwała smutno głową.

– W liście? – zdziwił się przekonująco.

– Tak, w tym pierwszym anonimie, który mi wysłał – dopowiedziała ze smutkiem, ale już bez strachu.

Potem zjedli w milczeniu kanapki i jajecznicę przygotowaną przez Marka. Jedząc, popatrywali na siebie i w tym popatrywaniu było wszystko to, czego nijak nie zwerbalizowali w czasie rozmowy przed chwilą, czyli to, co wydarzyło się między nimi w nocy. Tyle tylko, że czym innym owo zdarzenie było dla niej, a zupełnie czym innym dla niego. Przygrywką do krwawego finału, który obmyślił.

Zuza dojechała po półtorej godzinie. Wcześniej Marek zadzwonił do Romka, opowiadając, że w domu pękła mu rura, czeka na hydraulików i być może przyjdzie do pracy później, a może w ogóle dziś mu się nie uda. Romek przyjął tę informację, jak każdą zresztą, ze stoickim spokojem. Jemu też, choć ze zgoła innych powodów, zdarzało się czasem spóźnić, a czasem nie przychodzić do pracy w ogóle.

– Byłam już u dozorczyńni. – Zuza po sekwencji przywitań przeszła od razu do rzeczy. – Budynek ma swój kod wejściowy, taki uniwersalny, jak się go wstukuje, to u nikogo nie brzęczy domofon. Facet musiał się najpierw przyglądać jakiś czas, żeby go wypatrzyć, albo może ktoś mu go dał, teraz tego nie dojdziemy. Od tej strony budynek nie ma monitoringów, ale są przy domu dziecka. Przejrzałam. Od strony Wolskiej mniej więcej o godzinie, którą podałaś, zjawił się zakapturzony facet, szedł trochę wężykiem, miał jakąś siatkę. Po ośmiu minutach wracał, znów wężykiem, ale już bez siatki. Znalazłam ją w jednym z koszy na śmieci na podwórku. W środku jest puszka farby i pędzel. Przekażę je technikom u siebie. Jeśli będzie na nich jakikolwiek odcisk Zenona, to jest ugotowany, ale nawet jak nie będzie, to i tak zaraz go zatrzymamy. Jest głównym podejrzanym, w tej sytuacji już się nie wykupi z aresztu.

– I? – zapytała Karolina.

– I będzie po problemie. – Zuza się uśmiechnęła. – To znaczy dla ciebie po problemie. Dla niego problem właśnie się zaczyna.

– A jeśli to nie on? – Do rozmowy włączył się obecny zgodnie z wolą Karoliny, ale dotąd milczący Marek.

– Za dużo się zgadza. – Zuza pokręciła głową. – Z doświadczenia mogę powiedzieć, że kiedy udaje nam się ustalić, że wszystko tak pasuje, to znaczy, że w rzeczywistości pasuje dużo bardziej. Przecież my znamy tylko fragment rzeczywistości, a już bardzo podchodzi. – Zuza patrzyła na Marka, ale teraz przeniosła wzrok na przyjaciółkę i dodała powoli i dobitnie: – To on.

– A jak on teraz zniknie gdzieś, nie znajdziecie go, to co? – Karolina podniosła jeszcze jedną wątpliwość.

– Mam trzy zespoły, które go namierzają, wcześniej mieliśmy już wszystkie jego mety ustalone, nie ma gdzie się schować. To kwestia chwili, góra kilku godzin. – Zuza dotknęła dłoni Karoliny. – Mogę tu zostać, dopóki nie dadzą znać, że go zdjęli.

– Nie, jedź. – Karolina pokręciła głową. – Dam sobie radę.

– Może pan Marek? To znaczy nie chciałabym pana obciążać... – Zuza spojrzała na Pobłudzkiego.

– Oczywiście, wziąłem już dziś wolne z pracy, posiedzę z panią Karoliną, dopóki nie da pani znać. – Marek zgodził się bez wahania.

Zuza popatrzyła na niego, potem krótko na nią. Czy domyślała się, że ich „pan, pani” były już w tym momencie absolutnie nieaktualne? Nic na to nie wskazywało, pomyślał Marek, może oprócz tego spojrzenia przed chwilą. Nawet jednak jeśli się domyślała, to czy to cokolwiek zmieniało? Nie był pewien, ale coś mu podpowiadało, że owszem, lecz nie miał na razie pojęcia co i dlaczego. Marek, który przez ogromny kawał życia miał wszystko totalnie gdzieś, teraz bardzo nie lubił czegoś nie wiedzieć. Jeszcze jedna zmiana, która w nim zaszła w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

Przez czas oczekiwania na telefon od Zuzy kilkakrotnie wychodził i wracał do mieszkania Karoliny. Dla zwiększenia jej komfortu, kiedy szedł do siebie, swoje drzwi do mieszkania zostawiał uchylone. Chodził głównie, żeby podsłuchiwać,

jakie są postępy w działaniach Zuzy, czyli policji w sprawie Zenona, ale bardziej jeszcze interesowało go, czy podczas którejś ze swoich rozmów z kolegami nie każe przypadkiem pod obserwację wziąć także jego. Wciąż nie był do końca pewien, jaki Zuza miała do niego stosunek.

Ona tymczasem zbyt była zajęta próbą namierzenia i zatrzymania Zenona, o którego winie była za bardzo przekonana, by choć na moment zająć się podejrzeniem kogoś innego.

O dziwo, gdyż Zuza spodziewała się znacznie większych trudności, zatrzymanie Zenona przebiegło bardzo łatwo. Jej koledzy z Centralnego Biura Śledczego znaleźli go już pod pierwszym z wytypowanych adresów, czyli po prostu u niego w domu. Zenon tym razem był trzeźwy, ale mocno przepity, co idealnie pasowało zresztą do obrazków z monitoringu z poprzedniej nocy, które dziś rano widziała Zuza.

Zenon nie stawiał oporu, choć ewidentnie nie mógł zrozumieć, o co chodzi. On w przeciwieństwie do Marka zdziwienia nie musiał udawać. W czasie przeszukania w łazience w mieszkaniu policjanci ujawnili bluzę, której rękaw ubrudzony był farbą w kolorze tożsamym z tym, który stwierdzono na drzwiach mieszkania Karoliny i który Zuza ujawniła w puszcze z farbą znalezionej w koszu na śmieci pod blokiem. Zenon wracał do aresztu, tym razem o wyjściu za kaucją nie mogło być mowy, co więcej, kaucja poprzednia, uzbierana z niemałym trudem wśród mafijnych znajomych, którzy pożyczyli mu na nią w zamian za pewne zobowiązania, w tym momencie przepadła.

Zenon nie miał zatem już ani pieniędzy, by je oddać, ani możliwości wypełnienia zobowiązań, gdyż szedł pod celę.

Nijak jednak nie polepszało to sytuacji Karoliny, a to ona była w tym momencie najbardziej narażona na zbliżającą się wielkimi krokami prawdziwą krzywdę.

Wszystkie te informacje, z wyjątkiem oczywiście tej ostatniej, Zuza przekazała Karolinie chwilę po ujęciu Zenona i przewiezieniu go do aresztu w komisariacie na

Mokotowie. Marka nie było przy tym, bo akurat wtedy, gdy zadzwoniła Zuza, siedział w swoim mieszkaniu, ale zarazem był przy tym, gdyż monitorował ich telefony. Kiedy wszedł kilka minut później z powrotem do Karoliny, musiał więc znów udać zdziwienie. Generalnie udawania było teraz w jego życiu co niemiara, ale nie miał z tym specjalnego problemu. Problem pojawił się natomiast inny. Nie żeby nie przewidział tego wcześniej, lecz do tej pory nie udało mu się wymyślić, jak przeciwdziałać tej sytuacji. Co mianowicie zrobi, kiedy już porwie Karolinę, a główny podejrzany w jej sprawie będzie przebywał w areszcie śledczym? W takich okolicznościach Zuza, która była absolutnie przekonana o winie Zenona, będzie zmuszona zmienić zdanie. Wyjściem z sytuacji byłoby w porę wyciągnąć Zenona znów na wolność. To już jednak trochę przekraczało jego możliwości.

Chyba że... Teraz coś przyszło mu do głowy. W końcu on sam posiadał wystarczającą liczbę dowodów na to, że to nie Zenon był człowiekiem, którego szukali. Należało tylko w sprytny sposób podsunąć te dowody mecenasowi, który zajmował się jego obroną. Cały cymes polegał na tym, żeby przy okazji nie wydać samego siebie i żeby przede wszystkim Zuzę pozostawić z wrażeniem, że Zenon znów się wyswobodził, używając lewych pseudoprzesłanek mających świadczyć o jego niewinności. Nad tym, jak to zrobić, Marek musiał się jeszcze sporo nagłowić. Na razie miał na to trochę czasu. Ważne było, żeby Zenon wyszedł z aresztu na moment przed zniknięciem Karoliny.

12. POZORACJA

Na razie Marek musiał skupić się na pracy i na bywaniu w swoim starym mieszkaniu. Sąsiedzi od zawsze mieli go raczej za odludka, nie powinno ich więc dziwić to, że właściwie go nie widywali. Siedział po prostu w domu i się z niego nie ruszał. Tak było wcześniej i tak mogło być też i teraz.

Jednak nawet największy odludek, nawet człowiek, który prawie się nie rusza, konsumuje na przykład jakieś kalorie, chodzi od czasu do czasu do łazienki, kąpie się i tak dalej. Dlatego po kilku dniach nieobecności Marek wrócił do mieszkania z siatkami pełnymi głównie zresztą pustych opakowań po rzeczach zużytych w drugim miejscu zamieszkania. Zjawiając się zaś, postarał się zrobić wokół owego zjawienia maksymalnie dużo szumu. Odludki z reguły nie wykazują się przesadną aktywnością, więc żeby jego pojawienie się zostało zauważone przez co czujniejszych sąsiadów, nie trzeba było wiele. Gdy wychodził, upuścił jedną z siatek, robiąc rumor na klatce, później parokrotnie wchodził i wychodził, otwierając i zamykając drzwi w sposób dość zauważalny. Następnie wciąż próbując się zachowywać w miarę cicho, żeby nie zbudować nadmiernego kontrastu między tym, co było, a tym, co jest, chodził dużo po domu, kilkakrotnie spuszczał wodę, wykąpał się raz, a potem drugi raz kąpiel upozorował. Szczególnie że mieszkająca pod nim pani Ela była wyczulona na dźwięki, więc jego ciche bytowanie w mieszkaniu nie mogło umknąć jej uwadze. Jednocześnie Marek już wcześniej znany był sąsiadom z okresów wzmożonej aktywności przeplatanych nieomal totalnymi zapaściami w ciszę niebytu. Dlatego jego obecne wzmożenie składało im się zapewne w czasie w coś, co można by nazwać obecnością stałą. O to właśnie

dokładnie chodziło Pobludzkiemu. Siłą rzeczy jednak, gdy przebywał tutaj, nie było go tam, a tam sytuacja nabrała już na tyle rumieńców, że Karolina potrzebowała jego obecności częściej, a najlepiej stałej. Marek przed swoją jednodniową wyprawą do mieszkania na Jadwisinie poinformował ją więc, że jedzie w delegację do Krosna, na zaproszenie tamtejszego domu kultury, który zawdzięczał mu sporą ministerialną dotację. Oczywiście Karolina mogła oczekiwać, że zaprosi ją na wyjazd wspólny, ale z drugiej strony, czy nie bardziej interesujący dla kobiety jest mężczyzna, który nie w pełni chce się dzielić z nią swoim światem. Taką taktykę przyjął Marek, bo nie miał też na razie za bardzo innego wyjścia. Gdyby nad wyraz wścibscy sąsiedzi w jego starym mieszkaniu zorientowali się, że tak naprawdę przestał tu mieszkać, prawdopodobnie w swej społecznej nadaktywności okraszanej emerycką nudą zaczęliby dociekać, gdzie jest i co się w ogóle z nim dzieje, a to była ostatnia rzecz, która była mu potrzebna. W momencie, w którym zawiadomiliby o jego nieobecności Olę, ta zaczęłaby kombinować, gdzie jest, czy przypadkiem lepiej mu się nie powodzi i czy może nie mogłaby w tej sytuacji pocisnąć go o pieniądze albo o współwłasność mieszkania. Słowem: zrobiłby się szum, a Marek potrzebował przede wszystkim ciszy i przekonania wszystkich o tym, że nic się tak naprawdę z nim nie dzieje. Od ich wspólnej znajomej wiedział wprawdzie, że Ola wyjechała do jakiegoś mężczyzny, milionera, który pół życia spędzał na Fuerteventurze, a Adaś poszedł tam nawet do szkoły, ale Marek był przekonany, że informacja o jego zniknięciu z mieszkania na pewno sprowokowałyby ją i tak do niepotrzebnych dociekań. W starym mieszkaniu spędził dwa dni i jedną noc. Wreszcie nie musiał choć przez chwilę uprawiać gry w przebieranki między wyjściem z domu a przyjściem do pracy. Przez kilkadziesiąt godzin znów był, a w każdym razie grał abnegata z chroniczną depresją. Kiedy miał już wrócić na wieczór do nowej siedziby swojego nowego ja, nagle zadzwonił domofon. Marek wahał się przez chwilę, czy podnosić słuchawkę, skoro jednak i tak tu był, to uznał, że wykorzysta to bycie do końca. Może dzięki temu jego obecność odznaczy się jeszcze bardziej.

– Tak się cieszę, że cię zastałam – usłyszał po drugiej stronie słuchawki żeński głos.

Wiedział, że go zna, co więcej, był przekonany, że słyszał go całkiem niedawno, ale za nic nie mógł sobie przypomnieć kontekstu. Jak odpowiedzieć na taki komunikat, kiedy nie ma się pojęcia, kto go wypowiada?

– No... zastałaś, też się cieszę.

– A tak, oczywiście, znowu nie masz pojęcia, kto zacz. – Zaczęła się śmiać.

Ów śmiech był elementem najbardziej ją określającym.

– Julka! – ucieszył się.

– Julka! – potwierdziła, uradowana, że ją poznał.

– Co u ciebie, co tu robisz? – Marek kontynuował rozmowę, tak jakby nie prowadził jej przez domofon, a przez telefon.

– Mieszkam niedaleko, dzwoniłam jeszcze kilka razy na domowy, ta twoja komórka mi się nie wpisała wtedy, odwiedzałam cię też, ale nigdy cię nie ma – zaczęła, a po chwili dziwnego milczenia dodała: – Powiem ci więcej, jak mnie wpuścisz.

– Jasne. – Marek zrobił coś, na co nie miał absolutnie teraz ani pewnie w ogóle nigdy ochoty: wcisnął guzik domofonu i wpuścił Julkę, mimo że nie miał pojęcia, kim tak naprawdę była.

Julka była ładna. Co więcej, jej wygląd, uroda nieco chłodna, skandynawska wręcz, absolutnie nie licowały z energią, z jaką komunikowała się ze światem. Aparycja w jakimś sensie przeczyła osobowości. Pierwsze więc, co przyszło mu do głowy, to pytanie, jak to było możliwe, że jej nie pamiętał. Nie był wprawdzie tytanem reminiscencji, nie pamiętał wielu rzeczy z różnych okresów swojego życia, ale twarze, zwłaszcza te, które odznaczały się czymś szczególnym, na przykład urodą, raczej odciskały swoje piętno na jego synapsach i aksonach.

– Cześć, fajnie, że wpadłaś – powiedział coś, co chwilę wcześniej byłoby absolutnym kłamstwem, a teraz już do końca nim nie było. – Chodź, nie będziemy tu tak stali.

Poprowadził ją do niewielkiego salonu.

– No, nie wiesz nawet, jak się cieszę, że w końcu cię widzę – odparła nadal z entuzjazmem, nie do końca łączącym się ze stalową barwą jej tęczyówek, ale nie było już w niej takiej energii jak wtedy, gdy się nie widzieli.

Może ją podmienili, pomyślał, albo może to tylko wrażenie, uroda gasi energię nie w niej, tylko w odbiorcy. Obiektywnie wydaje się stateczniejsza, gdy już ją widać.

– Herbata, kawa... brandy? – zapytał nagle, a luźna forma pytania zaskoczyła nawet jego samego.

– Brandy? – Uśmiechnęła się. – Strasznie dawno nie słyszałam, żeby ktoś to proponował. Właśnie dlatego też się cieszę, czuję się trochę jak na wycieczce w stare czasy. Marek Pobludzki i jego wehikuł czasu.

Zamilkła na moment, przewierciła się spojrzeniem przez jego wzrok, po czym zaczęła się rozglądać wokoło.

– Brandy zatem – powiedziała. – Ładnie mieszkasz.

Nie mieszkał ładnie. To znaczy w każdym razie on tak nie uważał. Zdecydowanie wolał swoją nową siedzibę na Woli. Tam było mało rzeczy, mieszkanie na Jadwisinie, w którym byli teraz, zawałała taka masa pochowanych między fatałaskami wspomnień, których nie lubił, że nie mógł się tu czuć dobrze. Nie mogło mu się tu podobać.

– Fajne meble. – Julia zerknęła na zestaw fotelowo-kanapowy.

– Bauhaus. – Marek uśmiechnął się, bo przyszło mu do głowy, że meble rzeczywiście może nie były takie najgorsze.

Może nic nie było najgorsze, tylko woal skojarzeń wykrzywił mu obraz, może gdyby udało się je zgubić, może gdyby wszystko nie przywodziło mu na myśl czasu, kiedy chciał umrzeć, ale nie miał siły sobie w tym pomóc, także tutejszy świat przestałby być tak mroczny.

– Aż tak to się nie znam, ale ładne, w ogóle ładnie tu masz naprawdę. Żona? – zapytała po chwili ciszej i jakby trochę niepewnie.

Marek zerknął na jej odbicie w lustrze. Julia spuściła głowę, tak jakby zdołowało ją nagle jej własne pytanie.

– Trochę tak, ale dawno i nieprawda – dopowiedział, odwracając się z kieliszkami w jej stronę.

Jednocześnie przyszło mu do głowy, że jeśli teraz się napije, to nie wróci tam i nie wypełni obietnicy poczynionej Karolinie. Są jeszcze taksówki – pomyślał i rozluźnił się.

– Czyli? – zapytała Julia, idąc za ciosem.

– Czyli miałem żonę, ona tu mieszkała, ale już nie mieszka i de facto nie mam już żony – odpowiedział, jak było, bo uznał, że nie ma powodu kłamać, co więcej, akurat w tej sytuacji prawda może ich wyzwolić.

Poczuł się nagle tak, jakby właśnie wrócił z pracy i mógł się zrelaksować przy kieliszku brandy z pewną znajomą, o której istnieniu do niedawna nie miał nawet pojęcia.

Choć, co frapowało go mocno, nie czuł w jej obecności żadnej obcości. Tak jakby byli kiedyś bliskimi przyjaciółmi i teraz mimo upływu lat, w ciągu których się nie widzieli, od razu wszystko wróciło na stare tory.

Tyle że on się z Julią nigdy nie przyjaźnił.

– Czyli jesteś wolny – trochę się ucieszyła, a odrobinę jednocześnie czymś zasmuciła Julia.

– Wolność to bardziej złożona sprawa, ale w sensie matrymonialnym tak, jestem wolny czy, powiedzmy, w drodze do wolności.

Co było w tej kobiecie, że tak bardzo go do niej ciągnęło? Może fakt, że choć tego zbyt nie pamiętał, to była omenem przeszłości, czyli czasu, kiedy wszystko było jeszcze zupełnie inaczej.

Do liceum dojeżdżał do Warszawy, potem zamieszkał też w końcu na Pradze, u staruszki, ciotki swojego ojca. Mieszkanie u niej było nieco dziwne, ale nareszcie wyrwał się przynajmniej stamtąd, ze świata, do którego ostatnio coś kazało mu wrócić.

Wówczas ten trawiący go dziś i dający mu zresztą napęd do życia guz na podświadomości jeszcze się nie pojawił, a jeśli nawet, to był nieszkodliwy. Miał wtedy siłę i nadzieję, że ucieknie z domu rodzinnego na zawsze. W sensie fizycznym uciekł rzeczywiście, nie mieszkał tam już nigdy potem, ale w sensie metafizycznym dom w Bogatkach dopadł go teraz w całej rozciągłości. Nie był więc wolny.

– Pamiętam, że przyjeżdżałeś do szkoły gdzieś spod Warszawy. Bywasz tam nadal? – zapytała, pijąc mały łyk z szerokiego kieliszka.

Zbieżność jej pytania z tym, o czym właśnie myślał, spowodowała, iż przez moment Marek popadł w paranoję, że Julia wie coś więcej. Po chwili jednak się uspokoił. O co innego właściwie mogła go jeszcze zapytać? Może ona też tam ulokowała swój najszcześniejszy czas.

A może w ogóle było inaczej.

Teraz nagle przyszło mu do głowy, że być może wiedział o niej znacznie więcej, niż mu się wydawało, tylko z jakiegoś powodu zepchnął owe wspomnienia, jak wiele innych z tamtego okresu, w otchłań niebytu. Szybko jednak porzucił tę myśl, bo dziewczyny ze szkoły zasadniczo pamiętał, więc czemu w jej przypadku miałyby być inaczej.

– Nie, co ty, dawno sprzedane – skłamał po raz pierwszy w tej rozmowie i poczuł jakiś dziwny dyskomfort.

– Szkoda.

– Czemu? – dopytał chyba trochę zbyt gwałtownie.

– Czemu...? Czy ja wiem? Miałbyś teraz domek letniskowy, jak znalazł na stare lata – odpowiedziała spokojnie, zdziwiona trochę gwałtownością jego riposty.

– Może w sumie tak, ale tam nie było żadnych atrakcji, żadnej wody, jeziora, tylko pola i las, płasko, daleko, pod potokami szumiących gwiazd, Mazowsze – odbił cytatem, żeby jakoś załagodzić efekt poprzedniej reakcji.

– Pod sosen rzeką – dokończyła frazę i znów uśmiechnęła się delikatnie, ani zalotnie, ani szczególnie radośnie, po prostu ciepło, a w jej uśmiechu było coś

porozumiewawczego, coś, co rozciągało się daleko poza treść tej rozmowy. Po chwili wypełnionej milczeniem, które nikomu nie przeszkadzało, dopiła to, co zostało w kieliszku, delikatnie dotknęła warg czubkiem języka, jakby sprawdzała, czy palący płyn ich przypadkiem nie uszkodził, i dodała: – No nic, będę lecieć, ale miło było cię zobaczyć w dobrym zdrowiu i w ogóle.

– Ale czemu...? Już? – zdziwił się, znów zaskakująco dla siebie samego szczerze. – Dopiero co przyszłaś.

– Tak. Przyszłam. – Pokiwała głową. – Pomyślałam, że powinnam sprawdzić, co u ciebie. Już wiem, mogę iść.

– Ale... może jeszcze... może chciałabyś sprawdzić później kiedyś jeszcze? – Marek plątał się jak nigdy.

– Może, jeszcze, później, kiedyś. Znów za trzydzieści lat.

Kiedy poszła, dłuższą chwilę zastanawiał się, o co w tym wszystkim właściwie chodziło. Za wszelką cenę próbował sobie też przypomnieć coś więcej na jej temat. Czuł, że była, ale nie miał pojęcia, w jakim miejscu rzeczywistości, w jakiej roli ją obsadził i dlaczego, za cholerę nie mógł sobie tego teraz przypomnieć. Przecież niosła w sobie tajemnicę, a już wtedy interesowały go takie osoby. Co więcej, nieomal od razu, kiedy jeszcze tu była, pojawiły się w jego głowie erotyczne fantazje na jej temat. Fantazje znów bardzo brutalne i perwersyjne, choć bez elementu krwi i zabójstwa. Owe wyobrażenia były na tyle obrazowe i realne, że przez moment wydawało mu się, że nie tyle sobie coś roi, ile raczej coś przypomina.

Zawsze ciekawiło go to, co niewiadome, dlaczego więc między aksonami nie pozostał po niej żaden ślad? A może w ogóle jej tam wtedy nie było, może jedynie teraz mu to wmawiała? Ale po co? W końcu uznał, że i tak teraz nie rozwiąże tajemnicy Julii, za to na nieodległej Woli czekała na niego kobieta, która wiele sobie obiecywała po spotkaniu z nim, a wobec której on miał zamiary bardzo odmienne od jej oczekiwań. Przez chwilę zastanawiał się, co powie Karolinie, kiedy zjawi się u niej za pół godziny, spóźniony, a do tego nie swoim samochodem

i będzie po jednym, a nawet dwóch głębszych, bo zagubienie po wyjściu Julii postanowił spłukać kolejnym kieliszkiem hennessy'ego.

13. OCZEKIWANIE

Karolina czekała tak bardzo, że fakt, że nie przyjechał samochodem i że było od niego odrobinę czuć alkohol, nie zrobił na niej najmniejszego wrażenia. To drugie zresztą szybko udało się zamaskować kilkoma kieliszkami wina, które wypił z nią. To pierwsze natomiast w ogóle nie stało się tematem rozmowy.

– Tęskniłeś? – zapytała, gdy usiedli już blisko siebie na kanapie przed talerzem przygotowanych przez nią przekąsek, z pękatymi kieliszkami czerwonego wina w dłoniach.

Pokiwał głową, wypił łyk i dotknął jej ust swoimi. Potem kochali się namiętnie, a on znów wyobrażał sobie wszystkie te rzeczy, które z nią robi, a chwilami myślał też o tamtej dziwnej kobiecie, która wtargnęła w jego życie nagle jak znajomy sen.

– Bałam się trochę – powiedziała, kiedy leżeli koło siebie, paląc na spólkę jednego papierosa.

Żadne z nich nie było nałogowym palaczem, ale oboje od czasu do czasu w momentach takich jak ten lubili to robić. Kolejna zbieżność, która wzięła się właściwie nie wiadomo skąd.

– Bałaś się...? – zapytał po namyśle.

– Nie wiem, taki nieokreślony lęk, irracjonalny, bo skoro on siedzi znowu, to nie ma czego, ale i tak się bałam. – Karolina się zamyśliła, a potem dodała: – Może bałam się, że nie wrócisz.

Marek uśmiechnął się ciepło i podał jej przeciągniętego już lekko cienkiego vogue'a.

– A jak było na spotkaniu? – spytała po chwili niby bezwiednie, ale Marek odniósł wrażenie, że w pytaniu była odrobina dystansu czy może nawet ironii.

– Dobrze, sporo gadania, trochę picia, wystawna kolacja, dziczyzna, jakieś lokalne kompleksy i uprzedzenia – odpowiedział rzeczowo i na bogato, żeby za wszelką cenę rozwiać jej ewentualne wątpliwości. – Ogólnie miło, oni chyba uważają, że zawdzięczają mi więcej, niż zawdzięczają mi naprawdę.

– Oni? – zwróciła się do niego znów niby nieco naiwnie, ale zarazem przenikliwie.

Marek zaczął się zastanawiać, czy tak jest rzeczywiście, czy może zaczyna go ściągać w stronę jakiejś paranoi. Psychopata z paranoją, ciekawe połączenie.

– No oni, szefowa domu kultury, szefowa lokalnej biblioteki i cały ten personel tam, dzięki dotacji mają trochę lepiej, niż mieliby bez niej – wytłumaczył spokojnie.

– Rozumiem... Zostaniesz na noc? – zagadnęła, porzucając nagle wcześniejszą przenikliwość albo to, co wydawało mu się nią być.

– Nie, muszę się nad papierami, przez ten wyjazd mam zaległości w robocie – wyjaśnił, lecz widząc zawód w jej oczach, szybko dodał: – Ale jestem przecież za ścianą, wystarczy, że zapukasz albo zadzwonisz i będę w pięć sekund.

– Nie możesz pracować tutaj? – zaproponowała z nadzieją w głosie. – Ja będę spała, ty będziesz klikał w klawiaturę. Nie przeszkadza mi to.

– Za dużo papierów musiałbym ci tu naznosić. – Uśmiechnął się polubownie. – Może dasz mi klucze? Wrócę, gdy skończę.

Karolina pokiwała głową, zgadzając się na takie kompromisowe rozwiązanie.

Po przyjsciu do swojego mieszkania Marek usiadł w ciemności i zaczął się zastanawiać, co zrobić dalej. Swój plan finalny pierwotnie zamierzał zacząć wdrażać nieco później.

Najpierw chciał jeszcze oswoić Karolinę, a także przy okazji jej policyjną przyjaciółkę, bardziej ze swoją obecnością w życiu tej pierwszej. Zależało mu nie tylko na zbudowaniu zaufania, chciał osiągnąć więcej.

W końcu już wkrótce zamierzał stać się główną siłą napędową poszukiwań, dlatego wcześniej dobrze byłoby to porządnie umotywować. Chciał, żeby szczególnie Zuza miała świadomość, że snują z Karoliną wspólne plany, może nawet że wszystko zmierza do tego, by sformalizować ich związek.

Teraz nagle zrozumiał jednak, że chyba nie ma na to czasu. Wszystko w zasadzie układało się dobrze i po jego myśli, ale dziś wieczorem odniósł wrażenie, że Karolina, może za pomocą jakiegoś szóstego zmysłu, zaczyna wyczuwać, że w jego zachowaniu jest jakiś rodzaj nieprawdy. Na razie mogło jej się to podobać, budzić nawet wzmożone zainteresowanie, niepokój tajemnicy zawsze jest lepszy od banału oczywistości, ale wystarczyłoby, żeby w jakimś momencie podzieliła się swoją intuicją z przyjaciółką, żeby powiedziała jej na przykład, jaka jest zafascynowana tym, że nie wie o nim wszystkiego, a Zuza od razu mogłaby powziąć jakieś podejrzenie. Do tego za nic nie mógł dopuścić.

Marek odniósł wrażenie, że czas zaczął właśnie pracować na jego niekorzyść.

Zuza tymczasem po zatrzymaniu Zenona nie zaniechała swoich działań. Na razie były one skupione głównie na tym, żeby bandycie, co do którego winy była absolutnie przekonana, ową winę udowodnić. Był z tym pewien problem, bo choć z monitoringów zebranych spod domu Karoliny z nocy, w trakcie której doszło do pomalowania jej drzwi, wynikało, że facet w bluzie takiej jak ta znaleziona w jego mieszkaniu kręcił się po okolicy, a do tego na bluzie odkryto ślady takiej samej farby jak ta, której użyto do malowania, to Zenon miał dość mocne alibi na to, że tę noc spędził na popijaniu samogonu z kolegami.

– Ktoś mnie wsadza na minę – powiedział zrezygnowany do przesłuchującej go policjantki po tym, jak oświadczyła, że właśnie zakończyli przesłuchanie, a on ma zostać odprowadzony do celi.

– Całe życie? – zapytała z sarkazmem Zuza.

– Nie, całe życie sam włożyłem na miny, ale teraz ktoś mnie wsadza – odparł i utkwiał w niej wzrok.

Może gdyby tego nie zrobił, to, co powiedział, dałoby jej do myślenia, ale owo nasycone testosteronem spojrzenie tego akurat faceta wyłączyło w niej racjonalność oraz niestety także kobieco-policyjną intuicję, z której słynęła.

– No to masz niefart – odpowiedziała, totalnie nieprzekonana refleksyjnością jego tonu. – Są monitoringi, te z wtedy i te z teraz, jest farba na bluzie, nie wywiniesz się.

– Zamkniesz mnie, ale czuję, że ten, kto mnie wystawia, nie wytrzyma i jak będę siedział, też coś jej zrobi. – Zenon uśmiechnął się złośliwie. – I co wtedy?

– Wtedy się zastanowię.

– Oby nie było za późno. Ta twoja psiapsiółka wymiata, szkoda by jej było na jakiegoś fagasa. – Zenon zdecydowanie nie nadawał się do dyplomacji.

Zuza, choć przez moment mocno się w niej zakotłowało, na szczęście się opanowała.

– Dlatego właśnie przynajmniej na kilka lat wyłączę cię ze społeczeństwa – postraszyła go i wyszła ze świetlicy w areszcie śledczym na Białołęce.

Teraz była chyba nawet bardziej przekonana o jego winie, niż zanim tu dziś weszła. Ten facet potrafił zniechęcić do siebie każdą kobietę – pomyślała przez moment, ale zaraz naszła ją smutna konstatacja, że chyba niestety z wieloma z nich nie było tak do końca.

14. WĄTPLIWOŚĆ

Potem poprosił ją do siebie kryminalistyk Waldek, który badał ślady farby na bluzie Zenona.

– To jest ta sama farba – powiedział.

– No i bingo. – Uśmiechnęła się, choć znała Waldka na tyle, żeby wiedzieć, że nie ściągnął jej tu, by głosić dobrą nowinę.

– Ale ta plama jest sucha od co najmniej czterech dni, a facet malował zdaje się dwie noce temu – przeszedł do rzeczy.

– Może malował nią coś też wcześniej – zasugerowała Zuza.

– Puszka była prawie pełna, tyle co zeszło na ten napis na drzwiach – odpowiedział mistrz zasiewania wątpliwości.

– Może otworzył tylko i sprawdzał, czy mu odcień pasuje. – Zuza znalazła wyjście. Generalnie rewelacja Waldka nie zrobiła na niej przesadnego wrażenia. – Jakies odciski? – dopytała więc, żeby zmienić temat.

– Nie, malował w rękawiczkach chyba, nigdzie nic nie ma – odpowiedział Waldek, po czym dodał, zawieszając głos: – Natomiast...

– No, wal, bo nie ma czasu. – Zuza chciała już wyjść.

Po pierwsze, rzeczywiście spieszyła się na spotkanie z komendantem, po drugie, nie lubiła tu przebywać zbyt długo. Waldek był tak wielkim fascynatem swojej pracy, że nie zwracał uwagi na takie detale jak higiena osobista.

– Porównałem bluzę z innymi rzeczami z tej samej szafy.

– I co? Jest z innego kanonu mody?

– Porównałem pod mikroskopem – oburzył się Waldek.

– Domyśliłam się. I? – Zuza naprawdę chciała już iść.

Może w tym wszystkim pewną drobną rolę grało też i to, że przed momentem rozmawiała z właścicielem bluzy, który w dwustu procentach pasował do profilu człowieka osaczającego Karolinę, więc wszelkie próby wmówienia jej, że z takiego bądź innego powodu nim nie był, grały jej po prostu na nerwach. Denerwowało ją to prawie tak bardzo, jak denerwował ją sam Zenon.

– Te rzeczy w większości musiały być prane razem i to z czymś, co rzuca drobne czerwone syntetyczne włókna. Te nitki są prawie na wszystkim, a na bluzie ich nie ma. – Waldek zrobił, co mógł.

– Nie ma ich na bluzie i na czym jeszcze? – Zuza wytrąciła mu jednak oręż z ręki.

– Na jednych spodniach i na jakiejś koszuli, ale ona jest nowa – odpowiedział Waldek niechętnie.

– Bluza też może jest nowa. – Zuza wbiła klin w logikę jego wywodu.

– Nie, rzecz w tym, że właśnie nie, musiała być już wiele razy prana, to widać po odbarwieniach.

– W takim razie kupował w lumpie. – Zuza zamknęła dyskusję, ale po chwili zerknęła jeszcze na Waldka, bo nagle zrobiło jej się go jednak trochę żal. – Daj znać, jak znajdziesz coś jeszcze, odciski na przykład. Na razie.

Komisarz ruszyła do drzwi.

– Pijany w sztok facet pilnuje, żeby być w rękawiczkach? – usłyszała jeszcze za sobą jego głos. – Właśnie o to chodzi Zuza, właśnie o to chodzi.

Generalnie Zuza miała bardzo silną fiksację na winę Zenona, bo bardzo zależało jej na tym, żeby przyjaciółce, która była dla niej zresztą kimś ważniejszym od przyjaciółki, zapewnić bezpieczeństwo. Zależało jej też na tym, żeby stało się to szybko, dlatego wyeliminowanie podejrzanego wydawało jej się najlepszym na to sposobem. Teraz jednak zdała sobie sprawę, że w tym wszystkim za dużo było emocji i swoistej życzeniowości, wynikającej z tego, że Karolina była dla niej kimś

więcej niż po prostu ofiarą przestępstwa. Dlatego w końcu Waldkowi udało się zasiać w niej ziarno wątpliwości.

– Halo, cześć, Zuza. Co u ciebie? – Policjantka usłyszała w słuchawce trochę miękko kobiecy, a trochę kanciąście dziewczęcy głos, który tak lubiła.

– W porządku, przesłuchałam właśnie tego gnoja, który ci to zrobił, zaraz mam spotkanie z prokuratorem, pewno jeszcze dziś postawimy mu zarzuty.

– To super, ale to nie jest odpowiedź na pytanie – zażartowała Karolina.

Moment zajęło Zuzie przypomnienie sobie, o co zapytała ją przyjaciółka.

– U mnie... u mnie chyba spoko, ważne, że ten cieć nie będzie ci już zagrażał – odpowiedziała szczerze, może odrobinę zbyt szczerze nawet, więc żeby jakoś ująć temu na znaczeniu, od razu przykryła to swoim pytaniem: – A u ciebie? Jak sprawy, jak firma?

– Dobrze, firma świetnie, a sprawy jeszcze lepiej – przyjaciółka zareagowała nieco tajemniczo.

– Może się zobaczymy?

– Może we czwórkę? – Karolina postanowiła podgrzać jeszcze wątek tajemniczości.

– We czwórkę? – zdziwiła się Zuza.

– No, ty z Rafałem, a ja... z Markiem – rzuciła, jakby to było coś oczywistego.

– Z Markiem? – Zuza była w lekkim szoku, ale coś mówiło jej, że zna odpowiedź na pytanie, które właśnie zadała. – Z sąsiadem w sensie?

– Tak, z sąsiadem. – Karolina zaśmiała się śmiechem dziewczęcym, który Zuza uwielbiała od zawsze, bo znała go niemal od zawsze, a on nigdy się nie zmieniał.

Teraz jednak oprócz uwielbienia pojawił się u niej też rodzaj niepokoju, może w typie tego, który odczuwa matka, kiedy córka idzie na pierwszą randkę, a może jeszcze trochę innego. W każdym razie przez chwilę wisiało między nimi milczenie. Karolina czekała na reakcję przyjaciółki, a Zuza zastanawiała się, jak zareagować.

– Trochę bardziej zadzierzgnęliśmy naszą znajomość ostatnio – w końcu milczenie przerwała jednak Karolina.

– Zadzierzgnęliście? – zapytała Zuza z żalem w głosie, którego, choć bardzo chciała, nie udało jej się ukryć, więc żeby zatrzeć jakoś wrażenie, dodała: – Co za słowo.

– No tak... w sensie... zbliżyliśmy się. – Karolina czuła, że musi się jakoś wytłumaczyć, choć nie wiedziała nawet z czego i dlaczego. – To bardzo sympatyczny człowiek.

– No to super. – Zuza próbowała przekonać także, a właściwie głównie siebie, że jest tym szczerze uradowana. – To kiedy? Nie wiem, czy Rafał będzie mógł, ale w najgorszym razie spotkamy się we trójkę. Obiecuję nie czarować sąsiada.

– Pewno, we trójkę też super, ty jesteś dla mnie ważna, twoje zdanie. Rafała, powiedzmy, mniej.

Karolina wiedziała doskonale, że Zuzie z Rafałem od dość dawna układało się raczej tyle o ile. On, też policjant, choć pracujący w innym wydziale, pił trochę zbyt dużo. Może zresztą fakt, że Zuza odnosiła takie zawodowe sukcesy, również nie do końca w tym wszystkim pomagał.

Jak zwykle, jak ze wszystkim tu też funkcjonowało sprzężenie zwrotne. On pił, więc nie miał ani kiedy, ani jak osiągnąć sukcesów, a w miarę jak ich nie osiągał, a ona osiągała, on pił coraz więcej. Gdyby zresztą chodziło tylko o picie, pewno Zuza dałaby sobie jakoś z tym radę. Z tym dorastała, miała narzędzia. Lepiej byłoby wprowadzić, gdyby jako osoba dorosła już nie musiała ich używać, ale nie zawsze może być lepiej.

Tutaj niestety było za to coraz gorzej. Rafał, pijąc, zdradzał, wychodząc z picia, wciągał koks, co było kosztowne i jeszcze bardziej rozjeżdżało mu głowę. Słowem: jego nieobecność na wspólnej kolacji właściwie nawet byłaby bardziej wskazana.

– Jutro? – zaproponowała Karolina.

– Ja mogę. Sprawdź, co z nim, ale jak nie będzie mógł, to też dobrze. – Zuza nie dość, że sama nie za bardzo lubiła już przebywać z własnym mężem, to miała

także świadomość, że nie bardzo lubią przebywać z nim inni.

Wyjątek oczywiście stanowili kumple od butelki, dilerzy i dziewczyny, którym płacił albo w każdym razie fundował.

Kiedy skończyły rozmowę, Karolina przypomniała sobie o pewnym drobiazgu, którego wcześniej kompletnie nie wzięła pod uwagę. Pozostawało przecież jeszcze zapytać Marka, czy on będzie chętny na takie spotkanie i czy będzie miał czas. Przez chwilę Karolina wahała się, czy zadzwonić, czy zadać to pytanie może dopiero wieczorem, kiedy spotkają się znów na lampkę wina. W końcu jednak decyzja podjęła się niejako za nią, bo porwał ją wir pracy, a gdy z niego wyszła, był już właśnie koniec dnia.

15. MOTEL DLA WYBRAŃCÓW

W tym samym czasie Marek dokonywał ostatnich poprawek w swoim „motelu dla wybrańców”, jak lubił określać w myślach stworzoną przez ojca i zaadaptowaną teraz przez siebie norę pod stodołą.

Z jego kalkulacji wynikało, że w związku ze zmianą okoliczności musi przygotować miejsce już nie dla jednej, ale dla dwóch osób. Wprawdzie tę drugą teoretycznie mógł od razu zlikwidować, a jej ciało zakopać gdzieś na tyle głęboko, by nawet najlepsze policyjne psy nie były go w stanie wywąchać. Na razie postanowił jednak nie likwidować nikogo, co więcej, choć sam nie wiedział za bardzo dlaczego, od razu podobnie jak w przypadku Karoliny wymyślił też bardzo konkretną datę na moment, kiedy pozbędzie się Zenona. Na początek zależało mu na tym, by móc się napawać władzą nad nimi. To znaczy głównie oczywiście nad nią, bo zabicie Marczaka stanowiło jedynie skutek uboczny całej operacji, ale zawsze ciekawiej będzie, gdy znajdzie się ich tutaj dwoje. Może wtedy uda się stworzyć jakąś nową konfigurację, może rozegrać ich między sobą. Marek rozmarzył się z młotkiem i gwoździami w ręku. Kończył właśnie stawianie ścianki przedzielającej większe pomieszczenie pod stodołą. Budziło w nim oczywiście pewną obawę to, że ta dwójka może łatwiej wykombinować jakąś możliwość ucieczki, niż gdyby Karolina trafiła tu sama, lecz system zabezpieczeń, który stworzył, upewniał go o tym, że raczej nic nie powinno zagrozić powodzeniu operacji.

W obu częściach pomieszczenia umieścił kamery połączone na stałe z siecią komórkową i dalej z jego telefonem. Na wypadek gdyby pomimo przytwierdzenia

do ścian któremuś z nich udało się jednak uwolnić, w ścianach były butle z gazem usypiającym, które odpalały się albo zdalnie uruchomione przez niego, albo automatycznie w momencie, gdy którekolwiek z nich wyszłoby poza strefę wyznaczoną wokół ich leżanek. Marek był nie tylko podekscytowany tym, co już niedługo miało się wydarzyć, ale też niezwykle wciągnięty w same przygotowania do tego. Jego smykałka do technikaliów mogła wreszcie zakwitnąć do poziomu pasji. Całe jego życie stawało się zresztą powoli pasją. Pasją czego? Marek zatrzymał się na chwilę – lubił mieć wszystko nazwane i precyzyjnie określone. Pasję czego zatem w tym momencie realizował? Pasję zemsty na własnym ojcu, którego nienawidził za to, co robił innym ludziom? Dość to było jednak pokrętne, żeby mścić się na kimś za coś, robiąc dokładnie to samo komuś innemu. Trochę przywodziło mu to na myśl tych alkoholików, którzy nienawidzili swoich ojców za to, że pili, a tę nienawiść w późniejszym życiu bardzo często sami topili w wódce, i to wódce pitej w większych ilościach.

Nagle zadzwonił gdzieś telefon. Jego telefon. Marek zdenerwował się porządnie, bo dbał przede wszystkim o to, żeby jego numer nigdy nie pojawiał się zidentyfikowany na słupach BTS w tej okolicy. Jego tu przecież nigdy nie było. Ten dom dawno sprzedał, nigdy tu nie bywał, jak powiedział Julii. Może zresztą było w nim jakieś inne ja, które naprawdę chciało tak uważać. Telefon dzwonił w kurtce pozostawionej na górze w stodole, przy zejściu do ziemianki. Kiedy wreszcie się do niej wygramolił, dzwonek umilkł. Na ekranie było jedno nieodebrane połączenie. Od Julii. Marek otworzył obudowę, wyciągnął baterię i kartę, następnie wściekły rzucił telefon w kąt stodoły. Po chwili opanował się trochę, zebrał kawałki, wsadził do kieszeni. Pomyślał, że musi być ostrożniejszy, a także, co było elementem myślenia magicznego, które wciąż zdarzało mu się uprawiać, że coś jednak jest na rzeczy z tą Julią. Kobieta pojawiła się w jego życiu ni stąd, ni zowąd, choć przecież tak naprawdę nawet za bardzo nie pamiętał, kim była wcześniej, i teraz wyskakiwała w takich dziwnych momentach jak choćby ten właśnie. Inna rzecz, że gdyby akurat teraz nie zadzwoniła, to jego telefon, o którego wyłączeniu zapomniał, nadal logowałby się i tak co chwila do słupa

nieopodal, identyfikując jego miejsce pobytu. Co zrobić w tej sytuacji? Należało chyba zmienić numer. Miała go już wprawdzie Karolina, ale jej mógł wytłumaczyć, że dostał dobrą ofertę z innej sieci, a poza tym i tak chciał zerwać ze światem wcześniejszych znajomości, więc zmiana numeru była mu jak najbardziej na rękę. Kto jeszcze dzwonił do niego na ten stary numer? Kilku kumpli, Romek, czasami też ktoś inny z roboty, miała go również żona, ale i tak odkąd wyprowadziła się z Adasiem, nie zadzwoniła do niego ani razu, no i teraz Julia. Może jednak uwolnienie się od niej nie było takim złym pomysłem. Inna rzecz, że takie nagłe zmienienie numeru w obecnych czasach, gdy wszyscy raczej przywiązują się do swoich, mogłoby zostać odczytane przez kogoś jako ruch nieco dziwny. Marek musiał się nad tym jeszcze porządnie zastanowić. Teraz były pilniejsze sprawy do załatwienia. Przede wszystkim na początek musiał się zabrać za wyciągnięcie z aresztu Zenona.

Marczak chyba stanowił dla chłopaków z miasta jednak jakiś ważny element układanki, bo na szczęście, mimo że wciąż nie spłacił im długu, obsługiwała go droga i wzięta kancelaria prawnicza. Na szczęście, bo gdyby miał adwokata z urzędu, wszystko to, co zamierzał dostarczyć Marek jako materiał do podważenia linii oskarżenia, i tak zdałoby się na nic, bo papuga z urzędu nie miałaby motywacji do tego, by połączyć ze sobą klocki i przedłożyć je w sądzie. Klocki? Co takiego mógł dostarczyć Pobłudzki? Tak naprawdę nie było potrzeba przesadnie wiele, bo wszystko było już w dokumentach, tyle tylko, że adwokat nie miał tego świadomości. Po pierwsze, na żadnym z monitoringów, ani wtedy z ulicy, ani potem z osiedla, nie było widać twarzy Zenona. Po drugie, bluza została uwalana farbą na wiele dni przed tym, gdy zostały pomalowane drzwi. Po trzecie wreszcie, bluza oczywiście została podrzucona do szafy Zenona w czasie, gdy ten był w areszcie poprzednim razem, czyli była nowa wśród rzeczy Marczaaka, a rzeczy, które są w czyjejś szafie od niedawna, różnią się od tych, które są tam dłużej. Słowem: Marek w anonimie skierowanym do kancelarii wyłuszczał wszystko to, o czym doskonale wiedziała Zuza, a do czego dotąd nie dotarli mecenasi Zenona. Od momentu gdy już jednak o tym wiedzieli, dotarcie do tych elementów

i wskazanie na ich niewielką i mocno wątpliwą wartość dowodową było formalnością.

Ale zanim to wszystko się wydarzyło, Marek z Karoliną wyszli na swój pierwszy wspólny wieczór ze znajomymi, a konkretnie z jedną, lecz jakże ważną znajomą, czyli z Zużą. Co więcej, tak się akurat złożyło, że między komisarz a jej mężem doszło do chwilowej odwilży w relacjach, więc na wspólnej kolacji, a właściwie kolacjo-popijawie w Beirucie na Poznańskiej, zjawiał się też niesforny Rafał.

16. IMPREZA

– Czyli jesteście małżeństwem od jak dawna? – zapytał Marek ze szczerym zainteresowaniem, kiedy od jedzenia i picia przeszli już wyłącznie do picia.

Zapytał ze szczerym zainteresowaniem, choć oczywiście wiedział to doskonale, bo w ogóle zarówno o Karolinie, jak i o Zuzie wiedział naprawdę sporo.

– Od... – Rafał chciał być pierwszy, ale się zaciął, bo jego możliwości obliczeniowe wyraźnie już osłabły.

– Od dziesięciu lat. – Zuza nie musiała liczyć, miała to policzone doskonale.

Z dzisiejszej perspektywy owe dziesięć lat uważała zresztą za stracone lata swojego życia.

– Od dziesięciu małżeństwem, ale wcześniej dwa lata na kocią łapę. – Rafał miał dziś najwyraźniej dzień, w którym relacja z Zuzą stała absolutnie na pierwszym miejscu.

Takie dni nie zdarzały się często, a ostatnio już wręcz sporadycznie, więc Zuza nie uległa przesadnej ekscytacji.

– Tak, na kocią łapę było całkiem spoko. – Uśmiechnęła się.

Była jeszcze wciąż na tyle obiektywna, by tych pierwszych dwóch lat nie wpisywać do okresu straconego życia.

– Od zawsze uważałem, że te małżeństwa to nikomu dobrze nie robią. – Rafał błysnął humorem, ale jako że miał jeszcze resztki niewypalanej alkoholem inteligencji, wyczuł pewną niestosowność tego, co powiedział, więc dodał: – Są oczywiście wyjątki.

Zuza pokiwała głową z delikatnie sarkastycznym uśmiechem. Mogła coś jeszcze skomentować, lecz nie chciało jej się psuć wieczoru. Zasadniczo uważała się raczej za ofiarę w tym ich dziwnym, a może zresztą niestety jakoś też typowym związku z Rafałem, czasem jednak przychodziło jej do głowy, że i ona była w tym nie bez winy, więcej nawet – może to w niej tkwiła główna przyczyna tego wszystkiego. Czy kiedykolwiek kochała Rafała tak naprawdę? Czy było to w ogóle możliwe? Co myślała o Marku? Z jednej strony cieszyła się, że przyjaciółka w tym trudnym okresie znalazła takie oparcie w mężczyźnie, że w ogóle je znalazła, bo przecież, odkąd sięgała pamięcią, Karolina nie związała się z nikim od tamtego czasu, kiedy przed laty zdarzył jej się ów dramat, który pierwotnie miał być spełnieniem marzeń. Z jednej strony więc się cieszyła, a z drugiej? Cóż, Karolina była dla niej ważna, choć jak bardzo, nikt oprócz niej samej nigdy się nie dowiedział. Kochała ją, więc pojawienie się innego człowieka, który – wiele na to wskazywało – mógł zawładnąć uczuciami przyjaciółki, siłą rzeczy było dla niej bolesne.

– Cieszę się, że pojawiłeś się w jej życiu – powiedziała, kiedy pół godziny później spotkali się pod toaletą. – Staralam się przy niej być jak najczęściej, ale przyjaciółka to trochę za mało. Przepraszam, bo tak skróciłam dystans. Możemy być na ty? – zapytała trochę skrępowana.

– Jasne. – Marek skwapliwie przystał na propozycję. – Marek.

– Zuzanna, Zuza znaczy. – Komisarz się uśmiechnęła.

– Ja też się cieszę, że mogę być pomocny, ale wiem, że twoja rola w jej życiu jest nie do przecenienia.

Potem pili jeszcze sporo. Marek przyglądał się wszystkiemu z podwójnej perspektywy. Uczestniczył w imprezie ciałem i duchem, ale drugi obieg w jego głowie, której nagły ból koił w trakcie wieczoru swoim magicznym płynem, cały czas na chłodno analizował sytuację. Alkohol spowodował jedynie to, że nagle w jego wyobraźni po raz kolejny pojawiły się krwawe obrazy. Widział znów Karolinę nagą i całą we krwi, widział siebie nad nią. Kiedy powrócił z podróży w wyobraźnię, Rafał osiągnął swój ulubiony, jak się wydaje, poziom upojenia

i w związku z tym stał się szarmancki, kulturalny, wręcz uroczy. Niestety nie trwało to długo, bo alkohol zaczął w nim przechodzić kolejne stadia metabolizacji i w końcu zalewanie tego, co już było w nim zatrute, nowymi dawkami, nie zdało się na nic. Zanim jednak zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie, Marek wezwał ubera i rozstając się w przyjaźni z Rafałem i Zuzą, której nagle zrobiło mu się na chwilę trochę szkoda, odjechali na Wolę.

Po kilku minutach Zuza zrobiła to samo, z tą różnicą, że wezwała dwa ubery, proponując Rafałowi, żeby pojechał jeszcze pograć z kolegami w pokera. On zaś był już upojony tak bardzo, że wziął tę propozycję za dobrą monetę.

17. NIESPODZIANKA

Kolejnego dnia na mocno wczorajszą Zużę czekała w pracy niespodzianka, która zupełnie nie poprawiła jej samopoczucia. Zadzwoził prokurator Antczak, który powiedział jej, że obrona wyciągnęła wszystkie ich niedociągnięcia. Na zwołanej naprędce rozprawie wykazali sędziemu, iż większość dowodów jest tak naprawdę mocno naciągana, a w każdym razie na tyle wątpliwa, że o niczym nie przesądza. W tej sytuacji sędzia wydał polecenie zwolnienia Marczała z aresztu w trybie natychmiastowym, a prokurator zebrał joby za spartaczenie sprawy.

– I co teraz? – Zuzie myślało się naprawdę trudno.

– Co teraz? Teraz mój obciach to jedno, a twój Zenon na wolności to drugie – wyjaśnił Antczak wolno i dobitnie.

– Kurwa. – Zuzie nic bardziej trafiającego w punkt nie przyszło w tym momencie do głowy.

– No, owszem, ale ja tak do sędziego nie mogłem powiedzieć.

– Jakie mataczenie, jakie niedociągnięcia? – Zuza nabierała w końcu rozpędu.

– Na monitoringach nigdzie nie ma jego twarzy, bluza nie pasuje do innych rzeczy z jego szafy, farba jest stara, on ma alibi... – Prokurator wymienił to, co chwilę temu sam usłyszał w sądzie od mecenasa Millera.

– Alibi ma od matki i koleśki od kielicha, więc jest umiarkowanie przekonujące, na monitoringach nie ma twarzy, bo on nie jest debilem, bluza nie pasuje do innych rzeczy? Co to, kurwa, w ogóle znaczy, wystarczy, że prał ją z innymi rzeczami, że kupił ją niedawno. Co to za bzdury? – Teraz Zuza była już wściekła nie na żarty.

– Chcesz, mogę ci dać telefon do sędziego Wartkowskiego? Powiesz mu to wszystko i koniecznie okraś to tymi samymi epitetami – zakpił Antczak.

– Co dalej?

– Dalej? Dalej zdobądź na niego coś konkretnego, czego te cwaniaki z kancelarii dla hipsterów nie podważą – poradził. – Polecam się, bo na razie wyszedłem na tej sprawie jak Zabłocki na mydle, zrobili ze mnie wała.

– Wiem. – Zuzie zeszły trochę nerwy. – Zdobędę i to szybko, bo ten męt gotów się teraz zemścić na niej.

Nerwy zeszły, ale Zuza nadal była cholernie wkurzona. Zastanawiało ją też, skąd kancelaria Pietraszak i wspólnicy dowiedziała się o tym, że dowody były tak nieoczywiste. Mogli oczywiście sięść do tego i przeglądać kwit za kwitem, ale czyby im się naprawdę chciało? Czy Zenon, z całym szacunkiem dla jego bandyckiego dorobku, był dla nich aż tak ważny? Zuza miała przecucie, że ktoś dał papugom cynk odnośnie do nie do końca twardych dowodów. Bez tego raczej by się w to nie pchali, bo nic na pierwszy rzut oka nie wskazywało, że dowody są tak wątpliwe. A może chodziło jeszcze o coś innego? Może to nie Zenon był tutaj gwoździem programu, może jacyś ludzie z miasta albo z polityki, którzy utrzymywali kancelarię przy życiu, mieli jakiś problem natury biznesowej nie z Marczakiem, a raczej z jego ofiarą, czyli z Karoliną. Może na jej przyjaciółkę ktoś wydał po prostu zlecenie. To tłumaczyłoby też, dlaczego tak mocno we wszystko zaangażował się Pietraszak.

– Masz jakieś problemy w pracy? – Chwilę później Zuza rozmawiała już z Karoliną. – W sensie czy komuś mogłoby zależeć na tym, żeby przejąć twoją firmę, albo coś takiego...?

– Nic mi o tym nie wiadomo. A czemu pytasz? – zdziwiła się Karolina.

– Bo kancelaria, która obsługuje tego śmiecia, coś za bardzo się napina i coś za dużo wie – odparła Zuza.

Wiedziała w tym momencie, jakie zaraz padnie pytanie, wiedziała, że będzie musiała na nie odpowiedzieć, i była wściekła, że taka właśnie będzie musiała być

odpowieź.

– Napina się, wie i...? – Pytanie nadeszło.

– Napina się i znów go wypuścili – odrzekła, ale dopiero po chwili.

– O Jezu, ale czemu? – Karolina się przeraziła.

– Temu, że komuś bardzo zależało, żeby wyszedł. Za bardzo. – Zuza była tak wściekła, że nawet fragment owej wściekłości przelała na Bogu ducha winną przyjaciółkę. Od razu zdała sobie z tego sprawę, więc dodała: – Ale nie pochodzi za długo, gwarantuje ci, że nie pochodzi.

Karolina rozłączyła rozmowę. Marek był blisko, więc od razu zorientował się, że coś jest nie tak.

– Co się stało? – zapytał z troską.

– Puścili go... Znów go puścili – powiedziała i się rozplakała, a on otoczył ją ramionami.

Teraz zatem musiał już działać szybko. Zuza stanie na głowie, żeby zaraz znów zamknąć Zenona, czasu nie było wiele i trzeba było przeprowadzić najtrudniejszą część operacji. Pierwszy z widnoką musiał zniknąć Zenon. Unieszkodliwienie go było trudne z kilku powodów. Po pierwsze, Zenon był jednak bandytą, a takich nie porywa się łatwo. Po drugie, i to było bodaj jeszcze gorsze, Marczak pozostawał pod ciągłą obserwacją ludzi nasłanych na niego przez Zuzę z jednej strony, a przez chłopaków z miasta z drugiej. W sumie z tych dwóch utrudnień Marek postanowił uczynić sobie jedno ułatwienie.

– Dzień dobry panu, aspirant Jacek Nowak, komenda wojewódzka policji. – Marek wyciągnął odznakę i pozwolił Marczakowi przyjrzeć się jej na tyle długo, by nie powstał nawet cień wrażenia, że się pod kogoś podszywa. – Chciałbym z panem porozmawiać chwilę.

Cała rzecz działa się na tyłach praskiej speluny, w której przemieszkiwał Zenon, a konkretnie między dwoma rzędami garaży. Tylko tam przez moment nie sięgały macki prowadzonej przez cały czas policyjnej inwigilacji.

– Pierdol się. – Zenon najwyraźniej nie miał czasu ani ochoty na rozmowy z przedstawicielami organów ścigania.

– Ktoś w stołecznej wziął się na pana, ale ja widzę to kompletnie inaczej. – Marek wiedział, że nie ma zbyt wiele czasu. – Jeśli panu nie pomogę, to oni w końcu postawią na swoim i pójdzie pan siedzieć.

Ciężko mówiło mu się do tego lumpa na pan, lecz uznał, że w tych okolicznościach nie ma innego wyjścia.

– I chuj. – Zenon najwyraźniej wolał iść pod celę, niż zamienić choćby słowo z typem legitymującym się odznaką.

– Jak dobrze to rozegramy, może pan wygrać na tym też parę groszy. – Marek uśmiechnął się trochę tajemniczo, po czym dodał: – A z tego, co wiem, grosz mógłby się przydać. No i Pałak byłby zadowolony.

Witold Borowik, ksywka Pałak, wielokrotnie karany za rozboje, kradzieże i wymuszenia rozbójnicze bandzior, był tym człowiekiem, który kazał swojemu prawnikowi wyłożyć kaucję na uwolnienie Zenona z aresztu poprzednim razem. To dla niego Zenon odwał mokrą robotę, to do niego meldował i to jemu był teraz winny grube pieniądze.

– Co ty pierdolisz? – Zenon wyraził w końcu żywe zainteresowanie.

– Jutro o szesnastej pod mostem Grota, tylko zgub tych frajerów ze stołecznej, bo w ich obecności interesu raczej nie dobijemy. – Marek się uśmiechnął.

Wyszedł spomiędzy garaży i ruszył w stronę parkanu po lewej stronie, następnie przeskoczył go wprawnie i idąc dalej blisko muru, doszedł na przystanek autobusowy, a tutaj wtopił się już w tłum. Nie był do końca pewien, czy Zenon połknie przynętę, co więcej, miał cień obawy, że pod mostem kolejnego dnia zjawi się już nie on, ale reprezentanci rzeczonoego Pałaka. Coś podpowiadało mu, że tak się jednak nie stanie. Marczak unikał od pewnego czasu kontaktów z namiestnikiem młodego Pruszkowa na Pragę-Północ, gdyż ten był już na niego poważnie wkurzony. Inteligencja emocjonalna. Tak, to niewątpliwie była cecha, która pozwalała mu orientować się w przebiegu zdarzeń i przewidywać ich rozwój

z pewnym wyprzedzeniem. Poza tym doskonale zastosowanie do jego obecnej postawy i nastroju miała maksyma: nie ma ryzyka, nie ma zabawy.

Karolina mimo zapewnień ze strony Marka i Zuzy, że nic jej nie grozi, od momentu gdy Zenon znów znalazł się na wolności, żyła w ciągłym stresie. Po powrocie z pracy do domu bała się wysiąść z samochodu i siedziała w nim teraz już od dobrej pół godziny, czekając, aż zjawi się Marek. Nagłe pukanie z boku w szybę spowodowało, że wręcz ją poderwało.

– To ja. – Twarz Marka w mroku, oświetlona jedynie zielonkawym światłem diodowej latarni, wyglądała wprawdzie lekko posępnie, ale uśmiech wyraźnie ją ocieplął.

– Nareszcie. – Ona też uśmiechnęła się po chwili, którą zajęło jej wyrzucenie z głowy tego, co było intuicją, a co uważała niekiedy za objaw psychozy. – Myślałam, że już nigdy nie wysiądę z tego samochodu.

– Chodź. – Marek uśmiechnął się rozbrajająco. – Kupiłem prosecco, zrobię ci kąpiel, napięcie puści.

– Oby, bo zaraz mnie tak usztyni, że znów nie będę mogła chodzić – odpowiedziała, wsiadając w końcu z ulgą z auta.

– Znowu? – zdziwił się Marek.

– No, poprzednim razem skończyło się na stole operacyjnym – wyjaśniła, po czym dodała: – Dyskopatia na poziomie L3 / L4. Operowali mnie.

Po raz pierwszy, odkąd zbliżyli się do siebie, pojawiła się jakaś informacja, o której Marek do tej pory nie wiedział. Czyli są też i takie rzeczy? – pomyślał. Potem przez moment wahał się, czy już teraz nie zapowiedzieć swojej propozycji wyjazdu pod Warszawę, na spacer przez pola i lasy, ale zaraz przyszło mu do głowy, że Karolina mogłaby wtedy podzielić się perspektywą takiej atrakcji z przyjaciółką, a to nie mogło się wydarzyć. W końcu postanowił, że zostawi niespodziankę na ostatnią chwilę. Zabierze ją tam za dwa dni, po prostu i bez żadnej zapowiedzi. Tak było zdecydowanie najbezpieczniej.

– Może masaż? – zaproponował.

– Zrobiony przez ciebie?

– Mogę spróbować, ale nie wiem o tym zbyt wiele.

Potem ją masował, myśląc znów o tamtym i jednocześnie doprowadzając ją na krawędź, którą w końcu chwilę później przekroczyli razem. Następnie leżeli przez moment w ciszy.

Ona myślała o tym, że kiedy Marek jest przy niej, Zenon traci dla niej całkowicie znaczenie.

On myślał o tym, jak uprowadzi Zenona, jak go zabije i poćwiartuje jego ciało, i jak później to samo zrobi z nią.

Jej myśli były spokojne i usypiające, jego natrętne i choć próbował przerwać ich strumień, to nie był w stanie tego zrobić.

18. ZENON

Kolejnego dnia zjawił się w lasku w pobliżu przęsła mostu Trasy Toruńskiej już na godzinę przed umówionym spotkaniem. Jak na lipiec było trochę chłodno, siąpił deszcz. Marek obszedł okolicę, w końcu znalazł dogodny punkt obserwacyjny i stamtąd z lornetką czekał na przybycie Zenona. Tego, że ten się pojawi, był więcej niż pewien. Pozostawało pytanie, czy nie pojawi się z nim ktoś jeszcze. Nic jednak na to nie wskazywało. Zenon zjawił się sam.

– Cześć. – Marek wyszedł znikąd.

– No i? – Zenon spojrzał na niego trochę zaskoczony, ale nie wystraszony.

– No i przejdźmy się kawałek – zaproponował Marek.

– Nie mam czasu na przechadzki – zaproponował tamten.

– Okej. Zdejmę z ciebie Walicką.

– Kogo? – Zenon udał, że nie wie, o kogo chodzi.

– Wszystkich, odpierdolą się od ciebie. – Marek nie dał się wciągnąć w jego grę.

– Co w zamian?

– Do tego dostaniesz kilo proszku. – Marek jeszcze nie skończył. – Będziesz mógł to puścić w rynek i odkuć się z długu u Pałaka.

– Co w zamian? – Marczak powołał pytanie, choć tym razem mniej agresywnie.

Propozycja najwyraźniej mu się spodobała.

– W zamian chcę wiedzieć, co się dzieje w mieście – powiedział Marek.

Podobała mu się ta nowa rola. Ogólnie polubił ostatnio bardzo przywdziewać różne maski, wchodzić w cudze życiorysy. Maską policjanta z komendy wojewódzkiej podobała mu się nawet bardziej niż inne. Dobrze się bawił.

– Zabiją mnie – odpowiedział Zenon po chwili, ale bez przesadnego przekonania.

– Nie zdążą. Zanim się połapią, że coś nie gra, schowamy cię – zaproponował „aspirant” Pobludzki. – A potem ich wyłapiemy jednego po drugim.

– Pomyślę. – Marczak pokiwał głową.

– Oby nie za długo, propozycja nie jest dożywotnia. – Marek uśmiechnął się chłodno.

Tamten skinął głową. Chwilę stali.

– Idę – odezwał się w końcu Zenon.

Teraz to Marek pokiwał głową. Kiedy Zenon się odwrócił i ruszył w stronę samochodu, poszedł za nim, wyciągnął z kieszeni przygotowaną wcześniej strzykawkę, po trzech krokach wbił ją w jego szyję i wcisnął mętną zawartość w tętnicę. Wziąwszy pod uwagę niemałą wagę Zenona, na efekt działania substancji trzeba było poczekać od trzydziestu sekund do minuty.

Tę minutę Marek musiał jakoś zagospodarować. Zanim Zenon zdążył jakkolwiek zareagować, złapał go więc od tyłu ramieniem za szyję, przyduszając, podciął mu kolana i ściągnął go na ziemię. Zenon zaczął walczyć i prawdopodobnie walkę tę by wygrał, mimo że Marek dociskał mu kolanem krtań do podłoża. Wygrałby, ale na to potrzeba czasu, a czas skończył się dla niego po pięćdziesięciu sekundach, kiedy po prostu stracił przytomność. Marek zaciągnął bezwładne ciało w pobliskie krzaki. Teraz miał mniej więcej pół godziny na to, żeby sprowadzić samochód na dół, wrzucić Zenona do bagażnika, związać go, zakneblować i ruszyć w drogę.

Rozejrzał się wkoło, upewniając się, czy nikt choćby przez przypadek nie stał się świadkiem sytuacji sprzed chwili. Nie było nikogo. Po trzech kwadransach Marek jechał już S8 w kierunku zachodnim, w bagażniku leżał nadal nieprzytomny,

ale na wszelki wypadek też związany i zakneblowany Zenon. Do domu pod Bogatkami dojechali godzinę później, Marek czujnie odczekał, aż zrobi się ciemno, wtedy dopiero podjechał do obejścia z wyłączonymi światłami, przez otwarte okno cały czas nasłuchując, czy gdzieś z boku nie dochodzą dźwięki, które świadczyłyby o czyjejś obecności. Gdzieś z oddali słychać było zmieniające się rytmicznie obroty w motorze ciągnika, trwały jakieś prace polowe, czyli normalny wieczór na wsi.

Po wyłączeniu silnika w samochodzie Marek znów nasłuchiwał jakiś czas, ale jedynym dźwiękiem dochodzącym teraz do jego uszu było nasilające się dudnienie z bagażnika. Marczak najwyraźniej się wybudził i próbował uwolnić, a może też coś krzychał przez zakneblowane usta. Marek wyjął ampułkę z gumową przykrywką, dobrał kolejne kilka centymetrów mętnej substancji, następnie podszedł do bagażnika, otworzył go i na ślepo nieomal wbił igłę w skłębioną masę ciała.

Po chwili wściekła szarpanina ustała. Wtedy wyciągnął bezwładne ciało na przygotowaną zawczasu taczkę i przewiózł je do stodoły. Tam z pomocą liny opuścił Zenona w dół mrocznej czeluści, sam zszedł za nim, przeciągnął do pomieszczenia obok, przytroczył osobno ręce, a osobno nogi do kajdanek, które linkami przyczepione były do wbitych w sufit haków, ciało na raty wepchnął na drewnianą skrzynię przykrytą siennikiem i wyjął Zenonowi knebel z ust. Obok skrzyni postawił wodę w butelce i położył kilka bułek. Następnie usiadł na skrzyni ustawionej po drugiej stronie pieczary, zapalił papierosa i czekał.

– Co jest, kurwa? – Zenon przebudził się na razie tylko częściowo.

Po chwili przysiadł na swoim sienniku, zorientował się, że ma ręce i nogi spięte ze sobą i przytwierdzone łańcuchem do haka pod sufitem. W końcu zauważył też siedzącego naprzeciwko w kłębie tytoniowego dymu Marka.

– Co to jest? Co ty odpierdalasz? – zapytał wciąż dość mocno zdezorientowany.

– To jest pieczara. Spędzisz tu jakiś czas – wyjaśnił Marek, po czym dodał, kłamiąc: – Jeśli będziesz grzeczny, to istnieje szansa, że wyjdiesz stąd nawet żywy.

– Zajebię cię! – Marczak słowa „grzeczny” nie miał w swoim słowniku. – Jesteś już trupem, rozumiesz?!

– Rozumiem twoje podenerwowanie – odpowiedział Marek spokojnie, a w jego głosie był taki chłód, że na moment zgasił nawet wściekły zapach Zenona. – Na razie musisz jednak zaakceptować warunki, które zastałeś.

– Po co? Po chuj mnie tu trzymasz? – spytał Zenon tym razem już mniej emocjonalnie, a bardziej merytorycznie.

– To dość skomplikowane. – Marek nie był gotów na razie na uzupełnienie wiedzy Marczaka. – Zanudziłbym cię, tłumacząc. Na razie muszę cię za to poinformować o pewnych technikaliach.

Jakiś czas patrzyli na siebie. Marek z chłodnym spokojem, tamten z totalną dezorientacją.

– Otóż – Marek wrócił do porzuconego tematu – są tu kamery i czujniki ruchu. Jeśli spróbujesz się uwolnić z tych łańcuchów, ja dostanę powiadomienie, na ekranie będę widział, co robisz, a jeżeli uznam, że posuwasz się za daleko, w łańcuchy pójdzie napięcie dwieście dwadzieścia woltów. To będzie cholernie nieprzyjemne dla ciebie doznanie. A jeśli posuniesz się jeszcze dalej, napięcie popłynie za długo, do tego dołączy gaz z butli i wtedy umrzesz. Czy to jest jasne?

– Pierdol się. – Zenonowi w tym momencie nie przyszło do głowy nic innego.

– Uprzedzam cię lojalnie, że za jakiś czas dołączy do ciebie jeszcze jedna osoba. Jej będą dotyczyły te same zasady. – Marek wybiegł nieco w przyszłość, na koniec dodał, wskazując poszczególne rekwizyty: – Tu masz wodę, kanapki, zupę, dozuj sobie, bo nie wrócę za szybko. Wypróżnij się do wiadra, które stoi tam. Chyba tyle. Jakies pytania?

– Nie boisz się?

– Nie bardzo. A ty? – Marek był w formie nieprzerwanie.

– Po co to robisz?

– Po to – odpowiedział szczerze Pobludzki. – To jest cel sam w sobie, nie ma jakiegoś innego, nie ma drugiego dna, może tylko jeszcze rozszerzę trochę

działalność.

– Jesteś pierdolnięty – skonstatował nagle Zenon, na co Marek się uśmiechnął, a Zenonowi po raz kolejny w ciągu ostatnich kilku minut zdrętwiała skóra na karku.

19. MROK

Po co? Marek zastanawiał się nad głębszą odpowiedzią na to pytanie, jadąc już samochodem z powrotem w kierunku miasta. Miał przecież gdzieś z tyłu głowy, że wszystko, co robi, jest wybitnie pomyłone. Może to kwestia dzieciństwa, a raczej tego, co robił wtedy ojciec? Skąd jednak mógł to wiedzieć, skoro z dzieciństwa pamiętał właściwie jedynie siebie, przerażonego i samotnego, a do tego wieczne krzyki? Może to już wytwór wyobraźni nałożony na wspomnienia realne, a może prawda. Ciężko to już w pewnym momencie rozgraniczyć. Nawet jeśli jednak krzyki dołożyła do wydarzeń z dzieciństwa głowa, to znaczy, że krzyki do tamtej sytuacji pasowały. Ich życie toczyło się wtedy w zasadzie normalnie, ale świadomość tego, co pod spodem, dosłownie i w przenośni, czyniła tę egzystencję ciężką do zniesienia.

Matka chorowała, siostra w wieku szesnastu lat po prostu uciekła z domu. Znaleźli ją jakiś czas później koczującą na dworcu w Wałbrzychu. Wróciła na chwilę, ale wkrótce skończyła osiemnaście lat i zniknęła na dobre. On młodszy, może też mniej odważny, tkwił w tym latami, bo nawet po tym, gdy cały proceder się zakończył, po tym, jak już nikt więcej nie pojawiał się pod stodołą, bo zmieniły się czasy albo może dysponenci władzy, napięcie i mroczna tajemnica i tak dalej zżerały ich rodzinę od środka. Nigdy nie było już normalnie.

On w końcu z pomocą szkoły, mieszkania u ciotki, potem studiów też jakoś z tego mroku się wydostał. Mrok zagnieździł się jednak dawno jak nasienie w jego wnętrzu i monstrualna roślina właśnie zakwitła. Teraz może dać wreszcie upust,

teraz czuje się młody, silny i wyzwolony, wszystko to, co nosił w sobie, wycieka na innych, na razie na Zenona.

A wkrótce też na Karolinę.

Tak tłumaczył sobie wszystko, co robił i co zdarzyło się ostatnio w jego życiu, bo jakoś wytłumaczyć to własnej głowie musiał, ale gdzieś z tyłu, głęboko pod spodem przeczuwał, że mogło też być jeszcze zupełnie inaczej.

– Znowu cię zatrzymali przy papierach. – Karolina bardziej stwierdziła, niż zapytała, widząc go w swoich drzwiach.

– Zatrzymała mnie kwiaciarnia. – Marek wyciągnął trzymany za plecami bukiet.

– O mamó, a to z jakiej okazji? – Karolina się ucieszyła.

– Znamy się już równo miesiąc.

– No jasne, musimy to uczcić, chodź!

Najpierw zjedli. Przy czym tym razem to ona przygotowała wszystko, były caponata i dorsz z pieczonymi ziemniakami, do tego hiszpańska rioja santiago reserva curato, wino delikatne, z lekko wyczuwalnymi nutami dębu, wanilii i tytoniu, których oni nie wyczuwali, bo zbyt byli skupieni na wyczuwaniu siebie nawzajem. Pragnęli się, ona może nawet bardziej pragnęła jego niż on jej, ale najbardziej ekscytujące w tym wszystkim było to zawieszenie, oczekiwanie, niewypowiedziana, a jakże widoczna wzajemna chęć. Jedli więc, rioją santiago popijając narastające w nich pragnienie znacznie głębsze od tego gaszonego winem.

Później w końcu wybuchło to, co wybuchnąć musiało. Kochali się długo i namiętnie. Czy Marek pamiętał w tym momencie o tym, z kim uprawia miłość i jakie są jego dalsze plany wobec kobiety, którą właśnie zaspokajał i która w jego obecności czuła się w końcu wreszcie zupełnie bezpieczna? Zastanawiał się nad tym chwilę później, paląc papierosa przy uchylonym oknie. Teraz pamiętał już doskonale, jaką rolę w realizacji jego planu miała do odegrania Karolina, ale czy

pamiętał o tym, gdy był w niej jakiś czas temu? Tego nie był w stanie do końca ustalić i ciążyło mu to trochę.

20. KAROLINA

Kolejnego dnia był piątek, ona pracowała, on też. Miał świadomość tego, że nie może zabrać jej na wycieczkę do nicości prosto spod domu, bo na budynkach wokoło zbyt dużo było kamer. Później w ciągu dnia celowo do niej też nie dzwonił, żeby za jakiś czas, gdy Zuza w rozpaczy zacznie przeszukiwać billingi, również tu nie było żadnego śladu. W pracy pojawił się celowo dość późno, bo późne przyjscie oznaczało z automatu późne wyjście. Na bramce odebrał rozmyślnie korespondencję, żeby jego podpis złożony był o konkretnej godzinie. Zawczasu, już poprzedniego dnia przy Trębackiej podstawił swój drugi samochód. O siedemnastej wyszedł z gmachu ministerstwa tylnym wyjściem prosto na ulicę Ossolińskich. Z Ossolińskich okutany kapturem przeszedł przez plac Teatralny na Trębacką, tam wsiadł do samochodu i ruszył pod mieszczące się przy Skierniewickiej biuro Karoliny. Kiedy podjechał, stanął poza zasięgiem kamer monitoringu i w pobliżu zaparkowanego wzdłuż ulicy samochodu sąsiadki. Teraz nadchodził kluczowy moment. Marek czekał w aucie i czuł narastającą ekscytację, wreszcie gruczoły zaczęły też tłoczyć do krwiobiegu adrenalinę. Działo się, a za chwilę sprawy miały naprawdę przyspieszyć. Karolina wyszła z biura za dziesięć piąta. Gdy podeszła do swojego samochodu, on wysiadł ze swojego ruszył prosto do niej.

– Zmiana planów – odezwał się, gdy jeszcze nawet go nie widziała.

– Ale mnie wystraszyłeś! – Karolina aż podskoczyła, ale zaraz na jej twarzy zagościł uśmiech. – Co za niespodzianka.

– Przyjechałem z dwóch powodów... – Uśmiechnął się i on. – Po pierwsze, póki on jest na wolności, wolę dmuchać na zimne...

– A po drugie? – Zerknęła na niego filuternie.

– A po drugie, chcę cię zabrać na wycieczkę gdzieś, gdzie wreszcie trochę odetchniesz – oświadczył, ujmując jej dłoń delikatnie w swoją.

– Gdzieś? – zapytała nie po to jednak, by się dowiedzieć, a raczej by podtrzymać atmosferę wysyczonej erotyką tajemniczości.

– Gdzieś, gdzie na pewno ci się spodoba.

– Dobrze, pojedźmy zatem. – Karolina ruszyła w stronę swojego samochodu.

– Nie, pojedziemy moim, to znaczy pożyczonym. Będziemy jeździć trochę offroad, szkoda by było zawieszenia w twoim roadsterze. – Marek uśmiechnął się i pociągnął ją delikatnie w stronę zaparkowanego kawałek dalej, kupionego na lewe dane i wciąż nieprzerejestrowanego jeszcze subaru foreстера, ubłoconego nawet lekko, żeby uczynić go bardziej przekonującym.

Karolina zgodziła się bez namysłu. Wsiedli. Na szczęście dla Marka świeciło słońce, więc opuszczona maksymalnie w dół osłona przeciwsłoneczna i okulary na jego twarzy nie mogły dziwić. Marek miał zawczasu przygotowaną trasę, która do minimum ograniczała styczność z kamerami monitoringu, ale wykluczyć jej zupełnie się we współczesnym, nowoczesnym mieście nie dało. Dodatkowo włączony do tylnej zapalniczki i umieszczony pod siedzeniem działał zakłócacz sygnału telefonii komórkowej. Od tego momentu nie mogli już nigdzie zadzwonić ani nikt nie mógł zadzwonić do nich, ale najważniejsze było to, że od teraz telefon Karoliny, choć miała go ze sobą i choć wciąż pozostawał włączony, z punktu widzenia telefonii komórkowej, czyli późniejszych poszukiwań Zuzy, zniknął z sieci.

Do obecnej wylotówki na Kraków dojechali starą trasą, czyli przez aleję Krakowską, Okęcie, potem obok lotniska dalej przez Raszyn i Janki. Tak było lepiej z kilku względów. Po pierwsze, na trasach szybkiego ruchu roiło się od kamer, po drugie, sporo też było tam patroli policji, wreszcie na miejskich ulicach,

szczególnie w korku, trudno cokolwiek dojrzeć, nie sposób też je wszystkie później przeszukać, nawet gdyby wiedzieli, czego tak naprawdę szukają, choć to było mało prawdopodobne.

– Czyli jedziemy na południe – skostatowała Karolina po kilku minutach luźnej rozmowy o tym, co u kogo działo się w pracy. – W góry?

– Bez przesady, dziś mamy wrócić. Aż taki szybki nie jestem. – Marek się zaśmiał.

Tak naprawdę nie był dziś w ogóle szybki, co nie przychodziło mu zresztą łatwo, bo zwykle lubił jeździć samochodem normalnie, czyli zdecydowanie powyżej ograniczeń. Teraz jednak zachowywał się jak na kursie prawa jazdy i w żadnym miejscu na trasie nie przekroczył dozwolonej prędkości.

Nie mógł sobie pozwolić, żeby strzelił go jakiś fotoradar, nie mówiąc już o tak zwanej kontroli drogowej. Ta zniweczyłaby całkowicie jego plany i to na długo, bo przy okazji wyszłoby na jaw, że samochód nie jest w pełni zalegalizowany, a właściwie jest wręcz zupełnie nielegalny.

Marek był naprawdę dobrze przygotowany, a sama realizacja planu sprawiała mu ogromną przyjemność. Zachowywał się trochę jak człowiek, który bardzo długo ustawiał wymyślną konstrukcję z klocków domina i teraz po przewróceniu pierwszego z nich przyglądał się z satysfakcją, jak z wolna w absolutnie przewidywalny sposób przewracała się cała, zakrywając przy tym wszelkie ślady, jakie zostawić mógł po sobie ustawiający.

– Czyli? – zapytała Karolina po chwili lustrowania spokojnie płaskiego krajobrazu.

– Czyli? – Marek odpowiedział pytaniem na pytanie.

Kontemplowanie doskonałości planu oderwało go od kontekstu prowadzonej wcześniej rozmowy.

– Czyli dokąd mnie zabierasz, sąsiedzie?

– Zabieram cię do krainy mojego dzieciństwa. – Uśmiechnął się, po czym dodał trochę tajemniczo: – W głąb tej krainy.

– W głąb? – zdziwiła się z wdziękiem Karolina.

– Pochodzimy po borach i lasach, czyli po moim podwórku – wyjaśnił Marek uspokajająco.

Jej jednak w ogóle nie trzeba było uspokajać. W jego obecności czuła się naprawdę dobrze i bezpiecznie, może od dzieciństwa nigdzie i nigdy nie czuła się tak dobrze. Cóż za paradoks – pomyślał Marek, który wyczuwał przez skórę, że tak właśnie jest.

Kiedy dojechali w pobliże obejścia, miał tylko jeden problem. Wiedział, że jeśli Karolina wyjdzie z samochodu z torbą, czyli z telefonem, to wieże BTS natychmiast zarejestrują pojawienie się jej numeru w tej okolicy i będzie po wszystkim.

– Chodź, zanim się ściemni, zaczniemy od spaceru. Zostaw torebkę, będzie ci przeszkadzała – zaproponował tuż przed tym, nim wyłączył silnik, a zaraz potem dodał trochę głupio: – Może znajdziemy jakieś kurki, to od razu zrobimy sobie jajecznicę.

Ona popatrzyła na niego i zaczęła się śmiać.

– No co, mam w co zbierać. – Marek wyciągnął z kieszeni papierową torebkę. – Mam kozik, na poważniejsze grzyby za wcześniej, ale kurki już są. Znam miejsca.

– No to na grzyby. – Karolina otworzyła drzwi od samochodu, po czym wysiadła, torebkę zostawiając za sobą na siedzeniu.

Marek zerknął na nią, uśmiechnął się, zgasił silnik i też wysiadł. Potem faktycznie poszli na spacer, a on rzeczywiście znalazł miejsce, gdzie kurki wyrastały rok za rokiem od przynajmniej czterdziestu lat, a pewnie dłużej.

– Najchętniej w ogóle bym tu została – zwierzyła się Karolina, kiedy wracali już w stronę samochodu. – Taki tu spokój, a jego podobno puścili.

– Jak puścili? Co to znaczy?

– Po prostu. Podobno podważyli dowody prokuratora i sędzia kazał go puścić.

– Co jest z tą prokuraturą...?! – zareagował dobrze udawanym wkurzeniem.

Nie musiał tak naprawdę za wiele udawać. W momentach jak ten tak głęboko wchodził w rolę, że naprawdę odklejał się od tamtego siebie, stawał się normalnym urzędnikiem przejętym losem normalnej dziewczyny, która miała trochę nienormalne problemy ze stalkerem.

– No trudno – dodał po chwili uspokajająco, po czym uśmiechnął się ciepło i szczerze. – Po prostu musimy teraz być cały czas razem. Ale to nie będzie chyba specjalnie nieprzyjemne.

Potem doszli do obejścia. Marek doprowadził ich jednak od jego drugiej strony w stosunku do miejsca, w którym zostawili auto. Zrobił to celowo, choć droga obok auta była krótsza.

– A gdzie jest samochód? Wzięłabym chociaż telefon, może ktoś dzwonił.

– Zaraz podejdziemy, to kawałek. Najpierw pokażę ci wewnątrz królestwa mojego dzieciństwa. – Marek ruszył w stronę wejścia do głównego domostwa, czyli krytego eternitem budyneczku z czerwonej cegły. Ona poszła za nim. Kiedy dotarli pod drzwi, Marek z kieszeni kurtki wyciągnął duży, zardzewiały lekko klucz, a ona pomyślała, że dawno musiał tu nie być i że to, że tu są teraz razem, oznacza być może, iż jest dla niego ważna. Była ważna, ale w jakże inny sposób, niż sądziła. Klucz obrócił się lekko, otwierane drzwi nawet nie zaskrzypiały, czyli jednak musiał tu bywać wcześniej. Weszli.

Wnętrze było typowym wnętrzem wiejskiej chaty. Nie widziała takich wiele, bo sama wychowywała się w Warszawie, i to do jakiegoś momentu w warunkach raczej ekskluzywnych. Wielu nie widziała, ale kilka owszem. Z dzieciństwa pamiętała wizytę w Surazu, w domu rodziny przyjaciela taty, zresztą chyba księdza. Tutaj było podobnie: ściany pobielone, na łóżku wielka paczka z pierzyną i poduszkami podsunięta pod wezgłowie. Nad nim obraz Świętej Rodziny w jakimś egzotycznym miejscu, pewno w trakcie słynnej, długotrwałej podróży do Egiptu. W kuchni, do której weszli po chwili, stał piec kaflowy, na fajerkach poobijane emaliowane garnki, jakby ktoś użytkował kuchnię dosłownie przed momentem albo jakby znaleźli się w skansenie. Tak, to drugie wydało jej się sensowniejszym skojarzeniem, bo Marek absolutnie nie przywodził jej na myśl człowieka, który

gotowałyby posiłki na kaflowym piecu w poobijanych garnkach. To miejsce ogólnie absolutnie jej z nim nie konweniowało. A jednak chyba był stąd, bo po co właściwie miałyby ją okłamywać.

– Długo tu mieszkałeś? – zapytała z trudem ukrywanym zdziwieniem.

– Od początku do jakiegoś... piętnastego roku życia. – Uśmiechnął się pobłaźliwie, jakby doskonale rozumiał jej zdziwienie i wcale nie miał jej go za złe. – Potem zamieszkałem u ciotki w Warszawie, później studia, właściwie przestałem nawet przyjeżdżać.

– A rodzice? – Karolina rozglądała się po wnętrzu.

– Rodzice? – zareagował zdziwieniem. – Rodzice zostali, od pewnego momentu rzadko się właściwie widywaliśmy. Z siostrą do jakiegoś czasu częściej.

– Masz siostrę? – zapytała zaskoczona, ale zaraz zdała sobie sprawę, że znali się krótko i tak naprawdę wiedzieli o sobie bardzo niewiele, więc to, że nie wiedziała nic o jego siostrze, nie było niczym dziwnym.

– Mam, miałem właściwie, zniknęła gdzieś przed laty. Ogólnie poza tym nie jestem przesadnie rodzinny – wyjaśnił, a właściwie bardziej przyznał się do tego, że nie przepadał za swoimi korzeniami.

Po co zatem ją tu w ogóle przywiózł? – zaczęła się zastanawiać. Może chciał pokazać to, co uważał w przypadku swojej osoby za najgorsze, choć tak naprawdę nie było w tym nic złego. Od zawsze bardziej frapowali ją ludzie ze złożoną przeszłością niż ci, których całe życie sprowadzało się do kontynuowania drogi wytyczonej przez protoplastów.

– A rodzice, gdzie są teraz? – spytała, przeczuwając zresztą od razu, jaka będzie odpowiedź.

– Nie żyją. Najpierw ojciec szesnaście lat temu, później zaraz po nim mama.

– Kochali się?

– Nie, chyba nie za bardzo, raczej syndrom sztokholmski. Mama była ofiarą, ojciec prześladowcą, czasem tacy ludzie wiążą się ze sobą dość mocno – powiedział nagle ze zniewalającą szczerością.

– Nawet przeważnie niestety. – Ona odwdzieczyła mu się tym samym, po czym dodała dla rozładowania sytuacji: – To co, idziemy po ten mój telefon?

Marek, od chwili gdy wysiedli z samochodu, przez cały czas był przygotowany na to, że lada moment będzie musiał odwrócić perspektywę Karoliny o sto osiemdziesiąt stopni. W kieszeni kurtki trzymał strzykawkę z igłą zabezpieczoną plastikową osłoną, we wnętrzu której zmieścił trzy centymetry bardzo silnie usypiającej substancji. Wiedział, że lek zadziała, gdziekolwiek by się wkłuł. Cały czas był gotowy, ale z jakiegoś powodu odwlekał moment, choć dobrych okazji było już wiele.

Czemu to odwlekał? Z Zenonem nie miał takiego problemu. Inna rzecz, że w jego przypadku musiał się wykazać absolutnym zdecydowaniem, inaczej nie dość, że nie udałoby się przeprowadzić akcji, to jeszcze próbę mógł przypłacić utratą zębów albo jeszcze czegoś cenniejszego. Tutaj nie obawiał się oporu. Czy zatem nie robił tego, bo bawił go ogrom przewagi, którą miał nad tą kobietą, czy może chodziło o coś innego? Może właśnie w jej przypadku brakowało mu odwagi, bo o ile do Zenona nie miał właściwie żadnego stosunku, a jeśli nawet, to była to czysta niechęć, a może wręcz obrzydzenie, o tyle tutaj wyglądało to zupełnie inaczej. Z Karoliną nie tylko spał, ale też rozmawiał, rozumieli się dobrze, czuli podobnie, śmieszyły ich te same żarty.

Tylko że teraz wystarczyłoby, żeby ruszyła w głąb obejścia, czyli tam, gdzie okna zasłonięte były płytami z desek, i wszystko stałoby się jasne, albo właśnie na tyle mętne, że przerażające. Jeśli więc nie teraz, to kiedy? Pomyślał i sekundę później, stojąc za nią, wbił jej strzykawkę w szyję. Substancja wniknęła do krwiobiegu, który zrewanżował się, oddając kilka kropel jasnoczerwonej krwi. Karolina osunęła się niemal natychmiast, prawie na tyle szybko, że nie zdążyła na niego spojrzeć. Prawie. Marek złapał ją za rękę tak, jakby w jakimś dziwnym odruchu chciał jej towarzyszyć w tej ostatniej drodze w normalnym świecie, jaki znała.

21. JULIA

Wrócił do pracy dokładnie tą samą drogą, którą ją opuścił dwie godziny wcześniej. Romana nie było, więc w gabinecie Pobludzki był sam. Zaraz po wejściu zerknął na ekran komórki, którą zostawił na biurku przy komputerze. Na ekranie widniało tylko jedno nieodebrane połączenie. Kwadrans przed jego powrotem dzwoniła Julia. Marek namyślał się przez chwilę. W końcu zdecydował, że każda forma kontaktu tego dnia z biura działała w razie czego na jego korzyść. Oddzwonił.

– Halo? – odezwał się zaraz po tym, jak usłyszał, że osoba po drugiej stronie odebrała połączenie.

– Hej, to ja, Julka – odpowiedziała kobieta, choć nie od razu.

– Cześć, nie mogłem wcześniej odebrać, u szefa byłem – skłamał. – Co tam?

– Nic specjalnego. Mój mąż wyjechał w delegację, trochę się zastanawiałam, co by tu zrobić ze sobą, i przyszło mi do głowy, że może sprawdzę, co u ciebie... – Julia zawiesiła głos, domykając uprzednią kwestię delikatnym mlaśnięciem, a jemu podniosły się lekko włoski na przedramionach.

– Będę w domu koło dwudziestej. – Marek w ciągu ułamka sekundy postanowił zmodyfikować plan na swój dzisiejszy wieczór.

– Do zobaczenia w takim razie, Rainerze. – Julia zaśmiała się i zakończyła rozmowę.

„Rainerze”? Tej ksywki, nadanej mu bodaj w trzeciej klasie liceum na cześć jego maniakalnego przywiązania do wierszy Rainera Marii Rilkego, nie słyszał od

wielu lat, a konkretnie właśnie od końca liceum. Musiała rzeczywiście wtedy zwrócić na niego uwagę. Dlaczego on nie zwrócił uwagi na nią?

Modyfikacja planu polegała na tym, że wcześniej tuż po pracy zamierzał pojechać do mieszkania na Woli. Stamtąd po odsiedzeniu kilku kwadransów, po wielokrotnym zastukaniu do drzwi Karoliny i po wykonaniu pewnej liczby połączeń na jej głuchą i leżącą obecnie na dnie rzeczki Jeziorki komórkę, a być może też do pracy, chciał zadzwonić do Zuzy, dzieląc się z nią swoim niepokojem o przyjaciółkę. Modyfikacja polegała na przesunięciu całej sprawy w czasie do przodu. Ilość nagromadzonych wcześniej emocji skupiła się w nim w formę bardzo silnego napięcia, które teraz chciał w jakiś sposób koniecznie rozładować. W jakimś sensie Julia idealnie wpisała się zatem w jego zapotrzebowanie.

W domu na Okęciu był za dziesięć ósma. Znów korzystając z okazji, narobił sporo szumu, tak żeby sąsiedzi wiedzieli, iż ponownie się aktywował, wybudził z letargu, czy cokolwiek chcieli myśleć. Po wykonaniu szeregu czynności głośnych na tyle, by sąsiedzi odnotowali jego obecność, następnie wziął prysznic i czekał. Julia zjawiała się nieco spóźniona, a jemu zależało teraz na czasie, bo Zuzę powiadomić zamierzał między jedenastą a dwunastą w nocy, czyniąc z tego sprawę pilną na tyle, by dzwonić późnym wieczorem, ale jednak nie w środku nocy. Wcześniej zaś musiał podzwonić do Karoliny, a tego za nic nie chciał robić z mieszkania, w którym znajdował się teraz. Dlatego też zresztą telefon zostawił w pracy, więc w drodze powrotnej czekał go jeszcze przystanek na Krakowskim Przedmieściu. Czas leciał, a on czuł chuć, która narastała z każdą chwilą.

– Spóźniłam się. – Julia wyczuła chyba, że jest trochę podenerwowany, bo w jej głosie była przeproszająca nuta.

– Nie szkodzi. – Uśmiechnął się, próbując zniwelować napięcie.

Nie do końca mu się to jednak udało. Już zanim przyszła, zastanawiał się, jak długa droga będzie ich dzieliła od jej nadejścia do realizacji tego, z czym – jak sądził – do niego przyszła. Żeby tak sądzić, miał podstawy. „Mąż wyjechał”, a ona „nie wiedziała, co by tu zrobić ze sobą”.

– Napijesz się? – zaproponował, choć wiedział, że sam nie może tego zrobić. Zbyt dużo czekało go dziś jeszcze jeżdżenia. Poza tym, kiedy to wszystko się zacznie, wolał mieć samochód przy sobie, a nie tłumaczyć się Zuzie w razie czego z jego braku.

– Nie, dzięki... wolę to robić w pełnej przytomności zmysłów. – Julia podeszła do niego, a on już wiedział, że na szczęście nie zmitręży tu zbyt wiele czasu.

Seks był bardzo intensywny, z nią też wydarzyły się wszystkie te rzeczy, które ktoś zakwalifikowałby jako hardcore. Potem w końcu przyszła eksplozja spełnienia. Kiedy próbował zebrać kawałki tego, co wydarzyło się w sypialni jego starego mieszkania na Okęciu, dotarło do niego, że między tym a tym, co wydarzyło się z Bożeną, pomimo wielu podobieństw była jedna zasadnicza różnica. Julia nie wyglądała ani na wystraszoną, ani nawet na zaskoczoną, była po prostu jedynie zadowolona, i on zresztą też, tylko wszystko, do czego tu doszło, podszyte było totalną przedmiotowością. Inaczej niż w relacji z Karoliną tutaj nie było właściwie nic oprócz zaspokojenia.

22. POSZUKIWANIA

W domu na Woli był o wpół do dziesiątej. Na numer Karoliny dzwonił najpierw jeszcze z pracy, zaraz po tym, jak wrócił po telefon, a następnie wiele razy w drodze do domu i później, kiedy dodatkowo parokrotnie pukał do jej mieszkania. To ostatnie było być może najmniej potrzebne, ale gdyby a nuż Zuza rozpytywała sąsiadów, to ci co czujniejsi z nich mogliby potwierdzić, że słyszeli, jak się do niej dobijał. Dwadzieścia po jedenastej wcisnął numer Zuzy. Miał go, bo podała mu go Karolina przed spotkaniem ich czwórki w restauracji, na wypadek gdyby jej padła komórka.

– Cześć. To znaczy dobry wieczór, Marek Pobludzki. – Mówił cicho, tak jakby w ten sposób przynajmniej próbował uszanować późną porę. – Przepraszam, że o tej godzinie...

– Nie szkodzi. Co tam? – Zuza, odpowiadając swobodnie, od razu pozbawiła go wszelkich powodów do tego, by się tłumaczył.

– No właśnie... w sumie to nic, tylko od kilku godzin próbuję się dodzwonić do Karoliny. Teraz przyszedłem z pracy, pukam też do niej. Pomyślałem, że może jest z tobą albo u ciebie...? – Marek wciąż formułował zdania w tonie lekko przeproszającym.

Grał rolę kogoś, kto zawraca głowę w nocy, bo prawdopodobnie zupełnie niepotrzebnie przejął się czymś, a wynikało to po prostu z tego, że jako człowiek empatyczny i zaangażowany w relację z Karoliną nie potrafił inaczej.

– Nie, nie ma jej u mnie, nie rozmawialiśmy dzisiaj. – Zuza podchwyciła jego ton, ale u niej nie było nut przepraszających, był wyłącznie niepokój. – Zenona puścili. Zaraz sprawdzę, czy mają go na oku. No i zadzwonię do niej. Zaraz się odezwę.

Zuza odłożyła słuchawkę. Ona nie musiała udawać empatii ani zaangażowania, ona była przejęta naprawdę. Na razie tylko trochę. Karolina znana jej była z tego, że czasem potrafiła skoczyć gdzieś w bok. Może na przykład znalazł się ten młodzieniec, z którym flirtowała przez Tindera jakiś czas temu. Była wprawdzie emocjonalnie coraz bardziej związana z sąsiadem, który właśnie dzwonił, ale z drugiej strony Karolina była dość specyficzna.

– Halo, cześć, Andrzej. – Połączyła się z jednym z kolegów, który nadzorował służbę patrolową i między innymi miał za zadanie doglądać Zenona. – Przepraszam, że tak późno. Chciałam się upewnić, czy ten Marczak jest pod waszą pieczę cały czas.

– Jest – aspirant Andrzej Przybylski odpowiedział lakonicznie. – O ile wiem, od trzech dni nie wylazł z domu.

– Możecie sprawdzić, czy tam jest rzeczywiście? – cisnęła Zuza.

– Ale jak? Nakazu przeszukania nie mam – odbił piłeczkę tamten.

– Nie wiem jak, wymyśl coś, wejdźcie do niego pod pozorem rozpytania, cokolwiek. – Zuza nie odpuszczała. – Muszę być pewna, że on tam jest.

– Dobra, ale dopiero rano – zgodził się w końcu Przybylski.

– Nie rano, tylko teraz, niech ktoś tam wejdzie teraz. Powiedzcie, kurwa, że jest zgłoszenie, że się gaz ulatnia, cokolwiek. – Komisarz nakręcała się coraz bardziej.

– Dobrze, dobrze, kurwa, ale cię przycisnęło. – Andrzej dokończył zdanie i się rozłączył.

Zuza wybrała numer do Karoliny po raz szósty w ciągu ostatniego kwadransa. Po drugiej stronie nieomal natychmiast włączała się automatyczna gadka o niedostępności numeru. Na razie Zuza była jeszcze przynajmniej racjonalnie przekonana, że zapity Marczak siedzi w swoim domu i próbuje dojść do siebie.

Mimo to od telefonu Pobłudzkiego przez cały czas narastał w niej niepokój. Po kolejnym kwadransie znów zadzwoniła do niego, on odebrał prawie od razu.

– Pojawiała się? – zapytała, zanim zdążył się odezwać.

– Niestety nie. Siedzę w kuchni, blisko drzwi, żeby słyszeć w razie czego. Na razie cisza. Dzwonię też, ale...

– Wiem – wcięła się Zuza. – Marczak jest w domu... raczej, upewniam się. Jej numer wrzucę do sieci, żeby mi zlokalizowali ostatnie logowanie, ale to dopiero rano. Teraz tam nikogo nie ma... chociaż spróbuję.

Marek zauważył, że Zuza była pogubiona. Miał z nią do tej pory do czynienia zaledwie dwa, może trzy razy, wcześniej długo ją obserwował. Sprawiała wrażenie osoby, która raczej się nie gubi, a jednak. Musi być mocno emocjonalnie związana z przyjaciółką, może nawet silniej, niż jest się związanym normalnie z przyjaciółką – przyszło mu teraz do głowy coś, o czym do tej pory nawet nie pomyślał.

Owszem, Zuza była mocniej związana emocjonalnie z Karoliną. Co więcej, było tak właściwie od zawsze, odkąd poznały się przed laty, jeszcze chodząc razem do praskich szkół. Czy Karolina o tym wiedziała? Mogła się domyślać, mogła przeczuwać, ale prawdopodobnie nigdy tego przesadnie nie analizowała, nie dopuszczała tego do głowy w sposób otwarty. Przeczuwała i wolała, by pozostało to w sferze przypuszczeń jedynie. Gdyby wyszło w pełni na jaw, ich przyjaźń, którą tak bardzo sobie ceniła, mogła stanąć pod znakiem zapytania. Miłość i przyjaźń nie są jednak dokładnie tymi samymi rodzajami relacji. To znaczy można kochać przyjaciółkę, ale przecież nie o taką miłość tutaj chodziło. Zuza też doskonale zdawała sobie sprawę z ustawienia, w jakim tkwiły, wiedziała, że jeśli zrobi jeszcze jeden, choćby bardzo niewielki krok w tę stronę, to może to przypłacić relacją, którą ceniła sobie tak bardzo. Krok w stronę miłości mógł jej odebrać to, co miała, czyli przyjaźń Karoliny i możliwość widywania jej, ile tylko chciała. Nie zmieniało to jednak faktu, że niezrobienie tego kroku przez te wszystkie lata nie było dla niej łatwe. Musiała być silna.

– Chyba go tam nie ma. – Aspirant Przybylski zadzwonił pół godziny później.

– Jak to go nie ma, jakie, kurwa, chyba? – Teraz Zuza zdenerwowała się już nie na żarty.

– Nie wiem, nie ma mnie tam. Patrol wszedł, walili do drzwi najpierw kwadrans, w końcu otworzyła jakaś lalka i powiedziała, że Zenek wyszedł wczoraj i go do tej pory nie ma – odpowiedział rozdrażniony już lekko Przybylski. – Ale dzida jest podobno porobiona, więc dlatego chyba...

– Dobra, jadę.

– Gdzie jedziesz? – zapytał zdziwiony aspirant.

– Tam jadę, a dokąd, kurwa, mam jechać?! – odskrzyknęła nieomal komisarz, zakończyła połączenie i rzuciła telefon na łóżko, w którym od tamtego wieczora ich wspólnej kolacji nie pojawił się Rafał.

Pod znanym jej doskonale adresem na Małej była trzy kwadransy później. Dochodziła już w tym momencie pierwsza w nocy, czyli godzina absolutnie niewłaściwa z punktu widzenia prawnych umocowań do policyjnej interwencji. Nawet z nakazem, oprócz sytuacji absolutnie wyjątkowych, gdy pojawiała się na przykład bezpośrednio zagrożenie życia, policja nie miała prawa zaburzać tak zwanego miru domowego między godziną dwudziestą drugą a szóstą rano. Teraz nie było ani uzasadnionego wprost zagrożenia życia, ani nakazu, a jednak Zuza stanęła przed drzwiami mieszkania Zenona i waliła w nie, jak nie przymierzając zomowcy w noc stanu wojennego. Tym razem obudzona już wcześniejszą wizytą patrolu tymczasowa konkubina Zenona otworzyła drzwi szybciej niż po upływie kwadransa. Zuza, nie mówiąc nawet słowa, z bronią w ręku odepchnęła ją na bok i weszła do mieszkania.

– Co jest, kurwa?! – wybełkotała za jej plecami kobieta.

– Gdzie on jest? – odpowiedziała pytaniem na pytanie Zuza, ale nie od razu, lecz dopiero mniej więcej po minucie, która zeszła jej na zwiedzaniu meliny.

– Kto? – Kobieta na oko między trzydziestym a sześćdziesiątym rokiem życia miała przekrwione oczy, spierzchnięte usta i twarz bardzo mocno napuchniętą

wodą chronicznie nieodprowadzaną przez zmęczone alkoholem nerki.

– Zenon. Gdzie jest Zenon?! – Zuza stanęła tak blisko, że wielotygodniowe alkoholowe wyziewy z ust kobiety omal nie zwały jej z nóg.

– A chuj go wie. Wyszedł.

Teraz dopiero Zuza zorientowała się, że stojąca przed nią kobieta, która prawdopodobnie przy nieco innym splocie okoliczności mogła być instagramową pięknoscią z kilkudziesięciotysięcznym tłumem męskich followersów, była właściwie naga.

– Dokąd wyszedł i kiedy, kiedy, kurwa, wyszedł? – Zuza cofnęła się o dwa kroki.

– Dzień albo dwa temu – odpowiedziała tamta i oblizała spierzchnięte wargi napuchniętym językiem, który ledwie mieścił jej się w ustach.

– Dzień albo dwa i dokąd? – nalegała Zuza.

– Nie wiem – odparła kobieta, a jej wyraz twarzy wskazywał, że nie tylko nie wie, dokąd poszedł Zenon, ale nawet za bardzo nie orientuje się, gdzie sama jest i dlaczego.

– Kurwa. – Zuza zareagowała w jedyny logiczny sposób, jaki przyszedł jej teraz do głowy.

Po czym wyszła z mieszkania na Małej, nie zamykając za sobą drzwi. Chwilę później już z samochodu połączyła się z Markiem.

– Nadal jej nie ma – powiedział od razu po odebraniu połączenia.

– Zenona też nie ma – odpowiedziała po dłuższej chwili i zrobiła to tak cicho, że ledwie ją dosłyszał.

– Jak to nie ma? Przecież tam miała być policja, przecież wy mieliście go obserwować? – Marek był zdenerwowany i ku własnemu zaskoczeniu był zdenerwowany naprawdę.

Jak bardzo człowiek potrafi rozkleić własną głowę na dwie poniekąd niezależnie od siebie funkcjonujące połowy. To on porwał Zenona, on uprowadził

Karolinę, a teraz nieomal zupełnie szczerze był wściekły na policję, że go nie dopilnowała.

– Zadzwońłam już do sieci komórkowej, oficjalnie mogę to zrobić dopiero rano, a tak naprawdę jeszcze później, bo muszę załatwić nakazy, ale mam tam człowieka, ma zadziałać szybciej. Do rana powinniśmy znać ostatecznie lokalizację jej numeru i jego też – wyjaśniła Zuza, która nie miała już nic więcej do powiedzenia, ale i tak nie kończyła rozmowy, bo bała się, że jak zostanie sama ze świadomością, iż nie dopilnowała bezpieczeństwa Karoliny, to nie da sobie z tym rady.

– Może poczekamy gdzieś razem. – Marek idealnie wyłapał jej potrzebę.

Generalnie odkąd pomieszało mu się w głowie, albo raczej odkąd jedno depresyjne pomieszanie przeszło w to inne, psychopatyczne, objawiła się w nim zdolność, której nigdy wcześniej nie posiadał. Potrafił mianowicie idealnie wyczuwać potrzeby ludzi – tak wyczuł Karolinę, tak wyczuwał Romana i swoich przełożonych, tak teraz wyczuł Zuzę.

Był ktoś, kogo nie wyczuwał, bo to on wyczuwał jego. Tego jednak Marek na razie nie wiedział.

– Podjadę do was, to znaczy do ciebie, może Karolina się objawi i będzie po wszystkim. – Zuza ucieszyła się na moment wymyślonym właśnie przez samą siebie życzeniowym scenariuszem.

– Dobrze, jestem, numer mieszkania pięćdziesiąt trzy. – Marek też podłapał jej mikroentuzjizm.

Zuza zjawiała się po kwadransie. Tyle zajęło jej dojechanie z Inżynierskiej. Kiedy była już pod klatką, oddzwonił do niej facet od telefonów. Na razie nie udało mu się ustalić nic na temat numeru Zenona. On był w innej sieci. Wprawdzie w ramach międzysieciowej umowy do takich numerów też mieli w razie czego dostęp, ale było to nieco bardziej skomplikowane. Karolina była w tej sieci.

– I? – dopytała Zuza zniecierpliwiona już trochę nieco długim wyjaśnieniem na temat tego, co interesowało ją znacznie mniej.

– I ostatnie logowanie tego naszego numeru mam przy Skierniewickiej, blisko skrzyżowania z Kasprzaka – wyjął w końcu.

– Pod jej pracą – powiedziała Zuza bardziej do siebie niż do niego.

– Co?

– Nic, nieważne. A potem już nie masz żadnego logowania, choćby na moment gdzieś? – zapytała z nadzieją.

– Nie mam. – Mężczyzna rozwiął tę nadzieję.

– O której to było? O której masz to ostatnie logowanie? – odezwała się po namyśle.

– O siedemnastej dwadzieścia trzy.

– Czyli wyszła z pracy i zniknęła.

– Albo po prostu jej się rozładował telefon.

– Ma nowy. Dopiero co kupiony, takie nie rozładowują się o siedemnastej.

– Chyba że nie naładujesz poprzedniej nocy – dywagował znajomy.

Zuza już go jednak nie słuchała, poprosiła jeszcze, żeby dał znać, gdy ustali, gdzie jest ten drugi numer, rozłączyła się i wcisnęła numer pięćdziesiąt trzy na domofonie.

Przez dłuższy czas siedzieli w milczeniu nad zaparzoną przez Marka kawą.

– Czyli co teraz? – odezwał się jako pierwszy.

Był przy tym naprawdę przekonująco roztrzęsiony.

– Teraz? Teraz najważniejsze, czy zlokalizują mi tego Zenona. Jeśli tak, to uderzamy od razu do niego, natychmiast, jak najszybciej... – Ostatnie słowa wypowiedziała, jakby obawiając się ich prawdziwego znaczenia.

– A jeśli on... nie wiem... nie znam się na tym za bardzo... ale jeśli on nie zabrał ze sobą telefonu na przykład? – zasugerował Marek.

– Zabrał na pewno, przeszukałam tę jego pieczarę, pytałam tę jego dzidę, on się nie rusza bez telefonu. – Zuza pokręciła głową. – Inna rzecz, że mógł być na tyle sprytny, żeby potem go wyłączyć, wyrzucić, gdzieś zostawić, nie wiem. A wtedy? Wtedy będziemy go szukali po staremu.

– Czyli?

– Czyli znajomi, rozpytania, tam jest sporo bandziorów. Prawie na każdego coś jest, tylko to potrwa, a czas... – Zuza nie dokończyła.

– Mogę jakoś pomóc?

– Raczej nie, w miarę możliwości bądź tutaj na razie, może ona się zjawi w końcu po prostu w domu. – Zuza urwała, po czym popatrzyła na niego chwilę, jakby ważyła, na ile może mu zaufać. – To się już zdarzało wcześniej, to znaczy takie zniknięcia. Ona ma trudną przeszłość, bywa, że do niej czasem niestety wraca.

– Przeszłość?

– Więcej ci nie powiem bez jej upoważnienia, to zbyt osobiste. W każdym razie zdarza jej się czasami pogubić z samą sobą – wyjaśniła i zamilkła.

– No dobra, wezmę dzień na żądanie z pracy, jak trzeba będzie, to pójdę na L4. Czasem wyjdę coś załatwić, ale będę siedział. – Marek przyjął powierzona mu funkcję.

– Idę. – Zuza zerknęła na zegarek. – Jest piąta. Muszę działać, zaraz się pobudzą moi decydenci.

Marek pokiwał głową z milczącym smutkiem.

23. PIECZARA

Karolina obudziła się kompletnie zdezorientowana i rozejrzała się wokoło. Przez chwilę wydawało jej się, że śpi nadal. Otoczenie było tak nierealne, że aż niemożliwe do przyjęcia przez jej percepcję.

– O, obudziła się księżniczka wreszcie – usłyszała gdzieś z boku męski głos.

– Co? – zapytała, próbując się jednocześnie podnieść z tego, na czym leżała.

Udało jej się, ale tylko częściowo, bo po sekundzie zorientowała się, że ręce i nogi ma spięte jakimiś stalowymi elementami, które pobrzękiwały przesuwanymi się łańcuchami.

– Co to, kurwa, jest?! – Podniosła się w końcu na tyle, że po drugiej stronie tego dziwnego, mrocznego i śmierdzącego wilgocią pomieszczenia dostrzegła cień kogoś drugiego.

– To ty mi, kurwa, powiedz lepiej – odezwał się cień.

Znała skądś ten głos.

– A kim pan jest? – zapytała kompletnie zdezorientowana.

– Zenon – wyjaśnił chrapliwy głos. – Nie poznajesz?

Teraz, kiedy lekko się obrócił, widziała już jego pociągłą, dawniej, a może nawet na swój sposób nadal interesującą twarz. Tak, znała ten głos i nie tylko zresztą głos. Znała też doskonale Zenona Marczaka. Gdy Zuza dała jej do obejrzenia materiał z jednego z przesłuchań, skłamała, że nigdy nie widziała tego człowieka, potem kłamstwo już tylko się ugruntowywało.

– Karolina – powiedział po chwili. – Dawno się nie widzieliśmy.

– Dlaczego mnie tu przetrzymujesz? – zapytała, zamiast wdawać się z nim we wspominki.

Mężczyzna uniósł tylko ręce, a ona usłyszała ten sam brzęk stali, który pojawił się, kiedy to ona próbowała się podnieść.

– Mówiłem tej kurwie policjantce, że ktoś mnie wrabia i że jak się skupi na mnie, to tamten nas wszystkich objedzie. I wygląda na to, że, kurwa, miałem rację.

– To moja przyjaciółka – powiedziała Karolina cicho.

– Chuj mnie to obchodzi, to ona mnie... nas tak urządziła. Ty mnie już nic nie obchodzisz, ale czemu ja w tym tkwię, jak w gównie po szyję? – Jego chrapliwy głos stał się nagle bardziej agresywny. – Jakiś chuj mnie tu skręcił, nawet nie wiem, gdzie jestem.

– Marek. – Karolina prawie wyszeptała.

– Co?

– Marek Pobludzki, jeśli tak się w ogóle w nazywa, mój sąsiad, a jesteśmy prawdopodobnie w wiejskim domu jego rodziny – wyjaśniła trochę głośniejszym głosem, żeby sama móc to usłyszeć i zrozumieć.

Zrozumieć jej się jednak przynajmniej na razie tego raczej nie udało.

– Długo tu jesteś? – zapytała po chwili, żeby rozbić dziwne milczenie, które zapanowało.

– O dwóch dni, a ty od wczoraj – odparł.

– Ale czemu on akurat nas oboje...? – Karolina próbowała zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi.

– Nie mam pojęcia. – Zenon wydawał się zagubiony.

– Barbara? – zasugerowała Karolina.

– Może, mam to gdzieś, nie widziałem jej co najmniej od dziesięciu lat. – Z tego, co widziała w tym półmroku, Zenon wzruszył ramionami. – Przyjaciółce policjantce nie powiedziałaś, kim jestem?

– Nie.

– Czemu? – Zenon zachichotał dziwnie, po czym odpowiedział sam sobie: – Głupio ci było.

– Może da się jakoś z tego wyjść. – Karolina rozejrzała się po obitym dechami wnętrzu, następnie spojrzała na swoje ręce skute kajdankami przyczepionymi do łańcucha.

– Nie bardzo. – Pokręcił głową i powiedział ciszej niż wcześniej: – Poza tym ten twój sąsiad chyba cały czas się na nas gapi. – Zenon wskazał na kamerę zainstalowaną pod sufitem. – A jak mu się coś nie spodoba, to wali po łańcuchu prądem. Niezły zjeb swoją drogą. Tylko powiedzmy, że rozumiem jeszcze, czemu ty tu trafiłaś, ale ja?

– Zuza, policjantka, będzie myślała, że mnie porwałś i ukryłeś się gdzieś razem ze mną – skonstatowała ze smutkiem. – Przynajmniej przez jakiś czas, potem może dojdzie głębiej i zmieni zdanie, oby nie za późno. Pić mi się chce.

– Gdybyś była z nią bardziej szczerą, nie musiałyby tak dużo dochodzić. A wodę masz pod pryczą, kilka butelek. Jest też coś do jedzenia. Za kotarą jest wiadro, czyli kibel.

– A gdybyśmy krzyczeli? – zaproponowała.

– Już próbowałem, poraził mnie prądem. Myślę, że i tak nas nie usłyszą, przygotował się skurwiel – stwierdził Zenon. – Skąd ty go wytrzasnęłaś?

– To on mnie wytrzasnął, a skąd, nie mam pojęcia.

– I co będzie dalej? W sensie kim on w ogóle w tym wszystkim jest i co ma na bani? – Zenon uznał chyba, że to ona jest lepszą specjalistką w wąskiej dziedzinie pod nazwą psychopata Marek Pobludzki.

– Nie wiem, ale zgaduję, że niedługo się dowiemy – skonstatowała smutno i sięgnęła po butelkę wody.

Marka znów bolała głowa i dopiero napój z bidonu pomógł poluzować obręcz zaciskającą się wokół skroni. Od rana nie ruszał się z domu, rzeczywiście zadzwonił do ministerstwa i poprosił o dzień urlopu na żądanie, usprawiedliwiając to tym, że nie czuje się najlepiej. Generalnie w przypadku dnia na żądanie nic

w ogóle nie musiał tłumaczyć, ale szczególnie teraz starał się być miły dla wszystkich.

Wykręcił też do Romana, by dać mu znać, że go nie będzie, na wypadek gdyby i on chciał sobie zrobić dziś jeden z wielu swoich dni na żądanie. Z dniem wolnego w przypadku Marka kadrowa nie miała żadnego problemu, bo o ile jeszcze pół roku wcześniej był właściwie na permanentnym zwolnieniu, o tyle ostatnio właściwie nie zdarzało mu się nawalać. Zauważyła to zresztą nie tylko ona, ale też jego bezpośredni przełożeni i notowania Pobłudzkiego w firmie wolno, lecz sukcesywnie zaczęły iść w górę.

Zuza zatelefonowała mniej więcej po godzinie. Marek odebrał od razu, powiedział jej, że Karolina niestety się nie zjawiała, a on mimo iż nie doszły go żadne dźwięki z klatki, to i tak na wszelki wypadek parę razy chodził sprawdzać. Wcześniej za zgodą, a nawet zachętą Zuzy oboje weszli do mieszkania Karoliny, korzystając z kluczy, które kobieta powierzyła Markowi, ale których wcześniej nie miał śmiałości użyć.

Po skończonej rozmowie ubrał się natychmiast i zostawiając telefon w mieszkaniu, wyszedł z niego i wsiadł do samochodu. Kilka ulic dalej w strefie, gdzie nie było monitoringu, przesiadł się do drugiego samochodu i pojechał nim w stronę Bogatek. O tej porze nie było korków, a on dodatkowo miał ze sobą inny telefon, na kartę kupioną w dark webie. Na niego dostawał powiadomienia o połączeniach na ten, który zostawił w domu. Zdecydował, że gdyby Zuza zaczęła dzwonić jakoś bardziej natarczywie, to wycofałby się ze swojego planu i wrócił do domu, żeby odebrać. Nikt jednak szczęśliwie do niego nie dzwonił oprócz Julii, ale to nie miało większego znaczenia.

W tym samym czasie Zuza próbowała w skupieniu wymyślić jakąkolwiek figurę logiczną, która pomogłaby jej odszukać Zenona i w efekcie porwaną przez niego Karolinę. Pierwsze, co zrobiła, to wróciła do mieszkania Marczaka i tam przycisnęła jego konkubinę.

– Chcesz mieć problemy? – zapytała ją wprost, kiedy już dostała się ponownie, tym razem bardziej siłowo, do mieszkania Romana.

– Jakie problemy? – Skacowana blondi uśmiechnęła się krzywo.

– W mieszkaniu znaleźliśmy narkotyki, lewe dowody rejestracyjne, broń. Mało?

– To nie moje, chuja wiem, skąd to się wzięło – odszczeknęła się tamta.

– Przypomnij mi, jak ci na imię? – zapytała nagle polubownie Zuza.

– Po chuj ci to wiedzieć. – Blondzia była nieprzejednana.

– No więc droga „po chuj ci to”, jesteśmy w gościnie w twoim mieszkaniu, to ty, a nie on jesteś tu zameldowana, więc w tym momencie on mnie w ogóle nie interesuje, a te fanty należą do ciebie. Rozumiesz mnie? – Zuza skłamała, ponieważ tak naprawdę to, kto był tu zameldowany, niczego jeszcze nie dowodziło, ale blef zdaje się zadziałał, bo kobieta na chwilę zmilknęła, a jej dziarska mina trochę zrzędnęła.

– Sylwia.

– Okej, Sylwio. – Zuza się uśmiechnęła. – To gdzie mogę go znaleźć?

– Nie wiem, on mi nie mówi, dokąd łązi. – Sylwia, choć teraz już chciała być pomocna, zadziorność miała tak bardzo we krwi, że znów odpowiedziała trochę na odczepnego.

Ktoś inny mógłby się tym wkurzyć, Zuza miała do tego trochę inny stosunek. Ona też była dość zadziorna, bo podobnie jak Sylwia przez wiele lat jedynie zadziornością mogła ocalić choćby odrobinę własnej godności.

– Koledzy, adresy, dziuple, meliny, może jakiś dom na działce czy coś? – zaproponowała spokojnie.

– No, jakieś adresy mogę dać – odrzekła Sylwia po chwili.

Zuza zapisała adresy, a w kilku przypadkach bardziej opisy topograficzne i ruszyła w dalszą drogę. Część miejsc chciała sprawdzić sama, ale głównie liczył się czas, więc w inne posłała patrole. Ona miała zresztą do sprawdzenia jeszcze jedno miejsce, o którym Sylwia wiedzieć nie mogła.

24. WIZYTA

Zdyszany Marek dotarł do obejścia pół godziny później. Tym razem jechał nieco szybciej, kilkakrotnie przekraczając nawet dość znacznie dozwoloną prędkość. Widział, że ryzykuje, bo gdyby drogówka zatrzymała go w tym momencie w miejscu tak odległym od domu, to potem, jeśli Zuzie przyszłoby kiedykolwiek do głowy wrzucić go na bęben, byłby ugotowany. Nie miał jednak wyjścia. Teoretycznie właściwie przez cały czas z pomocą monitoringu miał wgląd w to, co działo się w pieczarze pod stodołą, ale mimo to ciągnęło go tam, żeby spotkać się z Karoliną w tych nowych, jakże odmiennych okolicznościach.

Teraz, gdy już wchodził, rozejrzawszy się uprzednio czujnie wokoło, do stodoły, na ekscytację i ciekawość nałożyło się jednak też uczucie dziwnego lęku. Nie miał co obawiać się Karoliny ani Zenona. Oboje byli pod jego pełną kontrolą, ale konfrontacja z tak bardzo zawiedzionym zaufaniem, z poczuciem tak ogromnej krzywdy nie była łatwa. Wali mnie to – pomyślał Marek, a następnie odgarnął słomę z włazu, otworzył go ze skrzypnięciem i zszedł po drewnianych schodkach w mrok pieczary.

– Dzień dobry – powiedział z uśmiechem, kiedy tylko znalazł się w pomieszczeniu, gdzie przykuci do prycz siedzieli Zenon i Karolina.

– Zabiję cię, chuju – odezwał się jako pierwszy Zenon.

– Nie będzie łatwo, ale nigdy nie mów nigdy. – Marek, choć odpowiadał jemu, patrzył cały czas na nią.

Karolina milczała i wpatrywała się w ścianę za plecami Zenona.

Tego nie przewidział. Spodziewał się jakiegoś protestu, awantury, wyrzutów, hysterii, krzyków może, ale nie milczenia i traktowania go jak powietrze.

– Dzień dobry, Karolino. – Podszedł do niej na tyle blisko, że przysłonił jej sobą cały widok.

Ona zamknęła oczy. Ciekawe, co teraz myśli – zastanowił się Marek. Nie miał jednak za bardzo czasu na dociekanie, więc postawił tylko pod jej pryczą przywiezioną wodę i kanapki, które kupił za gotówkę w jednym z mijanych sklepów.

– Wiem, że nigdy tego nie zrozumiesz, ale musiałem – powiedział jeszcze na odchodne, nie patrząc już na nią.

– Zastanawiam się, chuju, jaki masz dalej plan – usłyszał jeszcze za plecami głos Zenona. – Będziesz nas tu trzymał do końca świata, czy nas odpierdolisz? W obu przypadkach w końcu cię przypalą za to. Psy aż takie głupie nie są.

Ostatni punkt logowania telefonu Zenona był pod wiaduktem mostu Trasy Toruńskiej. Dziwne dość miejsce na to, żeby zniknąć z radarów sieci. Dziwne też jak na miejsce, w którym miałyby się znaleźć z Karoliną. Teraz, kiedy Zuza stała już mniej więcej dokładnie tam, gdzie znajdowała się pinezka wysłana jej przez znajomego z telefonii, miejsce to wydało jej się zresztą jeszcze dziwniejsze. Tak naprawdę nie było tu nic oprócz dwóch interesujących rzeczy. Śladów opon i czegoś jeszcze.

– Halo... Sylwia? – Zuza stała z telefonem w ręku i wpatrywała się w barwę przepływającą pod mostem.

– No.

– Zenon pali? – zapytała krótko.

– Vape'y – odpowiedź była jeszcze krótsza.

– Normalnych nigdy? – upewniła się komisarz.

– Nigdy, od normalnych kaszel go łapie.

– Dzięki. – Zuza zakończyła rozmowę i pochyliła się nad drugą rzeczą, która leżała przy śladach opon mniej więcej w miejscu, w którym mogły być drzwi od auta, po czym dodała już sama do siebie: – Wspólnik esteta, który nie jara w aucie?

Wyciągnęła z kieszeni torebkę na dowody. Następnie za pomocą długopisu wepchnęła kiepa do torebki wraz z odrobiną piasku, na którym leżał. Marlboro light. Ktoś palił takie papierosy. W sumie to nie tyle ktoś, co raczej niestety paliła je połowa z jej nikotynozależnych znajomych. Potem Zuza znów wyjęła telefon i połączyła się z pełniącym dziś dyżur na komendzie kryminalistyką.

– Mietek?

– No?

– Weź zabawki i podjedź pod wiadukt mostu Trasy Toruńskiej.

– A co tam?

– Tam mam ostatni trop porywacza kobiety. Opony są, kiepa mam, ale to już sama zebrałam, może mi coś jeszcze znajdziesz.

Trzy godziny później Zuza spotkała się ze wszystkimi operacyjnymi, którzy sprawdzali dla niej adresy podane przez konkubinę Zenona. Niestety wbrew jej oczekiwaniom nie tylko nikt nie podał żadnej informacji na temat ewentualnego miejsca, do którego mógł się udać Zenon, ale – co gorsza – podobno wszyscy odpytani sprawiali wrażenie skorych do współpracy i nie wyglądało na to, że ktoś coś próbował zataić. Ogólnie tak zwane środowisko było, zdaje się, zmęczone Zenonem i jego wyskokami, więc nikt nie miał specjalnej ochoty go kryć. Innymi słowy, gdyby wiedzieli, raczej by powiedzieli. Takie było wrażenie, choć Zuza od dawna już nauczyła się, że wrażenie, choć ważne, często bywa mylne. Zwłaszcza kiedy dotyczy kryminalistów żyjących z mylenia tropów.

– Kto go wykupił wtedy z aresztu? – zapytała nagle obecnego też na naradzie prokuratora Antczaka.

– Mecenas Miller z kancelarii Pietraszak i wspólnicy. – Odpowiedź przyszła od razu.

– Wiemy może, z kim z półświatka współpracuje ta kancelaria? – Zuza rzuciła w powietrze.

– Z młodym Pruszkowem, Pałak *et consortes* – odrzekł Antczak bez namysłu.

25. MAFIA

Godzinę później Zuza weszła do pubu w pobliżu skrzyżowania Jana Pawła II i Nowolipek. Z komendy miała tu dwa kroki. Najpierw musiała jednak poczekać, aż dojedzie wydzwoniony przez jednego z jej kolegów reprezentant tych, którzy wynajmowali kancelarię i poręczyli za Zenona, gdy wychodził z aresztu poprzednim razem, czyli ludzie niejakiego Pałaka.

– Pan Arkadiusz? – Zuza podeszła do jedyne go stolika, przy którym o tej porze ktokolwiek siedział.

– Arek, po prostu Arek. – Mężczyzna wstał i szarmancko odsunął krzesło, zapraszając ją tym samym, by usiadła.

– Wie pan, w jakiej sprawie chciałam się z panem... z państwem spotkać. – Zuza popatrzyła mu w oczy z formalnym uśmiechem, który był jej zdecydowanie nie w smak, bo paktowanie z bandytami, a nawet rozmowy z nimi nigdy nie były jej ulubionym zajęciem.

– Tak, coś kolega wspominał, wie pani, że zawsze jesteśmy skorzy do pomocy. – Teraz uśmiechnął się także on, choć w jego przypadku uśmiech był raczej ironiczny.

– Zawsze mi nie potrzeba, ale teraz mamy sytuację wyjątkową, wasz człowiek porwał kobietę... – zaczęła Zuza.

– Porwał pani przyjaciółkę, tak, wiemy o tym, pani komisarz – wciął się Arek. – Tyle że to nie jest nasz człowiek.

– Może się źle wyraziłam, wasz współpracownik.

– Nawet i to nie. Powiedzmy, że ktoś, kto pozostaje wobec nas zobowiązany. Teraz już podwójnie zobowiązany. Zależy nam jednak, aby jego osoba nie była łączona z nami. Powiem więcej... – Mężczyzna zamilkł na chwilę, jakby szukał odpowiednich słów.

Zuza pomyślała, że nie jest dobrze, jeśli bandyci stają się już tak elokwentni i wygadani, ale zaraz przyszło jej do głowy, że może w sumie czemu nie, może kultura łagodzi obyczaje.

– Wydaje mi się, że łączy nas wspólnota celów. Oczywiście na razie przynajmniej jedynie w tej sprawie – wysłowił się w końcu pan Arek, po czym dodał jeszcze: – My też go szukamy. Nie wiem, jaki miał powód, żeby porwać pani przyjaciółkę, ale wiem, że niewątpliwie miał powód, żeby schować się przed nami.

Zuza przez jakiś czas mu się przyglądała. Co ten gość chowa w swojej dobrze przyszyżonej łepetynie pod słowami „przynajmniej na razie”? Czyżby ten wał umyślił sobie, że „kiedyś później” namówi ją do jakiejś szerszej zakrojonej współpracy?

– Zawsze będzie już tylko na razie, nie będzie żadnego potem – skwitowała jego sugestię, a następnie zasugerowała wyjaśnienie poprzedniej zagwozдки: – Jest wam winien hajs.

– Ale po co od razu się denerwować? – Uśmiechnął się znów tamten, a po chwili nieco teatralnego wahania kontynuował: – Nie tylko hajs. Tyle że to trochę głupie z jego strony zachowanie, bo teraz już choćby nie wiem co, jak się znajdzie, to...

Arek nie dokończył, ale nie musiał, Zuza zrozumiała i tak wystarczająco dobrze. Jak się znajdzie i nie będzie miał dość szczęścia, żeby to ona znalazła go pierwsza, to jest już po nim. Zresztą nawet jeśli ona znajdzie go pierwsza i osadzi w areszcie, to tam też go pewnie dopadną.

– To po co zniknął? – zapytała, dedukując logicznie.

– Może pani mi powie? – odpowiedział pytaniem Arek, wzruszając ramionami, po czym dodał na domknięcie miłej wymiany zdań: – Ale jeśli go znajdziemy, to

oczywiście pani przyjaciółce nic nie będzie grozić.

– Jakies to niespójne z jego strony, a ja bardzo nie lubię niespójności – rzuciła nieco refleksyjnie Zuza, która myślała wciąż o „trochę głupim zachowaniu” Zenona.

– Może dlatego jest pani policjantką, a nie z Zenonem. – Uśmiechnął się inteligent z mafii i dodał: – Oni nie są spójni, czasem miesza im się w głowach od wódki, czasem od czegoś innego. W każdym razie jak się czegoś dowiemy, damy znać.

Kim byli „oni” w nomenklaturze Arkadiusza, czy przypadkiem on sam do owych onych, o których mówił z takim dystansem, się nie zaliczał? Tego Zuza nie wiedziała, ale może też nie musiała rozgryzać go tak do końca.

– A kto wtedy podrzucił Millerowi te informacje, które pomogły mu wyciągnąć Zenona z aresztu? – spytała na zakończenie.

– Tego nie wiem, może mecenas pani pomoże. W każdym razie informacje nie wyszły od nas. – Mężczyzna ponownie się uśmiechnął.

Zuza pokiwała głową. Nie bardzo mu wierzyła, ale z drugiej strony po co miałby ją okłamywać akurat w tej sprawie? Bo wtedy poprosiłaby o źródło tych informacji? Wystarczyłoby przecież, żeby ich nie ujawnił. Coś było w tym wszystkim dziwnego. Jeśli nie oni wyciągnęli go z aresztu za drugim razem, to kto?

– To tyle – skwitowała tę męczącą rozmowę.

Nie podobał jej się ten goguś, którego tak zwana grupa przestępcza wytypowała jako swoistego rzecznika prasowego czy osobę do kontaktów specjalnych, jednoosobową agencję PR bandytów od Pałaka.

Co więcej mogę jeszcze teraz zrobić? – zastanawiała się, siedząc przy stoliku po tym, jak Arkadiusz się oddalił. Wyciągnęła telefon i wystukała najpierw numer Karoliny, a chwilę po tym, jak pani z sieci wypowiedziała swój automatyczny komunikat, zadzwoniła też do Marka.

Marek usłyszał dźwięk dzwonka w momencie, gdy otwierał drzwi od mieszkania, więc wszedł szybkim krokiem i po rzuceniu okiem na wyświetlacz odebrał od razu.

– Hej, byłem właśnie znowu pod jej mieszkaniem – rzucił.

– I? – zapytała bez większej nadziei, bo gdyby coś się zmieniło, od tego by zaczęła.

– I nic, niestety. A tobie udało się coś ustalić?

– Niewiele – odparła po krótkiej pauzie. – Zenon zniknął jak kamień w wodę. Nikt nic nie widział, nikt nic nie wie. Ostatnie logowanie jego telefonu było pod mostem Trasy Toruńskiej.

– Byłaś pod tym mostem? – zainteresował się Marek.

– Byłam. Są jakieś drobne ślady, ale nie sądzę, żeby dały rozwiązanie.

Przez moment oboje milczeli, zbierając myśli.

– No dobrze, ja szukam dalej, a gdyby coś się wydarzyło u ciebie...

– Dam znać od razu – wszedł jej w słowo Marek, po czym dodał nagle z zapalczywością: – A może te dwie rzeczy, te dwa zniknięcia nie są jednak powiązane, może poszła gdzieś... Mówiłaś, że czasem tak robi, a ten bandzior mógł gdzieś zapić albo coś i wkrótce wylezie z jakiejś dziury.

– Raczej nie wylezie, mafia go szuka, jest im winien pieniądze, a może też jakąś usługę, nie wnिकam. Jak już zniknął, to kiedy tylko się objawi, jest po nim – wyjaśniła. – A co do tego, że to niepowiązane... Jasne, może tak być, ale ja pracuję w policji, a tutaj raczej nie zwałamy rzeczy na przypadkowe zbiegi okoliczności. Daleko byśmy nie zajechali.

– Wiem, masz rację. – Marek zgodził się, ale już bez wcześniejszego entuzjazmu, a po chwili zapytał jeszcze z bezradnością w głosie: – No to co teraz?

– Teraz muszę się zastanowić. Wyciągnę go w końcu, choćby spod ziemi. – To ostatnie zabrzmiało cokolwiek złowieszczo, bo jeśli Zenon jest pod ziemią, gdzie zresztą był, ale tego Zuza wiedzieć nie mogła, to gdzie miałyby być Karolina? Komisarz zreflektowała się więc i dodała: – Zewsząd go wyciągnę.

– Jutro może jeszcze nie pójde do pracy – zaproponował. – Będę tu siedział, a nuż...

– Nie, idź do pracy. Jak dotrze do domu, to przecież i tak się odezwie od razu.

26. OCZEKIWANIE

Tak było mu oczywiście bardziej na rękę. Z pracy mógł robić wypadki do Bogatek, zostawiając telefon w szufladzie biurka. W robocie mógł nie odbierać, gdyby do niego zadzwoniła, miał przecież w końcu różne spotkania i narady. Nieodbieranie w domu było znacznie bardziej podejrzane. Poza tym praca to zawsze dobre alibi, a że była na tyle dziwna, że tak naprawdę czasem po kilka dni z rzędu nie musiał nigdzie chodzić i z nikim się spotykać, to podbijanie karty na wejściu, a potem wymykanie się tylnym wyjściem załatwiało sprawę.

Kolejnego dnia, żeby jeszcze wzmocnić owo alibi, gdy tylko znalazł się już w ministerstwie, zrobił najpierw rundkę po różnych gabinetach, szukając jakichś dokumentów, które zresztą rzeczywiście były mu potrzebne, ale w normalnym trybie raczej poczekałby, aż same kiedyś w końcu siłą urzędowej inercji do niego przydryfują.

– O, dawno pana nie widziałam – ucieszyła się sekretarka ministra, kiedy spotkali się na korytarzu. – Tu się tak rzadko niektórych spotyka.

– Jak to, na opłatku wigilijnym jestem zawsze – odpowiedział żartobliwie. – A co u pani, pani Krystyno. Jak córka? Wyjechała w końcu do tego Londynu?

– Oj, już wróciła nawet. – Pani Krystyna zaśmiała się, po czym oddalając się już z czajnikiem w kierunku łazienki, dodała z uśmiechem: – I o tym właśnie mówię. Ostatnia rozmowa, dwa lata temu?

Co teraz? Marek bardziej bawił się wyobrażeniem przyszłości, niż zastanawiał, jadąc znów w stronę Bogatek. Teraz jeszcze nic. Przez dwa kolejne tygodnie

zamierzał napawać się ich strachem i upokorzeniem, przyglądając się im albo bezpośrednio twarzą w twarz, albo jak patyczakom, które kiedyś hodował w akwarium, obserwując ich przez monitoring. A za dwa tygodnie? Za dwa tygodnie zaczniesz sobie dozować to, na co czeka z największą niecierpliwością, ale też i podszytą pewną obawą ciekawością. To, czyli mord. Ale czemu akurat za dwa tygodnie? Tak sobie umyślił, zupełnie przypadkowo określił dwie konkretne daty, a nawet godziny ich śmierci, a ponieważ jako psychopata był niewolnikiem precyzji i ustaleń, to teraz nawet przez myśl mu nie przeszło, by cokolwiek w tym planie modyfikować.

Na pierwszy ogień pójdzie Zenon. On i tak trochę zawadza. Ciekawiło go wprawdzie, jak rozwinięta znajomość, która zrodziła się w tak szczególnych okolicznościach. Znajomość nietypowa, bo bezpośrednia, nie internetowa, nie wirtualna, byli w końcu w tym samym pomieszczeniu oddaleni od siebie zaledwie o kilka metrów, a jednak właśnie owo kilka metrów było dla nich granicą nieprzekraczalną. Zresztą nie mógłby dopuścić do jej przekroczenia, bo pomimo swojego zdecydowanie naukowego podejścia do sprawy miał też przecież do niej stosunek w jakimś sensie osobisty. Gdyby wiedzeni tym przerażającym lękiem, który musiał ich dręczyć, na przykład zdecydowali się skonsumować relację, byłby bardzo zły i przed zabiciem Zenona na przykład połamałby mu nogi. W pewnym momencie, przyglądając się im i próbując słuchać treści ich rozmów, odniósł wrażenie, że ta dwójka zna się już z wcześniejszych czasów. To jednak wydało mu się raczej niedorzeczne i niemożliwe, więc szybko przestał się nad tym zastanawiać. Z tego, co udawało mu się usłyszeć z pomocą nie najlepiej zbierających dźwięk mikrofonów, byli już na ty, ale z drugiej strony czy ktoś by nie był w takiej sytuacji.

Kiedy siedział jeszcze w pracy, znów zadzwoniła do niego Julka. O ile wcześniej nie zamierzał więcej się z nią spotykać, o tyle teraz rozemocjonowany wyobrażeniem tego, co będzie się działo już za kilkanaście dni, podniecony dodatkowo widokiem Karoliny i jej totalnego zagubienia, zdecydował, że może

jednak Julia da mu odrobinę ulgi, pomoże rozładować przynajmniej część tego napięcia, które choć wspaniałe, wyczerpywało go ponad miarę.

Ale najpierw postanowił podkręcić sobie jeszcze temperaturę, a dopiero wieczorem, po wizycie u swoich gości, jak ich chwilami nazywał, umówił się z Julią w starym mieszkaniu.

Kiedy Marek jechał do Bogatek, napawając się swoją ekscytacją, Zuza dzwoniła do niego, żeby opowiedzieć mu o tym, że była dziś u Karoliny w pracy i od jednej z jej współpracowniczek dowiedziała się, że ta widziała z okien biura, jak przyjaciółka wsiadała do jakiegoś cudzego samochodu. Nie wyglądała przy tym na specjalnie zdenerwowaną, a wsiadanie nie sprawiało wrażenia wymuszonego. Inna rzecz, że z odległości kilkudziesięciu metrów koleżanka Karoliny nie widziała jej twarzy, więc ową niewymuszoność wywiodła jedynie ze swobodnej, jak jej się wydawało, motoryki ciała. Słowem, może wsiadała, bo chciała, a może ktoś na przykład mierzył do niej w tym momencie z broni. Tego wszystkiego jednak Zuza nie przekazała Markowi, bowiem on pozostawił wyciszony telefon w szufladzie biurka w swoim gabinecie. Zuza ponowiła próbę jeszcze kilka razy, a gdy nie przyniosło to spodziewanego efektu, wiedzioną przecuciem zadzwoniła do swojego kolegi z sieci, żeby namierzył jej także i ten numer. Miała przy tym pewne wyrzuty sumienia, gdyż zasadniczo ufała Markowi, dzielił z nią w końcu ogrom troski o los Karoliny i głupio było jej go o cokolwiek podejrzewać.

Z drugiej strony była policjantką, która wiedziała między innymi to, że w sześćdziesięciu trzech procentach przypadków za krzywdą ludzi stoją niestety ich najbliżsi. Marek nie zaliczał się jeszcze wprawdzie do tej kategorii. Jego znajomość z Karoliną zawiązała się w końcu dopiero co, ale podręcznik mówił, że sprawdzić należało. Znajomy namierzył telefon dość szybko i zanim jeszcze Marek do niej oddzwonił, Zuza była już zupełnie spokojna, ponieważ aparat, a więc też i jego właściciel byli przez cały czas w budynku pałacu Potockich przy Krakowskim Przedmieściu 15. Słowem: Marek był w ministerstwie, czyli w pracy.

– Co z nami zrobisz? – W tym samym czasie, gdy Zuza sprawdzała jego telefon, Karolina po raz pierwszy, odkąd się tu znalazła, zadała mu pytanie.

– Zobaczycie – uśmiechnął się szeroko.

– Jesteś pojebem. – Zenon nie po raz pierwszy poczynił tę dość oczywistą konstatację.

– Nie czuję się tak. Co więcej, dopiero teraz się tak nie czuję – oznajmił Marek po tym, jak usiadł na stołku pod tą ścianą pieczary, która pozostawała poza ich zasięgiem. Po chwili dodał: – Kiedy wszyscy postrzegali mnie jako normalnego, kiedy robiłem te wszystkie normalne, gównie warte rzeczy, wtedy czułem się jak pojeb.

– Wyzwoliłeś się? – zapytała Karolina trochę z sarkazmem, a trochę jednak też z niedowierzaniem.

Coś jej w tym wszystkim nie pasowało. Owszem, Marek sprawiał w tym momencie wrażenie psychopaty, ale czy rzeczywiście nim był? Może to tylko myślenie życzeniowe, przemknęło jej przez głowę. W końcu spała z tym człowiekiem, więcej nawet – zaufała mu jak mało komu w życiu. W każdym razie czuła, że nie ma co zaogniać sytuacji, że może właśnie należy wziąć go pod włos, powoli zmiękczyć jego zamiary, udobruchać zło, które go trapiło. Co ciekawe, nie przychodziło jej to zresztą z wielkim trudem i choć za nic nie potrafiła tego pojąć, to ten facet wciąż jeszcze nie wzbudzał w niej obrzydzenia.

– Można tak powiedzieć, albo może po prostu doszedłem na swojej drodze do miejsca, w którym nie muszę się już cały czas piąć w górę – odparł filozoficznie.

– A nie mogłeś przy okazji nie zostawać chujem? – Zenon ponownie włączył się do rozmowy.

– Wychodzi na to, że nie mogłem. – Marek się zaśmiał. W jego śmiechu było coś, co przeraziło nie tylko Karolinę, ale nawet Marcza.

– To co z nami zrobisz? – wróciła do tematu Karolina.

– A po co to wiedzieć? – spytał refleksyjnie.

– Można coś zaplanować – odezwał się Zenon.

– Nie planuj. – Marek popatrzył na niego i uśmiechnął się znów. Z uśmiechu zionęło chłodem.

– Zajebię cię, to akurat mogę planować.

– Możesz, tylko po pierwsze się powtarzasz, a po drugie łatwiej by ci było polecieć stąd na Marsa, niż zrealizować ten plan. I wiesz o tym doskonale. – Pobludzki zerknął na Zenona bez jakiegokolwiek emocji. – Ty w ogóle nie jesteś mi do niczego potrzebny. Jesteś tu, bo jesteś moim alibi.

– Tego się domyśliłem. Ale chyba jednak nie tylko dlatego.

– Rzecz w tym, że dwa metry pod ziemią będziesz równie dobrym alibi. A co masz na myśli, mówiąc, że nie tylko dlatego?

– To już ty powinieneś chyba wiedzieć najlepiej. – Zenon spojrzał wyjątkowo jak na niego przenikliwie. – A tego alibi nie starczy ci na długo.

– Na wystarczająco długo.

– To czemu jeszcze mnie nie zabiłeś? – Zenon znów przeszedł do atakującej prowokacji.

– Sam nie wiem. Może podoba mi się to, że musisz na to czekać – zamyślił się Pobludzki. – Zawsze takie czekanie na wykonanie wyroku fascynowało mnie najbardziej. Co człowiek wtedy czuje?

– Chcesz o tym porozmawiać, zjebie? – Zenon tracił powoli kontrolę.

– Nie i nie turbuj się tak.

– Bo co? Bo mnie zabijesz?

– Później tak, a na razie... – Marek włączył aplikację w telefonie. To nią właśnie, czyli zwykłą aplikacją do włączania żarówek w mieszkaniu, raził swoich gości prądem.

Podszedł do Zenona, przysiadł obok, ale w odległości bezpiecznej na tyle, by tamten nie mógł go dosięgnąć i zarzucić mu na przykład łańcuch od kajdanek na szyję, po czym włączył aplikację i pokazał mu ją. Były tam ikonki, a na nich symboliczne lampy, telewizor, terma, światło na klatce schodowej.

– Jak myślisz, którym obrazkiem jesteś?

– Chuj mnie to obchodzi. – Zenon szarpnął się lekko, ale nie na tyle, żeby z automatu uruchomić wyładowanie elektryczne.

Marek zrobił to za niego, dotykając delikatnie ikony telewizora. Pół sekundy wcześniej wstał jednak z pryczy, na wypadek gdyby miało pójść przebicie. Ciałem Zenona szarpnęły spazmy i skurcze. Wygięło go do tyłu tak mocno, że wyglądało, iż za chwilę kręgosłup strzeli mu w połowie.

– Wyłącz to! – Marek usłyszał za sobą krzyk Karoliny.

Wtedy wcisnął ikonę telewizora po raz drugi. Bezwładne ciało Zenona opadło na pryczę.

– Zabiłeś go! – Karolina była przerażona.

– Nie sądzę. Gdyby miał rozrusznik, to może, ale nie ma. Sprawdziłem jego kartę medyczną. – Marek uśmiechnął się leniwie. – To jest dość niemile, gdybym pociągnął powyżej trzydziestu sekund, może zabić, ale tak przez moment na pewno nie. Jak się obudzi, to doradź mu, żeby na przyszłość był grzeczniejszy.

Marek wstał i ruszył w kierunku wyjścia do drugiego pomieszczenia. Wiedział, że za długo nie może tu być. Po pierwsze, nawet w jego ministerstwie mogli w końcu zauważyć, że go nie ma, mimo iż teoretycznie jest, a po drugie, musiał się meldować Zuzie.

– Coś potrzeba? Do jedzenia, higieny? – Odwrócił się, stojąc już przy drzwiach. Karolina nic nie odpowiedziała.

– Jak jutro przyjadę, to zrobimy mycie. Dziś jeszcze tylko zęby. – Uśmiechnął się nagle ciepło, po czym dodał, sam nie rozumiejąc dlaczego: – Przepraszam.

– Nie przepraszaj, tylko nas stąd wypuść – powiedziała stanowczo, choć w jego ciepłym tonie było coś, co zadziało na nią bardzo dziwnie.

Ona też nie rozumiała dlaczego.

– Nie mogę. A jeśli chodzi o niego, to długo by go trzeba trzepać prądem, żeby odpokutował za to, co robił różnym kobietom i nie tylko – rzekł, wskazując na wciąż leżącego na pryczy i charczącego Zenona.

27. TROP

Godzinę później był z powrotem w pracy. Kiedy zobaczył cztery połączenia od Zuzy, zdenerwował się lekko.

– Cześć, nie mogłem, spotkanie mieliśmy – zaczął od razu po tym, jak odebrała. – Coś się stało?

– Trochę... Koleżanka, a właściwie dziewczyna z firmy sąsiadującej z firmą Karoliny widziała ją, jak wsiadała do jakiegoś obcego samochodu – zaczęła Zuza.

– Genialnie, wiecie jaki to samochód? Są numery? – wciął się mocno przestraszony Pobludzki.

– Chyba subaru, ale pewny jest głównie kolor. Numerów nie mamy, lecz sprawdzam już monitoringi, może gdzieś mnie zaprowadzą, może będą numery. – Zuza była naprawdę podekscytowana. – Myślę, że za kilka godzin coś już ustalę, dam ci znać.

– Dobra, ja jadę prosto do domu, będę tam siedział. – Marek starał się być jak najbardziej nieporadnie pomocny.

Po wyjściu z pracy myślał tylko o jednym. Jak najszybciej powinien pozbyć się subaru, którego użył wprawdzie tylko wtedy, ale i tak było tym, co mogło ich do niego doprowadzić. Chwilę później podjechał swoim oficjalnym samochodem na uliczkę, na której zaparkował tamto auto. Wysiadł, rozejrzał się i kiedy był pewien, że nikt go nie obserwuje, podszedł i wymienił w nim blachy. Te, które założył teraz, były oficjalne, więc nawet gdyby sprawdzili, to wszystko było, jak należy. Samochód kupił na lewy dowód od jakiegoś potrzebującego pijusa kilka miesięcy

wcześniej. Nawet jeśli dotarliby do poprzedniego właściciela, to dane z umowy doprowadziłyby ich donikąd. Ślad się urywał. Wszystko to było jednak mało prawdopodobne, bo tamto subaru, które za chwilę namierzy Zuza, miało inne numery. Mimo wszystko dwie rzeczy były od tego momentu jasne. Po pierwsze, nigdy więcej nie mógł nawet wsiąść do tego wozu, po drugie, zdecydował, że musi go szybko gdzieś zutylizować, żeby w razie czego nie znaleźli w nim jakichś śladów. Ogólnie można powiedzieć, że sytuacja się skomplikowała. To zaś u niego, zamiast wywołać stres, spotęgowało jeszcze ekscytację.

Na razie, jadąc na wszelki wypadek trochę naokoło, wrócił do domu na Woli. Na wieczór umówiony był z Julką w mieszkaniu na Jadwisinie. Zależało mu na tym spotkaniu, ale teraz, kiedy pojawiły się komplikacje, a do tego Zuza dzwoniła wcześniej bezskutecznie kilka razy, nie bardzo miał pomysł, co zrobić.

Wyjście było jedno.

Wprawdzie nie był pewien, czy jeśli ktoś wejdzie głębiej w ustawienia sieci komórkowej, to do tego nie dojdzie, ale postanowił zaryzykować. Przekazanie połączenia. W ten sposób jego aparat zostawał w domu, a ewentualne połączenie było przekazywane na inny numer, do aparatu, który zamierzał zabrać ze sobą. Tego samego, w którym miał aplikację do rażenia Zenona ikonką telewizora. Normalnie nigdy nie dopuszczał do sytuacji, w której oba te numery występowały obok siebie. Tamten anonimowy, kupiony od jakiegoś typa z dark webu, włączał tylko wtedy, kiedy był daleko od swojego oficjalnego telefonu. Dzięki temu oba nigdy nie pojawiały się w tej samej lokalizacji.

Teraz musiał zrobić podobnie, dlatego jadąc w tamtą stronę, a potem wracając, był poza siecią. Trudno, trzeba było mieć nadzieję, że przez te w sumie dwadzieścia minut Zuza akurat nie zadzwoni.

– Cześć. – Julka, która przyszła nawet przed czasem, przywitała się od razu, kiedy otworzył drzwi.

Pocałowali się po raz pierwszy już w korytarzu. Przez kolejne kilka minut nie było żadnych słów, może tylko te, które wypowiada się, gdy jest już blisko, ale ich

i tak się później nie pamięta. Seks znów był brutalny i bardziej przypominał jakąś rozgrywkę niż akt miłosnego spełnienia.

Potem zasnęli, a w każdym razie tak mu się wydawało. Z półdrzemki wyrwał go nagle dzwonek telefonu. Marek zerwał się gwałtownie i przez chwilę próbował sobie przypomnieć, gdzie jest, później gdzie zostawił telefon, w końcu wstał i nieomal wybiegł z pokoju.

– A któż to dzwoni, że taki pośpiech? – zdziwiła się Julia ironicznie, a w jej głosie pojawiła się nawet bodaj nuta zazdrości.

– Halo. – Marek odebrał po piątym dzwonku.

– Marek? – Zuza nie była pewna, czy to jego słyszy, głos był lekko zniekształcony. Pomyślała, że może przez to, że mówił już do niej, nie trzymając jeszcze słuchawki przy uchu.

– Tak, tak, to ja, w łazience byłem, dlatego dopiero teraz. – Marek się usprawiedliwił, ale już w kolejnej sekundzie przyszło mu do głowy, że nie było takiej potrzeby ani nawet wskazania.

– Jasne, nie musisz nosić telefonu ze sobą pod prysznic. – Zuza zaśmiała się, a jego usprawiedliwienie przypisała ogólnemu przejęciu i skrępowaniu.

– Co tam? Coś nowego? Coś z tym samochodem? – Marek zasypał ją gradem celowo niezbornych pytań.

– Tak, samochód namierzyliśmy. Niestety nie widać, kto jest za kierownicą, bo ma opuszczoną przysłonę słoneczną, tyle że to raczej mężczyzna – wyjaśniła. – A teraz najważniejsze: na miejscu pasażera prawie na pewno siedzi Karolina. Kamery monitoringu nie dają zbyt wyraźnego obrazu, ale poznaję jej marynarkę.

– Kurde, czyli...? Mamy to? Wiemy, dokąd jechali? – Marek pytał pozornie jeszcze bardziej podekscytowany.

Co nie było proste, bo po pierwsze tak naprawdę był lekko przerażony, a po drugie doskonale znał odpowiedź.

– Dokładnie nie, ale na pewno na południe. Ostatnia kamera rejestruje ich na szosie krakowskiej przy skrzyżowaniu z drogą na Nadarzyn. Wiesz, gdzie to jest? –

upewniła się, czy nadąza za jej opowieścią.

– Wydaje mi się, że tak, tam są chyba światła. – Marek udawał trochę zorientowanego.

– Nie wiesz, czy ona nie miała tam jakiegoś znajomego, znajomej? – zapytała bez większej nadziei.

– Nie. – Pokręcił głową, jakby rozmawiali twarzą w twarz. – Zresztą my... no, nie znaliśmy się, nie znamy się znaczy jeszcze zbyt długo.

– Wiem, wiem, tak zapytałam. No nic, będę dzwonić, jak ustalimy coś jeszcze. Na razie.

– Na razie... – powiedział już po tym, jak Zuza zdążyła się rozłączyć.

– Szukasz kogoś? – Marek usłyszał za sobą głos Julii.

– Tak, kolega z pracy nam się gdzieś zapodział – odpowiedział szybko.

– A dzwonił kto...? – Julia uśmiechnęła się niewinnie.

– Koleżanka, mają jakiś projekt razem, a on zniknął. – Teraz Marek zaczął obsadzać role w zmyślonym przedstawieniu realnymi osobami. – Kolega lubi wypić i czasem trochę wymyka się spod kontroli.

– Nie tylko u was. – Pokiwała głową. – W sensie, nie tylko u was czasem się wymyka. Taki kraj albo może takie czasy, sama nie wiem. Zjemy coś razem? – zapytała po chwili milczenia.

– Chętnie, tyle że nie dziś już, muszę jechać jeszcze do pracy – wyjaśnił i dodał, kłamiąc znów jak z nut: – Skoro go nie ma, to powinienem przynajmniej pomóc znaleźć jego papiery. Ten projekt ma jutro trafić na biurko ministra.

Chciał już jechać. Zrobił to, czego tak bardzo od kilku dni potrzebował, było dobrze, ale teraz coś zaczynało go w całej tej sytuacji lekko uwierać. Poza tym wolał naprawdę być w domu i kolejne telefony od Zuzy odbierać już bez przekierowania. Mogła się tam zresztą przecież w każdym momencie zjawić.

– Okej. – Julia pokiwała głową ze zrozumieniem. – To kiedy?

– Może jutro – zaproponował. – Wspólna kolacja? A potem... zobaczymy.

– Jutro. – Uśmiechnęła się prawie zadowolona.

Marek, nie zaprzatając sobie tym dalej głowy, pożegnał Julię, bo musiała iść, by on mógł iść, i zaraz potem ruszył z powrotem do domu na Wolę. Raz jeszcze wypiął kartę na wysokości pomnika Lotnika i przez kolejne dziesięć minut jego telefon był nieosiągalny.

Na jego szczęście w domu okazało się, że Zuza ani zresztą nikt inny przez ten czas nie dzwonił. Chwilę po tym, jak przyjechał, wyszedł nawet rutynowo na klatkę i dość głośno pukał do drzwi mieszkania Karoliny. Kiedy skończył, połączył ten drugi telefon, z którego uprzednio wyjął kartę sim, z siecią domową i włączył podgląd sytuacji z ziemianki pod stodołą.

Było ciemno, a światło w ziemiance gasło automatycznie punkt dziewiąta, ale kamera miała funkcję podczerwieni, więc Marek dość dobrze widział leżące na pryzkach ciała. Karoliny bliżej kamery i Zenona nieco dalej. Wszystko było, jak należy.

Ofiary spały. Czy spokojnie – tego kamera nie była w stanie mu powiedzieć.

28. TATUAŻE

Zuza po raz nie wiadomo już który tego wieczora, siedząc wciąż jeszcze w swoim gabinecie w części pałacu Mostowskich od strony Nowolipek, przeglądała monitoringi, które przygotował jej wydział ruchu drogowego.

Subaru, w którym tylko raz i tylko przez moment widać było podróżujące nim osoby, gdyż na pozostałych ujęciach niebo odbijało się od szyby, jechało ulicą Kasprzaka do Prymasa Tysiąclecia, później przy rondzie Jazdy Polskiej prosto i do Grójeckiej. Kolejna kamera łapała je dopiero przy Łopuszańskiej i dalej na S7, w końcu po raz ostatni pojawiało się na skrzyżowaniu drogi na Kraków z tą łączącą Nadarzyn z Piasecznem.

Samochód spod świateł ruszył prosto, ale przy kolejnej kamerze w Tarczynie już się nie pojawiał. Musiał skręcić gdzieś po drodze, pomyślała. Tylko co z tego? Nawet gdyby założyć, że jej przyjaciółka była gdzieś między Nadarzynem a Tarczynem, to niewiele jej to dawało, bo teren był ogromny, tym bardziej że nie było nawet wiadomo, czy auto skręciło z drogi krakowskiej w lewo, czy w prawo.

Poza tym w ogóle nie było powiedziane, że porywacz nie pojechał tamtędy jedynie dla zmyłki, a potem mógł właściwie odbić dokądkolwiek. Chociaż to już pewno niekoniecznie, bo siedząca na miejscu pasażera Karolina zorientowałaby się w końcu, że jadą idiotycznie i dookoła.

Jednak z drugiej strony była pewnie trzymana przez Zenona na muszce, więc jej zdziwienie nie miałooby żadnego znaczenia. Zuza sięgnęła po telefon, weszła w książkę telefoniczną, odnalazła numer do Sylwii.

– Czy Zenon ma jakąś nieruchomości między Tarczynem a Nadarzynem? – zapytała zaraz po tym, jak przypomniała konkubinie Zenona, kim jest i dlaczego lepiej, żeby z nią współpracowała.

– Pojęcia nie mam, nie zwierza mi się – odpowiedziała tamta.

– Ale chwilę razem jesteście, więc...

– Pewnie bym wiedziała.

– Znajomi jacyś stamtąd, byliście tam u kogoś?

– Raczej nie... może kiedyś, dawno...

– Gdzie?! – zapaliła się Zuza.

– Lesznów. To tam? – Dziewczyna Zenona nie była do końca pewna.

– Mniej więcej – potwierdziła policjantka. – Czyli?

– Taki Bogdan, on mieszka tu blisko, to jego dom – próbowała sobie przypomnieć.

– Bogdan jaki? – cisnęła Zuza.

– Nie wiem, jak ma na nazwisko, „Piersiówka” go nazywają.

– Dzięki. – Zuza się rozłączyła i od razu zadzwoniła do dyżurnego w Stołecznej, żeby zadysponował dwa zespoły dochodzeniowe w rejon.

Mogła tam pojechać sama. Też pewno uzyskałaby najpierw informacje o Bogdanie, a potem z Bogdana wydusiłaby adres jego działki w Lesznów. Mogłaby, ale miała już dwie reprimendy od komendanta za nietrzymanie się procedur i narażanie własnego życia w sytuacjach niebezpiecznych. Nigdy nie rozumiała wprawdzie, dlaczego ktoś dawał jej służbowe reprimendy za dysponowanie własnym bezpieczeństwem, tak jakby ona cała była w jakimś sensie własnością policji. Nie rozumiała, ale potrzebowała tej pracy, lubiła ją, a teraz była jej ona wręcz niezbędna, bo siły i środki, którymi dysponowały organy, mogły jej pomóc uratować życie przyjaciółki.

Bogdana znaleźli łatwo, mężczyzna bez problemu podał adres, niespecjalnie się nawet opierał, żeby pojechać tam z nimi. Przez pierwsze dni, na samym początku ludziła się, że ktoś, w domyśle Zenon, zgłosi się do firmy Karoliny z żądaniem

okupu. Marczak miał dość poważne problemy finansowe, start-up jej przyjaciółki świetnie prosperował, pozyskiwał kolejnych inwestorów, lada moment miał wejść na giełdę. To nie była tajemnica, więc Zenon mógł po prostu połączyć przyjemne z pożytecznym, okup z seksualną satysfakcją. Zuza miała zatem nadzieję, ale przez kolejne dni nic takiego się nie wydarzało i okup stawał się coraz mniej prawdopodobny. Czyżby Marczak zjawiał się wyłącznie po przyjemne? Może też trochę po zemstę, takie bandziorki jak on często miały dosyć wyśrubowane poczucie honoru.

Na działce w Lesznowoli był barak, w nim jakieś pozostałości po narkotyczno-alkoholowych biesiadach, jednak żadnych oznak bytności Karoliny czy Zenona. Zuza wezwała wprawdzie kryminalistyków, żeby pobrali ślady, lecz zrobiła to bez większej wiary. Bardziej chodziło jej o ewentualną reakcję Bogdana na wieść o tym niż o wyniki. Bogdan lekko się zdenerwował i zaraz zaczął tłumaczyć, że bywali tu różni jego koledzy i on nie odpowiada za to, co oni tu składowali ani czym się raczyli. W skrócie Bogdan wiedział, że kryminaliści odnajdą tu pozostałości kokainy albo innej mety, i zabezpieczał się raczej przed tym niż przed podejrzeniem o przetrzymywanie tu kogokolwiek. Zuza zdawała już sobie sprawę, że to będą lewe sanki, choć pewnie jej przełożonych trop na kokainę też ucieszy.

Tego samego dnia po południu zaprosili ją do siebie koledzy z wydziału przestępczości internetowej. Nie leżało to do końca w ich gestii, ale mieli najlepszy sprzęt, więc to do nich o ekspertyzę zwróciła się Zuza. Internetowcy obrobili materiał z kamer monitoringu, na którym widać było subaru wywożące Karolinę w nieznaną. Szczególnie pieczołowicie przyłożyli się do krótkiego filmiku ze świateł przy rondzie Zesłańców Syberyjskich. To tutaj subaru przejeżdżało prosto do ulicy Bitwy Warszawskiej 1920 roku i to tutaj najlepiej było widać pasażerów.

Jedna, najbardziej klarowna klatka z filmiku została wyciągnięta, oczyszczona i powiększona za pomocą programu pracującego na specjalnych inteligentnych algorytmach, które tam, gdzie brakowało pikseli, dorabiały swoje wedle własnej receptury. Z fotografii ponad wszelką już teraz wątpliwość wynikało, że pasażerką samochodu była Karolina. Zuza znała tę bluzkę, znała też krótką dzinsową

spódniczkę, którą miała na sobie przyjaciółka. Nie ona więc była tematem jej głównego zainteresowania.

– Możesz jeszcze trochę dojechać do rąk tego faceta? – zapytała jednego z lekko freakowatych chłopaków w za dużych džinsach z paskiem prawie pod pachami.

– Trochę mogę, ale to już jest radosna twórczość programu. – Młody dotknął myszki.

– Coś mi tu nie gra – powiedziała Zuza.

– Mówiłem, że radosna twórczość. – Uśmiechnął się tamten.

– Nie, nie o zdjęcie chodzi, tylko o ręce.

Pół godziny później komisarz Walicka była po raz kolejny u Sylwii, konkubiny Zenona, która tym razem podjęła ją już jak starą znajomą kawą i pączkami. Ogólnie z dnia na dzień dziewczyna najwyraźniej odżywała pod nieobecność ukochanego.

– Widziałam gdzieś tutaj twoje zdjęcie z Zenonem – zaczęła Zuza.

– No było... – Sylwia odpowiedziała niepewnie, tak jakby Walicka poruszyła jakąś delikatną sprawę.

– Takie, na którym on cię otacza ramieniem – uszczegółowiła policjantka.

– Tak, tak, on je bardzo lubił, lubi w sensie... – Sylwia chowała się coraz bardziej.

– Pokażesz? – Komisarz wyczuła końcem nosa, o co najprawdopodobniej chodziło.

Sylwia w ramach odżywiania po zniknięciu „ukochanego” schowała najprawdopodobniej zdjęcie, które jej o nim przypominało. Schowała albo niestety zniszczyła.

– Przyniosę. – Sylwia uśmiechnęła się blado.

Jednak nie zniszczyła, na to nie miałyby na szczęście odwagi. Zenon mógł w każdej chwili powrócić – jak choroba, z którą organizm uporał się, ale nie wiadomo na jak długo.

– Jest tatuaż – zauważyła Zuza.

– Żeby jeden. – Sylwia się uśmiechnęła. – On jest cały wydziarany.

– Czyli to nie jego ręce. – Zuza z wewnętrznej kieszeni skórzanej marynarki wyciągnęła wydrukowane przez techników zdjęcie z monitoringu.

– Pewno, że nie jego. Nie ma tatuażu, on ma też inny kolor futra – stwierdziła kobieta.

– Futra?

– No, włosów na rękach i w ogóle. – Sylwia zarumieniła się odrobinę. – No... wie pani.

– No wiem. – Zuza pokiwała głową. – Czyli to nie on.

– Na bank nie on. Jego ręce znam na pamięć, on też ma większe łapy w ogóle. Widziałam je parę razy z bliska, zbyt bliska. – Teraz Sylwia uśmiechnęła się smutno.

– Dziwne – policjantka podzieliła się szczerze swoją opinią.

– Że mnie bił?

– To też, ale to się w tym kraju zdarza, za często się zdarza. Dziwne, że to nie on. Ma jakichś takich superzaufanych ludzi? – Walickiej znów włączył się instynkt dochodzeniowca.

– Już mnie pani o to pytała. On nie miał superzaufanych ludzi, normalnie zaufanych nawet nie miał, za duży egoista i zbyt nieufny – wyjaśniła Sylwia, której uporczywie wracał nawyk mówienia o Zenonie w czasie przeszłym.

29. DATY

Czyżby zbieg okoliczności? Czyżby rzeczywiście, jak sugerował w jakimś momencie Marek, zniknięcie Zenona zdarzyło się w tym samym czasie co zniknięcie Karoliny jedynie przypadkowo – zastanawiała się Zuza, jadąc teraz z powrotem w stronę okazałego pałacu przy Nowolipiu zwanego wśród jej zawodowych znajomych fabryką. Może zatem te dwie sprawy łączyły się, ale w jakiś inny sposób niż ten, który wydawał się do tej pory najbardziej oczywisty. Gdyby nie było w tej historii Karoliny, to pewno byłyby niejakie podstawy do tego, żeby podejrzewać samą Sylwię. Pewno ilość krzywd, które jej wyrządził, spokojnie mogła starczyć na kilka motywacji do zabójstwa. Ale Karolina? Poza tym Sylwia, wedle jej niemałej już w końcu ekspertyzy w tej materii, nie miała cech osoby, która mogłaby posunąć się do czegoś takiego. Tak jak wielu ludzi nigdy nie byłoby w stanie odebrać sobie życia, tak istnieje też, może zresztą na szczęście, niemała grupa tych, którzy nie potrafiliby odebrać go komuś.

Marek nie zastanawiał się nad takimi kwestiami. Napięcie nieco opadło. To, co było do zrobienia do tej pory, już się wydarzyło, teraz ekscytował go kolejny etap, a do wyznaczonej daty pierwszej i – jak lubił ją sobie kategoryzować – wstępnej kulminacji jego planu, czyli do dnia zabójstwa Zenona, pozostawał równo tydzień. Czuł się więc teraz trochę jak Baba-Jaga, która tuczyła swoje ofiary przed ich zabiciem i w domyśle zjedzeniem. Co za makabreska, swoją drogą – Marek uśmiechnął się do swoich myśli. Jedna z najpopularniejszych dziecięcych bajek traktowała tak naprawdę o kanibalizmie. Nic dziwnego, że z tamtych dzieci

wyrastali tacy dorośli jak choćby on. Wyrzuty sumienia? Usprawiedliwianie swoich czynów przed samym sobą? Nie, takie rzeczy w ogóle go nie dotyczyły. Czuł się raczej jak ktoś, kto wszystko, co robi, robi świadomie, ale jednocześnie tak jakby realizował jakiś z góry zadany i precyzyjnie opracowany plan. Jakby ktoś do głowy włożył mu kartę perforowaną albo gotowy software, który powodował jedynie realizację kolejnych faz programu. Tyle że to przecież on sam stworzył kartę perforowaną czy software, i on sam wgrał go sobie wcześniej do głowy.

W pieczarze pod stodołą był dziś krótko: przywiózł prowiant, wyniósł nieczystości, z pewną satysfakcją wysłuchał błagalnych próśb przeplatanych bezwzględными groźbami. Wobec Karoliny miał jeszcze plany, ale nie bardzo wyobrażał sobie, by dało się je zrealizować w obecności Zenona.

– Jesteśmy tu przez nią? – zapytał nagle Zenon.

– Nie, jesteście tu przeze mnie – odpowiedział spokojnie.

Później przez chwilę zastanawiał się, co Zenon miał właściwie na myśli, kim była „ona”. Czy chodziło mu o Zuzę, przyjaciółkę Karoliny, czy może o samą Karolinę? Nie chciało mu się jednak za bardzo wikłać w meandry myślenia tego damskiego boksera, więc odpuścił wyjaśnianie tej kwestii.

Nie mogąc zrealizować swojego zamiaru wobec Karoliny, postanowił uciec się znów do metody zastępczej, która zresztą tak bardzo zastępcza wcale nie była, bo seks z Julią wydawał mu się coraz bardziej interesujący jako sam w sobie, a nie jako zamiennik czegoś innego. Spotkania odbywały się już teraz cyklicznie, a on czuł się w tym na tyle dobrze, że miał nawet wrażenie, nie jakby zaczynał jakąś nową relację, ale raczej jakby powracał do czegoś minionego.

– Co robisz... w sensie, poza pracą w bardzo ważnym ministerstwie? – zapytała go teraz, kiedy leżeli już zmęczeni po szalonych momentach sprzed chwili.

– Co robię? – zastanowił się. – Niewiele. Spotykam się z tobą, chodzę do kina, czasem gdzieś wyjadę, dbam o dom, teraz, odkąd Ola odeszła, wszystko jest na mojej głowie. Staram się nie myśleć o nich.

– A gdzie oni są w ogóle?

– Z tego, co wiem, na Fuercie, ale nie miałem kontaktu od miesiący, nie odbiera ode mnie telefonu, a nie chcę dzwonić z jakichś innych numerów, bo przecież i tak odłoży, jak usłyszy mój głos – odparł Marek ze smutkiem, którego tak naprawdę nie odczuwał.

– Może wyjedziemy gdzieś razem – zaproponowała nagle. – W sensie na kilka dni, na weekend w góry czy nad morze?

– Czemu nie... – zareagował z entuzjazmem, ale zaraz zreflektował się nieco. – Tylko za jakiś czas. Na razie jestem zawalony robotą. Teraz jest okres przyznawania tych wszystkich stypendiów, grantów i tak dalej.

Pokiwała głową. Chwilę siedzieli w milczeniu.

– Za dwa tygodnie? – odezwał się w końcu.

Za dwa tygodnie miało być po wszystkim. Najpierw Zenon za tydzień, a później za kolejny miał nadejść dzień najważniejszy, czyli Karolina. Dlaczego akurat te konkretne daty? Bo tak postanowił, kiedy to wszystko się zaczynało. Daty nie miały żadnego z nim związku, nie mogły mieć, bo a nuż ktoś, czyli Zuza, kiedyś dotarłaby do tej zbieżności i co wtedy. Daty były absolutnie przypadkowe, tak mu się w każdym razie wydawało, a skoro już je ustalił, to musiał się ich trzymać.

– Za dwa tygodnie, super – ucieszyła się Julia. – Akurat u mnie też będzie wtedy jakieś okienko.

Zuza czuła, że czasu jest coraz mniej. Nie było ku temu żadnych jasnych przesłanek, ale chyba podpowiadała jej to policyjna albo być może kobieca intuicja. Jej stosunek do przyjaciółki był szczególny, a w takich wypadkach intuicja działa niejako na wyższej czułości.

Właśnie, czułość przychodziła jej do głowy najczęściej, kiedy myślała o Karolinie.

Od momentu kiedy dowiedziała się, że samochodem, którym jechała, nie podróżował z nią najprawdopodobniej Zenon, czyli nie on był porywaczem, przez jakiś czas była w szoku i nie miała pojęcia, co dalej zrobić. Do głowy przychodziło

jej, żeby jeszcze raz spotkać się z wysłannikiem młodego Pruszkowa, ale to nie wniosłoby do sprawy zapewne nic nowego, bo to, co mieli do powiedzenia, już powiedzieli, więc albo nie wiedzieli więcej, albo nie chcieli więcej ujawnić, czyli wychodziło z grubsza na to samo.

W końcu pomyślała, że może jest czy raczej była w życiu Karoliny jakaś sprawa, o której ona nie wiedziała i która teraz zaowocowała takimi konsekwencjami. Chociaż w tej sytuacji nie bardzo kleiło się z tym zniknięcie Zenona. Czyli wróć do punktu pierwszy – czyżby totalny zbieg okoliczności? Skoro jednak nie było innego pomysłu, to pozostawał ten. Pomyślała, że być może sprawa była jakoś powiązana z jej zawodowymi problemami, o których nigdy raczej nie rozmawiały.

Najpierw zadzwoniła do wspólnika Karoliny, Tomka, ten doradził jej, żeby pogadała z jej najbliższą współpracowniczką.

– Czyli? Było coś? Jakieś problemy, dziwni kontrahenci, kłopoty, długi, próby wrogiego przejęcia? Nie wiem co jeszcze, nie znam się na tym waszym świecie. – Zuza siedziała w barku na piętrze, który siedziba start-upu Karoliny dzieliła z pięcioma innymi małymi firmami na dorobku.

Naprzeciw niej na wysokim barowym stołku siedziała ładna krótkowłosa blondynka o imieniu Ewa, która na co dzień była asystentką Karoliny. Piły zielone smoothie, co Zuzie, zważywszy na okoliczności, wydawało się odrobinę niedorzeczne, ale dała się namówić.

– Nie, tu w robocie raczej wszystko spoko, przynajmniej ja nic nie wiem, żeby coś nie grało, a raczej bym wiedziała. Może coś bardziej po linii osobistej – zasugerowała Ewa.

– Po osobistej to ja raczej bym wiedziała. – Zuza uśmiechnęła się delikatnie urażona.

Ewa doskonale wiedziała, jak bardzo się przyjaźniły, więc taka sugestia albo była szpilką wbitym Zuzie pod paznokieć, albo, co nie mniej prawdopodobne, wynikała z braku empatii czy też młodzieńczego nieogarnięcia rozmówczyni.

– Mama – powiedziała nagle lekko podekscytowana Ewa.

– Mama, co?

– Mama może wiedzieć o czymś, o czym nie wiem ani ja, ani nawet ty. – Ewa jednak nie była nieogarnięta i teraz starała się zrehabilitować za to, co powiedziała przed chwilą.

– Ale one nie utrzymywały od lat kontaktu.

– Wiem, ale może coś zdarzyło się wcześniej, może przez to właśnie nie utrzymywały kontaktu – zasugerowała dziewczyna.

– Nie utrzymywały, bo jej matka jest czynną alkoholiczką.

– Może dlatego... Innego pomysłu już nie mam. W robocie było w każdym razie tip-top i nikt nie chciał nas wrogo przejąć.

– A jak dotrzeć do tej matki? Masz jakiś zamiar? – Zuza jednak uległa sugestii.

Nie miała innego wyjścia, bo wyglądało na to, że oto kolejna ścieżka kończyła się ścianą.

30. MATKA

Do matki była komórka. Zwyczajowo w papierach firmy znajdował się kontakt do rodziny. Tak naprawdę bez nakazu w związku z RODO prawdopodobnie Ewa nie powinna ujawniać numeru, ale sprawa była poważna, Zuza była zaufana, a telefon mogła przecież równie dobrze dostać od Karoliny. Swoją drogą nigdy go nie dostała, pewnie nie było okazji. Z lat nastoletnich pamiętała mamę Karoliny, zresztą oboje rodziców. W ich domu spędzała więcej czasu niż we własnym. Tu też nie było zbyt różowo, ale i tak znacznie lepiej niż u niej. Mama Zuzy nie żyła od dziesięciu lat, zmarła na marskość wątroby. Już choćby to świadczyło poniekąd o różnicy.

– Dzień dobry, nie wiem, czy pani mnie pamięta. Zuzanna Walicka, ja... – zaczęła komisarz, gdy tylko uchyliły się drzwi od mieszkania, ale nie zdążyła dokończyć.

– Oczywiście, że pamiętam – odpowiedziała z wysiłonym uśmiechem kobieta o twarzy lekko opuchniętej, choć wciąż noszącej ślady dawnej urody. – Byłyście jak siostry przecież.

– Nadal trochę jesteśmy. – Zuza pokiwała głową, czekając na to, czy mama Karoliny zdecyduje się ją zaprosić do środka, czy może całą rozmowę będą musiały odbyć na klatce.

– Co cię sprowadza? Chodź. – Kobieta uchyliła drzwi szerzej. – Bałagan trochę mam, Masza nie przyszła ostatnio, ale jakoś damy radę.

Masza nie przysłała ostatnio wiele razy – pomyślała Zuza, patrząc na piętrzące się wszędzie wokoło kartony, śmieci, butelki i inne elementy, które nie przysparzały temu miejscu ani urody, a za to przysparzały mu woni.

– Chodź, chodź, tu chyba w kuchni sobie przycupniemy. Gotowałam akurat coś. – Mama Karoliny szła przodem, a Zuza, żeby zająć czymś swój umysł przytłoczony ogromem chaosu, próbowała sobie przypomnieć, jak ona miała na imię.

– Może zjesz albo się napijesz czegoś? – zapytała kobieta, kiedy dotarły wreszcie do kuchni i Zuza usiadła na wskazanym krześle, klejąc się od razu do niego lekko.

– Nie, nie, jadłam dopiero co! – Zuza zareagowała gwałtowniej, niż wymagało pytanie. Po chwili zrobiło jej się w związku z tym trochę głupio, ale na szczęście przypomniała sobie imię swej rozmówczynie. – Pani Jolu.

– No dobrze, co cię sprowadza, co u mojej latorośli? – Jola popatrzyła na nią raptem wyjątkowo trzeźwym wzrokiem. – Jakiś czas się nie widziałyśmy.

Z tego, co było Zuzie wiadomo, to jakieś piętnaście lat z lekkim okładem. To rzeczywiście jakiś czas. Teraz policjantka zaczęła się zastanawiać, czy powiedzieć, jak jest, czyli przedstawić całą grozę sytuacji, czy próbować coś ściemniać, żeby nie wywołać od razu nadmiernych emocji.

– No właśnie... trochę jakby nie wiemy – zaczęła na półoddechu.

– Nie wiecie? – przytomnie zapytała Jolanta. – Wy, policja?

– A skąd pani...?

– Myślisz, że ja nie mam telewizora? – stwierdziła bardziej, niż zapytała.

– Tak, my policja. Karolina zniknęła mniej więcej dwa tygodnie temu, od tej pory uruchomiłam już wszystkie możliwe siły i środki. Na razie nic nie pasuje do niczego, nie wiem, co dalej zrobić. – Zuza przyznała się do swojej rozterki, bo coś mówiło jej teraz, że tak będzie lepiej.

– A bardzo, bardzo byś chciała... – Jolanta spojrzała nagle w okno, którego też od dawna nie umyła Ukrainka.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, a Zuza zastanawiała się, co Jolanta miała przez to na myśli. Czyżby była jedyną osobą na świecie, która wiedziała wszystko.

– Wiesz, dlaczego nie gadamy ze sobą od piętnastu lat? – odezwała się wreszcie Jolanta.

– Nie za bardzo. – Zuza skłamała, bo tak naprawdę była przekonana, że nie gadają, ponieważ Karolina miała po prostu dość swojej przeszłości i bagażu Dorosłego Dziecka Alkoholika.

– Oczywiście dlatego, że piję. – Jolanta się uśmiechnęła. – Ale nie tylko. Z tego powodu może ona nie gada ze mną, ale ja z nią z innego.

Zuza czekała, Jolanta zbierała myśli.

– Wiesz, że urodziła dziecko? – zapytała niespodziewanie.

– Wiem. Wiem też, że oddała je do okna życia. – Zuza pokiwała głową.

Jeśli to miała być ta rewelacja, to niepotrzebnie się tu fatygowała.

– A wiesz, że mniej więcej po trzech latach zaczęła go szukać? – Jolanta popatrzyła na nią znów w ten trochę inny, bardziej czujny sposób.

Nie, o tym Zuza nie miała pojęcia, więc teraz pokręciła głową.

– Więc nie wiesz też, że mniej więcej po sześciu miesiącach udało jej się je znaleźć, mimo że nie powinno, bo domy dziecka nie ujawniają takich danych. Nie mam pojęcia jak, pewnie znowu kogoś uwiodła, poszła z kimś do łóżka, w każdym razie znalazła tych ludzi. – Jolanta posmutniała.

– I? – Teraz Zuza była już rzeczywiście w lekkim szoku.

Jak to możliwe, że choć gadały ze sobą w kółko i o wszystkim, to o tej, może najważniejszej rzeczy z życia przyjaciółki nie wiedziała? To, że nie znała meandrów jej życia zawodowego, jakoś można było jeszcze wytłumaczyć. Same zawarły wspólny pakt, że nie będą o tym rozmawiały. Ale odnalezienie dziecka porzuconego wcześniej w szpitalu? Jak mogła jej o tym nie powiedzieć?

– Wstydziała się – stwierdziła Jolanta.

– Słucham?

– Wstydziała się tego, dlatego nie wiesz – wyjaśniła.

Zuza skinęła głową.

– No więc znalazła ich, podszyła się pod opiekunkę do dzieci, przyjęli ją do pracy, bo dali akurat ogłoszenie. – Jolanta znów zamilkła.

Zuza o nic już nie dopytywała, czekała.

– Potem uwiodła tego gościa, a może on ją, to bez znaczenia. W tej sytuacji to i tak moim zdaniem jej wina. Żona się dowiedziała, zabrała dziecko, zniknęła. Później Karo zostawiła tego gościa, bo przecież nie o niego jej w tym wszystkim chodziło.

– Co dalej? – Zuza jednak nie wytrzymała. – Oni się dowiedzieli, że Karolina była prawdziwą matką ich dziecka?

– Myślę, że ta babka to rozgryzła, babki dużo rozgryzają, szczególnie kiedy coś zagraża ich dzieciom czy ich macierzyństwu. A dalej? Dalej nie wiem, chyba już nic. Tylko krzywda. Rozwaliła dom własnemu dziecku, które wcześniej porzuciła w szpitalu. Za to drugie nigdy nie miałam do niej pretensji. Za młoda była, tatuś wielka miłość się zawinął, co miała zrobić? No, ale to wpakowanie się do tego domu i ten romans to już przerosło nawet mnie. A jak wiesz, mam sporą wydolność, jeśli chodzi o krzywdzenie innych ludzi.

– Wie pani, jak oni się nazywali? Ci ludzie w sensie? – Zuza zwęszyła kawałek innego niż ten Zenona, a nadal logicznego motywu.

– Nie mam pojęcia. Całą tę historię opowiedziała mi tylko raz sama Karolina, bez żadnych nazwisk. Potem już się więcej nie widziałyśmy. Ja jej nie chciałam oglądać, a ona mnie może też dlatego, że, jak sądzę, byłam jej jedyną powierniczką w tej sprawie.

– To może być ważne... cholernie ważne. – Zuza myślała głośno.

– Może być, a może nie, ale pytałaś o jakieś sprawy. To ci powiedziałam o sprawie.

Po wyjściu od Jolanty komisarz miała sporą zagwozdkę. Po pierwsze zastanawiała się, czy to wszystko mogło mieć w ogóle jakieś znaczenie. Mogło przecież być z dużym prawdopodobieństwem i tak, że zdarzenia zrelacjonowane jej przez matkę

były całkowicie nieprawdziwe. Może Jolanta konfabulowała, bo nie chciała pogodzić się z tym, że córka nie kontaktowała się z nią przez to, że piła. Wolała wymyślić dla siebie i innych całą tę skomplikowaną intrygę, która uderzała w Karolinę, a jednocześnie w jakimś sensie oczyszczała ją.

To po pierwsze, a po drugie, nawet jeśli Jolanta nie kłamała, jeśli wszystko to się wydarzyło i Karolina jej to opowiedziała, to były stare czasy niemające nic wspólnego z tym, co działo się z jej przyjaciółką tu i teraz. Może, mogło, nie mogło... bardzo wiele niewiadomych. Pewno w innych okolicznościach w ogóle nie zaprzętałyby sobie głowy tak odległym i niepewnym tropem. Tyle że to nie były inne okoliczności, tylko te okoliczności, a te okoliczności charakteryzowało to, że Zuza nie miała pojęcia, co ma dalej zrobić i czego szukać. Jak zatem odnaleźć trop tamtych ludzi, do których trafiło, przynajmniej wedle relacji mamy, dziecko Karoliny. Zuza wróciła na chwilę pod klatkę białego budynku z lat sześćdziesiątych mieszczącego się na osiedlu przy Sadach Żoliborskich.

– Pani Jolu? – powiedziała do skrzeczącego trochę głośnika od domofonu.

– No?

– A wie pani może chociaż, gdzie trafił ten mały ze szpitala?

– A może wiem – odpowiedział jej chrapliwy głos starszej pani.

31. DZIECKO

Dom Dziecka Zgromadzenia Sióstr Nazaretanek mieścił się w podwarszawskich Płudach. Zuza mogła tam zadzwonić, żeby uprzedzić o swojej wizycie, albo może nawet uzyskać informację bez opuszczania swojego gabinetu w pałacu Mostowskich, ale przeczuwała, że w ten sposób nie tylko nic nie załatwi, ale da też siostrom czas do namysłu i spowoduje, że zasklepią się na amen. Tak naprawdę bez nakazu nie musiały, a wręcz nie powinny jej udzielać żadnych informacji, zaś uzyskanie papieru i to nawet z pomocą zadurzonego w niej hobbystycznie prokuratora Antczaka zajęłoby dużo czasu.

– Szczęść Boże, sostro. – Zuza weszła do gabinetu siostry przełożonej tak, jakby była z nią albo umówiona, albo zakolegowana od lat.

– Szczęść Boże. A kim pani jest? – zdziwiła się tamta.

– Nazywam się Zuzanna Walicka i jestem komisarzem policji. Pracuję w wydziale kryminalnym komendy stołecznej. – Zuza położyła swoją policyjną blachę na masywnym biurku z ciemnego drewna.

Tak naprawdę wydział nazywał się inaczej, ale Zuza postanowiła użyć kolokwializmu, bo inaczej już sama nazwa mogła wystraszyć siostrę Mariannę.

– Rozumiem. – Siostra się uśmiechnęła. – I? W czym możemy pani pomóc?

– Moja przyjaciółka Karolina Milewska. – Zuza postanowiła opowiedzieć wszystko jak na spowiedzi. Nie miała czasu na to, by zniechęcić siostrę kłamstwem, a odniosła wrażenie, że Marianna doskonale potrafi je wyczuć. – Osiemnaście lat temu urodziła dziecko... – zaczęła.

– Nie udzielamy informacji na temat naszych podopiecznych. – Siostra wykazywała się nawet większą inteligencją, niż Zuza założyła. A komisarz była jak najdalsza od tego, by jej nie docenić już przy pierwszym wejrzeniu.

– Wiem oczywiście, siostrzo. – Zuza skinęła głową. – To znaczy wiem, że nie udzielacie bez nakazu sądu. Ja mogę go załatwić i na pewno to zrobię, rzecz w tym, że to potrwa, a moja przyjaciółka została porwana i jej czas najprawdopodobniej właśnie się kończy.

Przez moment panowało milczenie. Zuza nie mogła już w żaden sposób wzmocnić przekazu. Jeśli siostra się nie zgodzi, to ona będzie musiała postarać się o nakaz, ale przy dobrych wiatrach zajmie jej to tydzień. Nie miała tygodnia.

– Niech pani opowie do końca. – Zakonnica patrzyła na nią tak przenikliwie, że Zuzie aż dreszcz przeszedł po plecach.

– Karolina miała wtedy szesnaście lat, ojciec dziecka podobnie, zresztą to bez znaczenia, bo kompletnie się zawinął, a ona nie była gotowa na macierzyństwo, nie umiała dać dziecku tego, co powinno dostać. Chłopca po urodzeniu przekazała do okna życia w szpitalu na Karowej.

Siostra skinęła głową. Czekwała świadoma tego, że to dopiero początek historii.

– Przyjaźnimy się od zawsze. Wtedy też się przyjaźniłyśmy, byłam z nią w tym szpitalu. – Zuza spuściła głowę. Świdrujące spojrzenie siostry było w tym momencie zdecydowanie ponad jej siły. – Dziś od mamy Karoliny dowiedziałam się jednak czegoś, o czym do tej pory nie miałam pojęcia – odezwała się znowu po krótkiej przerwie. – Okazuje się, że po jakimś czasie Karolina w jakiś sposób odnalazła adopcyjnych rodziców dziecka, dotarła do nich, zaczęła pracować jako opiekunka przy małym...

Teraz Zuza się zawahała. Czy jeśli powie o romansie Karoliny, siostra nie zamknie tematu? Po chwili uznała jednak, że jeśli nie skłamało się przy A, to nie można też skłamać przy Z. Poza tym zakonnica świdrowała ją wzrokiem tak mocno, że żadne kłamstwo i tak by się nie prześlizgnęło.

– Później miała romans z ojcem adopcyjnym swojego synka, rozbiła tamto małżeństwo, romans potem też się skończył, a teraz, prawie dwa tygodnie temu zniknęła i... – Zuza chciała przejść do naciąganej lekko hipotezy śledczej.

– I podejrzewa pani, że ktoś może się na niej mścić, albo facet, że skończyła romans, albo kobieta za to, że romans zaczęła. Ci rodzice dowiedzieli się, że to jej dziecko? – Siostra była naprawdę konkretna.

– Tego nie wiem. Mogę tylko przypuszczać, że tak, bo kobieta po rozstaniu się z mężem zabrała chłopca i kompletnie się podobno rozplęnęła.

W ciemnym, pełnym ciężkich mebli gabinecie siostry Marianny znów zapanowało gęste milczenie.

– Piotruś. – Siostra spojrzała na krzyż wiszący nad drzwiami.

Zuza gdzieś w środku odetchnęła z ulgą. Jeśli jest już imię, to może będzie więcej.

– Bardzo kochany chłopiec. – Zakonnica uśmiechnęła się, zdaje się do własnych wspomnień. – Był u nas trzy lata. Rodzice adopcyjni starali się o niego chyba dwa. Teraz i wtedy już też normy były bardzo wygórowane, wszystko musiało być sprawdzone. To dobrzy ludzie, szczególnie ona. Facet jak to facet, miał jakieś tam swoje słabostki.

– A jak oni się nazywali? – Zuza docisnęła, wyczuwając odpowiedni moment.

– Tego już naprawdę nie powinnam pani mówić. – Siostra jakby wybudziła się z powrotem do świata realności i zasad, które ten niósł.

– Wiem, ale właśnie to nazwisko jest najważniejsze w tym wszystkim. – Zuza znów była do bólu szczerą. – Jeśli jej zniknięcie jest w jakikolwiek sposób związane z nimi, to muszę do nich dotrzeć.

Zuza dostrzegła cień lęku na twarzy siostry Marianny, więc od razu postanowiła ją uspokoić.

– A jeśli nie mają z tym nic wspólnego, to muszę dotrzeć do nich tym bardziej, żeby ich wykluczyć.

– Proszę poczekać, muszę to sprawdzić, nie mam aż tak dobrej pamięci – odezwała się Marianna po chwili namysłu. – Ale to nie może wyjść... To znaczy, nie ode mnie będzie pani znała to nazwisko.

– To jest absolutnie oczywiste, siostró.

Zuza została w gabinecie sama. Nie była osobą przesadnie wierzącą, ale gdzieś w głębi serca czuła słabość do chrześcijańskiej wykładni wiary. Jezus był jej bliski. Wynikało to prawdopodobnie z tego, że jedyną osobą w jej domu rodzinnym, która stanowiła dla niej jakąkolwiek opokę, była babcia Janina, która wierzyła w Boga żarliwie i bezwarunkowo. Tak to się czasem niesie przez pokolenia: Zuza wzięła jej Boga, bo ona i jej miłość stanowiły jedyne ciepłe wspomnienie z dzieciństwa. Tutaj czuła się więc trochę, jakby wróciła do dawno opuszczonej krainy. Ściany obwieszane były świętymi obrazami, na wielkim ciemnym biurku leżał różaniec z kulkami wyslizganymi jak kamienna posadzka w kościołach, które odwiedzała z babcią przed trzydziestu laty.

– Ale kto to w ogóle jest? – Zenon wpatrywał się w instalację doprowadzającą powietrze do ich ciemnej nory.

– Nie wiem, mój sąsiad. Jak przyłaziłeś robić mi te wszystkie głupie numery, on mnie wspierał, potem się zbliżyliśmy... – Karolina siedziała na sienniku, próbując przesunąć uwierające ją w nadgarstki stalowe obejmy kajdanek.

– Jakie, kurwa, numery? – wciął się Zenon. – Ja się nawet do ciebie nie zbliżyłem. I nie mam pojęcia, gdzie mieszkasz.

– No to ktoś mi robił numery, to bez znaczenia. W każdym razie on się wtedy znalazł przy mnie i... I poszliśmy do łóżka. – Karolina nie była pewna, czy cała ta sytuacja bardziej ją obezwładniała i wpędzała w czarną rozpacz, czy raczej budziła w niej wściekłość. Najtrudniej zaś było jej oswoić myśl, że nie było to żadne z tych odczuć.

Jej samotność, potrzeba bliskości, zagubienie, wszystko to genialnie zdiagnozował Marek, jeśli w ogóle tak się nazywał, a następnie idealnie to wykorzystał.

Skąd wiedział o niej tak dużo? To pozostawało tajemnicą.

Może po prostu był psychopatą, a oni widzą wiele, a może chodziło o coś jeszcze innego, czyli o to, o czym myśleli w tej chwili oboje z tym obleśnym facetem siedzącym po drugiej stronie nory, z facetem, z którym przed laty łączyło ją całkiem niemało.

– Marczak. – Siostra wyrwała Zużę z nieomal mistycznej zadumy.

– Słucham? – zdziwiła się policjantka.

– To małżeństwo nazywało się Marczak.

– Zenon? – Zuza nie mogła uwierzyć.

– Owszem. Zenon i Barbara Marczakowie. – Teraz dla odmiany zdziwiła się zakonnica. – A skąd pani wie, że Zenon?

– Bo to właśnie Zenon Marczak kręcił się koło Karoliny, zanim zniknęła.

– Czyli jednak facet?

– Nie jestem pewna, siostrzo, ale bardzo dziękuję za pomoc i oczywiście nikt nigdy się o tym nie dowie, albo jeśli siostra woli, zdobędę za jakiś czas ten nakaz, żeby było alibi? – upewniła się Zuza, która w tym momencie myślami była już jednak zupełnie gdzie indziej.

– Nie, bez nakazu. Niepotrzebne nam jakieś prawne działania wokół naszego domu. – Głos siostry dotarł do Zuzy gdzieś zza woalu jej własnych myśli.

Pokiwała głową.

Do momentu eliminacji Zenona pozostawały trzy dni. Wszystko było przygotowane i zapięte na ostatni guzik. Po zabójstwie postanowił poćwiartować ciało w stodole. Słomę i ziemię, która uległaby zanieczyszczeniu krwią i płynami ustrojowymi, zamierzał spalić później, a fragmenty ciała zakopać w kilku miejscach wybranych wcześniej w lesie. Głowa i dłonie miały zostać rozpuszczone w kwasie w specjalnie przygotowanej w domu wannie. W ten sposób nawet gdyby doszło do odnalezienia części ciała, identyfikacja byłaby mało prawdopodobna. Z tego, co Marek ustalił wcześniej, Zenon nie miał żadnych bliskich żyjących

krewnych, od których można by pobrać próbki DNA, a szukanie tych dalszych zajęłoby prokuraturze zbyt wiele czasu, by zdecydowała się to przeprowadzić. Za trzy dni z małym okładem człowiek, który tak naprawdę w ogóle nie powinien chodzić po bożym świecie, miał zniknąć z jego powierzchni definitywnie.

Teraz Marek siedział na krześle i przypatrywał się na zmianę jemu i jej, Zenonowi i Karolinie.

– Jak się macie? – zapytał nagle ze szczerym uśmiechem.

– Spierdalaj – odparł Zenon.

– Czego od nas chcesz? – Karolina próbowała być miłsza.

– Właściwie niczego. To znaczy od niego na pewno niczego, a od ciebie jeszcze się okaże – wyjaśnił z sarkazmem Marek.

– Kto cię wysłał? – naciskał Zenon.

– Nikt mnie nie wysłał, sam się wysłałem. Już chyba o to pytałeś. – Marek trzymał fason.

Nie było mu przy tym szczególnie trudno, bo cała ta sytuacja sprawiała mu sporą przyjemność i nie odczuwał w związku z nią żadnego dyskomfortu.

– Tak ci się wydaje. – Zniechęcony sytuacją Zenon pokręcił tylko głową, po czym powtórzył to zdanie raz jeszcze jak echo, albo jakby była to jakaś jego mantra, teraz jednak wzbogacił je o jeden ze swoich ulubionych ozdobników. – Tak ci się tylko, kurwa, wydaje.

– Przywiozłem wam wodę i jedzenie. – Marek wskazał na torby z Biedronki stojące przy jego nogach. – Żadne frykasy, ale z głodu nie umrzecie.

– A z czego? – zapytał zaczepnie Zenon.

– Się okaże, nie znasz dnia, godziny ani sposobu.

– Ona cię dopadnie. – Zenon kontynuował dyskusję. – Ta policjantka cię wydłubie, pytanie tylko, czy zanim narobisz jeszcze więcej głupot, czy już niestety później.

– Niestety?

– Niestety dla nas i niestety dla ciebie. Na razie grozi ci kilka lat, może jeśli my we dwójkę powiemy, że dobrze nas traktowałeś, wyślizgasz się dwoma, wyjdiesz po roku. Jak narobisz większego bałaganu, pójdiesz na dwadzieścia pięć i po życiu – wyjaśnił.

– Większego bałaganu? – Marek nadal udawał mniej inteligentnego, niż był w rzeczywistości.

– Tak... czyli w rękach Zuzy jest teraz los nie tylko nasz, ale też twój – włączyła się do dyskusji Karolina.

– A skąd pomysł, że mnie wydłubie? – zapytał przekornie.

– A stąd, że nie jesteś tak głupi, jak teraz udajesz, ale nie jesteś też tak inteligentny, jak ci się wydaje. – Karolina była tak zdesperowana i zmęczona, że nie miała już siły na mielenie w kółko ogromu myśli pobocznych, dzięki czemu całą uwagę skupiała na sprawie i z chwili na chwilę stawała się coraz bardziej przenikliwa. – Więc ona cię dopadnie. Pytanie tylko, z jakich paragrafów będą cię rozliczać.

Tak naprawdę nie chodziło o paragrafy, lecz o coś zupełnie innego. Marek nie wiedział na razie dokładnie o co, ale narastał w nim jakiś rodzaj dyskomfortu. Im bliżej było tego dnia, tym dziwniej się czuł.

– Idę – powiedział nagle. – Wrócę za parę dni. Nie świrujcie, bo zrobicie sobie krzywdę, a podążając tokiem waszego myślenia, zapłacimy za to wszyscy.

32. BARBARA

Zuza prosto z wizyty w sierocińcu wróciła przed swoje biurko, ale po drodze poprosiła jednego z młodszych wiekiem, stażem i doświadczeniem kolegów, żeby przejrzał dla niej krajowy system informacji policji w poszukiwaniu Barbary Marczak.

– Znalazłem chyba tę kobietę. – Aspirant przywitał ją już od wejścia dobrymi wieściami.

– Super. Przy czym się objawiła? – ucieszyła się Zuza.

– Założyła niebieską kartę temu swojemu mężowi – wyjaśnił. – Tylko to było jakieś czternaście lat temu.

– To by się zgadzało, wtedy się rozstali, może potem ją nachodził. Po typie takim jak Marczak można się wszystkiego spodziewać. Swoją drogą nie wiem, jak to możliwe, że im dali to dziecko do adopcji – zastanawiała się Zuza.

– Dali im, bo to jest pierwsze odnotowanie tego Marczaka w KSIP-ie. Wcześniej nic na niego nie ma, ani w archiwach, ani w kartach karalności. Może nie był aniołem, ale wtedy nie był też bandziorem. – Aspirant wskazał rubrykę w wydrukowanym raporcie.

– Czyli się stoczył. – To też nie zdziwiło specjalnie Zuzy, choć z drugiej strony uświadomiło jej, jak dużo złego wydarzyło się w życiu tych ludzi po tym, gdy pojawiła się w nim jej przyjaciółka.

– Na to wygląda – potwierdził młody.

– Mamy adres? – zapytała raczej pro forma.

Była przekonana, że choć może to nie wyjaśni całej sprawy, to jednak już za góra godzinę będzie mogła porozmawiać z panią Barbarą.

– I tu się zaczynają schody. – Młody uciekł wzrokiem.

– Schody?

– Tak, pani Barbara Marczak mniej więcej od dwóch lat kompletnie zniknęła z radarów. – Pokiwał głową.

– Zniknęła?

– To znaczy nigdy nie była przez nas obserwowana, ale miała konta w banku, telefon na abonament, adres, kartę biblioteczną... To wszystko zniknęło na przestrzeni roku, a definitywnie właśnie dwa lata temu.

– Zmarła?

– Nie, bo byłby akt zgonu, a tego też nie ma.

– Nieźle, to wszystko przepracowałeś. Czyli? Masz jakiś pomysł? – Zuza była naprawdę zaskoczona i to zarówno tym, że Barbara zniknęła, jak i tym, że ten młody aspirant tak wiele już w tej sprawie ustalił.

– Wychodzi na to, że musiała zmienić dane. Rzecz w tym, że chyba nie tylko swoje, ale przy okazji syna, bo i on przestał się pojawiać gdziekolwiek w dokumentach. – Aspirant z satysfakcją błysnąłby jeszcze większą wiedzą, ale teraz samozadowolenie zniknęło z jego twarzy. – No i tu utknąłem. Nie wiem, gdzie dalej szukać.

– Zaraz coś wymyślimy. Dzięki, kawał roboty odwalileś, nie będzie ci to zapomniane. – Zuza się uśmiechnęła.

Jednocześnie teraz już naprawdę coś ją tknęło. Gdyby kobieta zmieniła dane wtedy, przed laty, zaraz po rozstaniu z przemocowym mężem, który ją zdradził z Karoliną, to byłoby co innego. Dlaczego jednak zrobiła to zaledwie dwa lata temu? „Coś wymyślimy”. Tylko co? – zastanawiała się Zuza. Można zwrócić się do USC, ale do którego? Może sprawdzić PESEL Barbary, tam powinny być zapisane nowe dane. O ile zrobiła wszystko, jak należało, czyli przeprowadziła zmianę przez urząd, i o ile później urząd zrobił to, co należało, czyli wprowadził tę zmianę do

systemu. Swoją drogą, wedle jej wiedzy, nazwiska nie można było zmienić ot tak sobie. Trzeba było podać konkretny powód. Na przykład taki, że nazwisko działa ośmieszająco. Marczak może nie było szczególnie arystokratyczne, ale też na pewno nie miało żadnego komicznego wydźwięku. A może jeszcze inaczej? Może Barbara przeprowadziła rozwód i po prostu formalnie wróciła do swojego panińskiego nazwiska, albo wyszła za mąż ponownie i wtedy będzie nawet trudniej?

– Wojtek! – zawołała Zuza w stronę oddalającego się już młodego, prężnego aspiranta. Przy okazji próbowała sobie przypomnieć, jak ten chłopak w ogóle się nazywał, oprócz tego, że Wojtek.

– Tak, pani komisarz? – Wojtek sekundę później znów stał przy jej biurku.

– Sprawdź, jak ona się nazywała z domu, po rodzicach, i poszukaj jej pod takim nazwiskiem – poprosiła.

– Pięć minut. – Aspirantowi udzielił się chyba pośpiech, który na pewno było po niej widać.

33. TREMA

Marek czuł się coraz bardziej spięty. Tak jakby zbliżająca się data pierwszego zabójstwa zaczęła na niego działać deprymująco. Nadal pojawiała się ekscytacja, ale nie w tak czystej już formie jak wcześniej.

Przypominało mu to trochę ten moment po wypiciu alkoholu, kiedy mijała wstępna euforia i zaczynały dawać o sobie znać skutki zatrucia. Taka trzecia nad ranem na weselu – pomyślał, otwierając drzwi do mieszkania na Jadwisinie. Ostatnio stał się tu już dość częstym bywalcem, bo też spotkania z Julią zyskały bardzo na częstotliwości, a przed nią za nic nie chciał ujawniać swojego drugiego adresu. Trochę żałował, bo tam mniej było wspomnień i przez to panowały też lepsze warunki do tego, co robili razem przez przeważającą część czasu, czyli do seksu. Ten przynosił mu co prawda od kilku dni wyraźne odprężenie, ale niestety takie panaceum nie działało zbyt długo. Po godzinie, góra dwóch stan niepokoju powracał i to bez względu na to, jak mocno, jak brutalnie i perwersyjnie by to robił.

Tym razem Marek zmodyfikował swoje wcześniejsze postępowanie i dał Julii klucze do mieszkania. Nie było w nim nic, co w jakikolwiek sposób mogło ujawnić jego drugie ja, jego inne życie, więc nie miał żadnych obaw, a jednocześnie taki kredyt zaufania mógł mu zapewnić większą ufność także z jej strony.

Kiedy wszedł do mieszkania, był w szoku.

Wszędzie paliły się świece, w powietrzu czuć było zapach jakby palonego drzewa, okna szczelnie zamknięte, gdzieś w tle sączyła się dziwna muzyka rodem chyba z jakichś internetowych stron o samouzdrawianiu.

– A co tu się dzieje? – zapytał, gdy w przedpokoju pojawiła się Julia w narzuconym na nagie ciało zwiewnym szlafroku w kwiaty.

– Tu... – Kobieta uśmiechnęła się z dziwnym spokojem. – Tu jest miejsce, w którym wreszcie porządnie odpoczniemy.

– Ale ja... – Marek bodaj po raz pierwszy od kilku miesięcy nie miał pojęcia, co powiedzieć.

– Ty jesteś zmęczony od dawna, masz na głowie bardzo dużo rzeczy, musisz się zrelaksować. A ja ci w tym pomogę. – Ostatnie zdanie Julia powiedziała wyraźnie kokieteryjnie.

– Jasne. – Marek przystał na propozycję, ale tak naprawdę nadal był lekko zszokowany.

Najpierw było sushi, które jadł, spoglądając na delikatnie prześwitujące przez poły szlafroka piersi Julii. Później był wspólny prysznic z wzajemnym nacieraniem się olejkami, wreszcie to, na co czekał od momentu, gdy zobaczył ją w jedwabiu. Seks we wszystkich możliwych wariantach, wielokrotny i wyczerpujący tak bardzo, że nawet nie pamiętał, jak zasnął. Obudził się raptownie w środku nocy. Julii nie było przy nim, gdzieś z oddali doszły go dziwne dźwięki. Wstał i przeszedł do pokoju obok. Tu zastał Julię siedzącą w kucki i w jakimś dziwnym transie szepczącą słowa, których nie rozumiał, więcej nawet – nie wiedział, z jakiego pochodzą języka. Ona spojrzała na niego, a w jej oczach była jakby otchłań czarnej pustki, po tym nastąpiło nic. W końcu obudził się ponownie i wtedy był już ranek. Jej znów nie było przy nim, ale zastał ją w kuchni ubraną już zupełnie normalnie w krótką koszulkę, spod której seksownie wystawały fragmenty pośladków.

– Co robiłaś w nocy? – zapytał.

– W nocy? W nocy spałam jak zabita, a ty? – Uśmiechnęła się, podając mu filiżankę z kawą.

– Obudziłem się, przynajmniej tak mi się wydaje, poszedłem do pokoju obok, a tam ty siedziałaś po turecku na podłodze i szeptałaś jakieś dziwne słowa –

odpowiedział, patrząc na nią.

– To na pewno ci się wydawało. – Zaśmiała się, ukazując dwa rzędy białych jak kreda zębów.

34. DEPRESJA

Marek od pewnego czasu nie miał kontaktu z Zużą, więc przestał się już tak bardzo przejmować tym, gdzie jest i o jakiej godzinie, ale jednak przynajmniej część czasu starał się spędzać na Woli, a telefon zostawiał tu na stałe, stosując jedynie wymyk z przekierowaniem połączenia. Po pierwsze, Zuza mogła się zjawić, po drugie, chciał być widoczny także dla tutejszych sąsiadów. Najpierw bardzo cicho wszedł po schodach i do mieszkania, a chwilę potem ubrany w szlafrok całkiem głośno wyszedł na klatkę i znów zaczął dobijać się do Karoliny. Pół godziny po odbyciu tego rytuału wyruszył do pracy. Przez cały czas zerkał też na przekaz z kamer podglądu zainstalowanych w pieczarze. Były one zresztą ustawione tak, że informowały go o każdym ruchu, który wydarzał się wewnątrz. Powiadomienia przychodziły nawet w nocy, gdy któreś z tamtej dwójki przewracało się z boku na bok. Było to nieco męczące, bo Marek reagował niemal na każde z takich powiadomień, zaglądając w obrazki z kamer. Nikt jednak nie mówił, że będzie łatwo – Marek uśmiechnął się do swoich myśli.

– Nikt w ogóle nic nie mówił – dodał po chwili sam do siebie, tak jakby chciał się koniecznie w czymś utwierdzić.

– Co mówisz? – Roman popatrzył na niego zdziwiony.

– Nic, coś tu czytam.

– Może powinieneś się w końcu ustatkować, jakaś kobieta, dziecko, jacyś ludzie w chacie, bo zaraz zaczniesz mi tu wariować – dogryzł mu Roman.

– Już byłem ustatkowany, wystarczy na razie – odbił piłeczkę Marek.

– Byłeś, ale sam sobie to popsuleś. – Roman dziś nie odpuszczał.

– Sam o tyle, o ile. – Marek przerzucił stronę w jakimś dokumencie, który właśnie analizował. – To znaczy sam własną chorobą.

– Jaką chorobą? – zdziwił się Roman. – Erotomania zyskała miano choroby? W sumie może powinna. – Zaśmiał się ze swojego żartu.

– Nie erotomania, tylko depresja. – Marek przerwał pracę i spojrzał na Romana zdziwiony.

– Depresja? Może to się kiedyś i skończy depresją, ale na razie żadnych symptomów nie zauważyłem. Wywaliłeś żonę z domu, bo ci przeszkadzała w romansie, i teraz się wymawiasz depresją? Dobrze.

– W jakim romansie? – Zdziwienie Marka narastało. – Co ty opowiadasz?

– Gdybym cię z nią nie widział na własne oczy, tobym pomyślał, że moja chora od wódy pamięć płata mi figle. – Roman błysnął samoświadomością. – Ale sam mi ją przedstawiałeś, więc nie świruj.

– Kogo? – Marek nic nie rozumiał.

– No tę jakąś panią, nie pamiętam, jak się nazywała. – Roman też był już teraz mocno zdziwiony. – Słyszałem, że ludzie wypierają różne rzeczy, ale żeby facet sam przed sobą wyparł romans, to jakieś novum.

Marek zaczął podejrzewać, że z Romanem od ilości wypitego alkoholu zaczęło dziać się coś niepokojącego. Może wczesny alzheimier, może delirium w fazie wytwórczej?

– Z drugiej strony jak się jest takim casanovą, to można którejs z tych wszystkich pań nie zapamiętać. – Roman się zaśmiał. – Nawet Kasparow by nie pamiętał.

Czyli demencja mało prawdopodobna, pomyślał Marek. Może to jakiś prank, może Roman go w coś wkręca. Robił czasami takie numery.

– Ola sama odeszła, ja jej nie wyrzucałem – powiedział jednak chwilę później, próbując grać dalej w grę z Romanem.

– Zwał jak chciał, każdy człowiek ma jakiś swój limit. – Roman brnął dalej. – W każdym razie chyba bardziej ci służyło, jak jednak była.

– Pewnie tak. – Marek nie zamierzał wdawać się w dalsze dyskusje na temat tego, co było rzeczywistym powodem odejścia od niego jego żony razem z synem, ale zastanowiła go informacja o rzekomej poliamorii, której wedle Romana był ofiarą, a której kompletnie nie postrzegał jako swojej przypadłości.

No i jeszcze kochanka, która była ostatecznym powodem jego rozstania z żoną? Rozstania, którego był sprawcą, a nie ofiarą? Inaczej to zapamiętał, ale głupio mu było dopytywać o to kolegi zza sąsiedniego biurka.

– Czyli jednak wyparcie nie zna granic – skwitował tamten, przyglądając mu się jeszcze przez moment znad stosu papierów.

Dojście do tego, jak Barbara Marczak nazywała się przed ślubem, nie było trudne, podobnie jak ustalenie tego, jaki miała PESEL. Rzecz w tym, że nic to nie dało, gdyż jako że nie było obowiązku meldunkowego, policjanci nijak nie byli w stanie określić, gdzie Barbara mieszkała. Dodatkowym problemem było to, że nie figurowała w żadnym rejestrze zatrudnienia, nie miała też konta bankowego ani od wielu lat nie zgłosiła nic do urzędu skarbowego. Innymi słowy: była, nazywała się prawdopodobnie Poślednik, ale gdzie przebywała, ustalić na razie było nie sposób. Zuza przytłoczona tym faktem wpadła nagle w dziwny stan umiejscawiający jej psychikę gdzieś pomiędzy katatonią a atakiem paniki. Stąd naprawdę ciężko było ruszyć w jakąś konkretną stronę.

– W urzędzie skarbowym znalazłem jeszcze jedną – odezwał się siedzący gdzieś za nią jej nowy i pierwszy tak naprawdę w jej wieloletniej karierze policyjnej samozwańczy po części asystent aspirant Wojtek Korczak.

Jego nazwisko akurat udało jej się ustalić chwilę wcześniej, pytając o nie jednego z kolegów. Z nowym nazwiskiem Barbary było niestety o wiele trudniej.

– Jeszcze jedna? – zdziwiła się Zuza.

– Tak, jeszcze jedna, bo na imię też ma Barbara i też prawie Poślednik. – Chłopak zaśmiał się krótko.

– Mów. – Zuza nie miała czasu na żarty.

– Nazywa się, uwaga, Barbara Poslednik, ale kiedy sprawdziłem, jak naprawdę nazywa się z domu, to się okazało, że...

– Poślednik.

– Dokładnie. Może przypadkowo, ale raczej celowo, bo jest również różnica jednej cyfry w PESEL-u, przy powrocie do panińskiego zmieniła jedną głoskę w nazwisku. Nie wiem, jak to było możliwe urzędowo, może bałagan, a może bombonierka dla pani wypisującej kwit. W każdym razie jest także syn, Piotr Poslednik z domu... Marczak – skończył triumfalnie Wojtek.

– To ona. Nieźle się zakamuflowała swoją drogą. – Zuza nie miała żadnych wątpliwości. – Gdzie? Adres masz?

– Jakiś jest. Ulica Opaczewska...

– Ochota. Jedziemy! – Zuza wstała z fotela na kółkach, zerwała z oparcia swoją skórzaną kurtkę i ruszyła w kierunku drzwi do gabinetu.

Marek po wyjściu z pracy zastanawiał się trochę wciąż nad dziwnym prankiem Romana. Po tej rozmowie najpierw nie chciał już do niej wracać, bo głupio mu było wyjść na idiotę, jeśli okazałoby się, że kolega go wkręcał. Później zaś, gdy zdecydował, że jednak jakoś się do tego odniesie, Romana już nie było. Nie zaskoczyło go to szczególnie, bo Roman, który żył w rytmie naprzemiennej alkoholowej fazy i kaca następującego po niej, musiał bardzo pilnować godzin następowania jednego po drugim. Gdyby kiedyś za bardzo się spóźnił, między kacem a powrotem nirwany mogło dojść nawet do wystąpienia objawów wspomnianego *delirium tremens*. O to, że Romek właśnie tym razem zawalił timing z tym związany, zresztą go Marek podejrzewał.

Początkowo zamierzał pojechać najpierw na kilka godzin na Wolę, a dopiero bliżej wieczora udać się na Jadwisin, na kolejne spotkanie z Julią zjawiającą się już teraz w jego starym mieszkaniu cyklicznie i właściwie co wieczór. Po wkrętce skacowanego Romana plan jednak uległ modyfikacji i Marek, nie zważając już kompletnie na ewentualne konsekwencje, gdyby na przykład Zuza postanowiła

prześledzić jego marszrutę także z dzisiaj, ruszył z Koziej prosto do swojego mieszkania na Okęciu. Zamiast kompromitować się przed Romanem, zdecydował się dla spokoju sumienia spróbować sprawdzić to, co kolega zasugerował za pomocą zdjęć i innych artefaktów znajdujących się w szufladach biurka, komód i etażerek w jego domu. Po drodze jednak zaniepokoiło go trochę, że w ogóle przyszło mu do głowy, by to sprawdzać. Czyżby podstępna depresja zamierzała powrócić? Taka perspektywa przerażała go najbardziej.

35. POSZUKIWANIA

Zuza razem z towarzyszącym jej Wojtkiem stała tymczasem od kilku minut przed drzwiami mieszkania, które w Pierwszym Urzędzie Skarbowym Warszawa-Śródmieście wpisane było jako adres zamieszkania pani Barbary Poslednik. Pomimo wielokrotnych prób dzwonienia i pukania nie doczekali się otwarcia drzwi. Z wnętrza mieszkania nie dochodził też najmniejszy nawet szmer, czyli wiele wskazywało na to, że albo rzeczywiście nikogo w nim nie było, albo osoba, która się tam znajdowała, bardzo nie chciała, by to wyszło na jaw.

– Ich z miesiąc już tu nie ma – usłyszeli nagle za plecami.

Z wąskiej szpary między uchylonymi drzwiami a ościeżnicą mówiła do nich siwa staruszka, która mogła mieć góra metr pięćdziesiąt wzrostu.

– Dziękujemy bardzo. A może wie pani, gdzie moglibyśmy ich znaleźć? – zapytała Zuza, kierując swój wzrok w dół.

– Wy, czyli kto? – zainteresowała się kobieta.

– My, czyli policja. – Zuza sięgnęła pod połę skórzanej kurtki, spod której wydobyła blachę. – Komisarz Zuzanna Walicka, Komenda Stołeczna Policji, a to mój kolega, aspirant Wojciech Korczak. – Wskazała na stojącego za nią młodzieńca.

– A wy mundurów to już nie macie? – zdziwiła się starsza pani.

– Mamy, ale używamy tylko w pewnych sytuacjach. Na co dzień staramy się nie rzucać w oczy za bardzo – wyjaśniła cierpliwie Zuza.

– Byście mieli, tobym nie musiała pytać – logicznie uzasadniła kobieta. – Nie wiem, gdzie oni się podziali, ale to w ogóle takie dziwaki, że zawsze czułam, że coś z nimi będzie.

– Dziwaki? – zdumiał się aspirant.

– No, odludki takie, z nikim nie gadają, ledwo na dzień dobry odpowiedzą, nic człowiek nie wie, a dziesięć lat tu mieszkamy razem – rozgadała się sąsiadka.

Pokiwali głowami, na moment rozmowa zawisła w ciszy.

– Jej siostrę zapytajcie.

– A gdzie ją znajdziemy?

– Nie wiem. To wy jesteście policja, nie ja. Wiem, że ona taka pijąca raczej, kiedyś mieszkała tu z nimi parę lat, ale to się nie udało i tu im się akurat nie dziwię. Mariola ją wołają chyba.

– A nazwisko? – Wojtek był czujny i skrupulatny.

– Nazwisko? No chyba takie jak siostra, nie?

– A to już zależy, bo jak mąż na przykład... – Zuza zaczęła tłumaczyć.

– Jaki mąż? Co pani? Taką pijaczkę kto by tam chciał?

Marek od razu po wejściu do domu chciał się wziąć za szukanie czegoś, co potwierdzałoby albo z większym prawdopodobieństwem obalało tezę Romana odnoszącą się do jego rozwiązłości ewentualnie do depresji, której – zdaniem kolegi – nigdy nie miał. Naprawdę chciał się do tego zabrać, ale nie było jak, bo okazało się, że Julia, której klucze dał kilka dni wcześniej, czekała na niego. Sama skończyła już tego dnia pracę, postanowiła zatem przyjść i przygotować coś do jedzenia, a przy okazji zdaje się przygotować też siebie. Marek, kiedy tylko zobaczył ją kręcącą się po mieszkaniu w króciutkiej, skórzanej, czarnej spódnicy, spod której przy każdym pochyleniu wysuwały się koronkowe zakończenia pończoch, kompletnie zapomniał o tym, co przyciągnęło go tutaj dziś tak wcześnie. Julia też wydawała się zaskoczona tym, że pojawił się o siedemnastej, a nie – jak się wcześniej umawiali – o dwudziestej. Nie było to jednak zdaje się dla niej zaskoczeniem z gatunku tych nieprzyjemnych.

– Miałem jeszcze coś do załatwienia po pracy, ale ktoś odwołał spotkanie i przyjechałem prosto z roboty – tłumaczył się, choć nie musiał, był w końcu u siebie w domu.

– To co, może wyjedziemy wcześniej? – Julia przywołała temat, o którym już jakiś czas nie rozmawiali. Temat ich wspólnej wyprawy w nieznane.

– Na razie jeszcze nie mogę – usprawiedliwił się. – Muszę być na miejscu.

– Ale nie musimy jechać daleko, gdzieś chociaż pod miasto, żeby oderwać się od tego wszystkiego na chwilę. – Uśmiechnęła się łagodnie. – Mówiłeś, że masz jakiś dom na wsi.

Marek był zaskoczony. Wydawało mu się, że nie mówił Julii nigdy o domu na wsi. A może mówił? Ale jeśli, to po co? Przecież to była z wiadomych względów w tym momencie tak naprawdę najbardziej tajna wiedza, jaką w ogóle posiadał. Może przeszperała rzeczy, pomyślał, chociaż zadbał już zawczasu o to, by na wszelki wypadek nigdzie nie można było trafić na żadne dokumenty dotyczące domu w Bogatkach.

– Jaki dom na wsi? Nie mówiłem ci, że mam dom, a tamten po rodzicach już dawno sprzedany – zareagował po chwili oburzeniem, które trochę wynikało z rozmysłu, a trochę było efektem nagłego ataku paniki.

W ten sposób, jeśli miałyby kiedykolwiek ułożyć sobie życie z tą kobietą, kłamstwo na zawsze pozostanie między nimi. Nigdy nie będzie jej mógł pokazać swojego domu. Inna rzecz, że i tak by jej go nie pokazał. Po zakończeniu tej operacji i po oczyszczeniu terenu z wszelkich śladów nie zamierzał się tam i tak pojawiać. Przynajmniej do czasu, kiedy znów naszłaby go ochota na coś szalonego, ale nad tym się przynajmniej na razie jeszcze nie zastanawiał. Tak czy owak, jego dom rodzinny musiał w tej sytuacji pozostać miejscem tajnym już na zawsze.

– Wydawało mi się, że coś wspominałeś, ale może to tylko takie moje myślenie życzeniowe, zawsze marzyłam o takim ustroniu, gdzieś poza tym wszystkim. – Julia posmutniała nagle.

– Poza czym wszystkim? – zainteresował się, próbując trochę na siłę samemu przed sobą uznać, że wiadomość o jego „domu na wsi” była jedynie jakimś nieporozumieniem.

– Poza tym zgiełkiem, bałaganem, chaosem – wyjaśniła bez entuzjazmu.

– Chyba czuję, o co ci chodzi – skłamał, ale nie dlatego, że nie czuł, a dlatego raczej, że zajmowało go teraz coś zupełnie innego. – Pojedziemy gdzieś razem na bank, ale za kilka dni.

– Za ile? – dopytała z takim zaangażowaniem, jakby zależało od tego coś bardzo ważnego.

– Za... – Marek dokonał w głowie szybkich obliczeń. – Dziesięć?

Zenon ma zginąć jutro, Karolina tydzień po nim, później ze dwa dni będzie potrzebował na to, żeby zatrzeć wszelkie ślady. W sumie dziesięć dni.

– A szybciej się nie da? Masz w pracy dzień na żądanie, potem jest weekend – nalegała Julia.

Marek nie chciał, a właściwie nie mógł powiedzieć po prostu „nie”. Koronkowe pończochy kusiły zbyt mocno.

– Zobaczą jutro, jak się sprawy mają, postaram się załatwić, ile się da. Później może wyskoczymy na te trzy dni. – Kupił sobie trochę czasu.

Potem zjedli, kochali się znów wymyślnie i wyczerpująco, a kiedy Julia zasnęła, Marek wstał i ruszył do stojącej w pokoju obok sekretery. To tam zgromadzone były w większości wspomnienia z czasów minionych. Listy, zdjęcia, albumy, pamiątki i inne rzeczy, które mogły swoim kształtem, kolorem albo zapachem przywołać urywki pamięci. Pierwsze szuflady przyniosły rozczarowanie w postaci stosów instrukcji obsługi do rzeczy, których od dawna nie było już w tym domu, do tego jakieś wyblakłe paragony prawdopodobnie robiące za gwarancję do owych rzeczy, umowy z telefoniami komórkowymi, gazownikami i kablówkami. W następnej szufladzie znalazł w końcu jedyne w tym domu trzy albumy ze zdjęciami, foty z kolegami z pracy, z rodzicami, z Olą i synkiem, z jakimiś ludźmi nad morzem w Chorwacji, z Romanem i grupowe z ministrami z jakichś wyjazdów,

ale żadnych z kobietami. Wyrzucił? Pamiętałby, że wyrzucał? Inna rzecz, że jeśli ma się żonę i syna, to raczej zdjęć z kochankami nie trzyma się w szufladach obok zdjęć z rodziną. No, ale jakieś inne elementy, jakaś kobieta na zdjęciu grupowym, której obecność przywołałaby coś szczególnego z pamięci. Notesy, notatki, pocztówki. Nic nie wyciągało z jego głowy żadnych obrazów, wspomnień na temat jego domniemanej erotomanii. W kolejnej szufladzie koperta z badaniami; morfologie, USG jamy brzusznej, rezonans kręgosłupa w odcinku lędźwiowym, jakieś recepty od laryngologa, od internisty, pantomogram od dentysty, ale żadnych śladów kontaktu z psychiatrą czy choćby psychologiem. Jeśli ma się depresję, raczej gdzieś się z tym chodzi. Wyparł, usunął, podarł? Może ze względu na Olę, żeby nie miała dowodów w sądzie – pomyślał. Przepatrzył ostatnie szuflady, lecz więcej zdjęć ani dokumentów nie było, część zabrał już wcześniej, inne wyrzucał sukcesywnie. Żadnych więcej papierów z jego nazwiskiem ani zdjęć z nim. Jeszcze tylko jakieś pamiątki po mamie.

– Czego szukasz? – Marek usłyszał nagle za sobą miękko -senny głos Julii.

Najpierw aż go poderwało z zaskoczenia, po chwili odwrócił się do niej. Stała naga. Jej wygląd nie wskazywał jednak na to, żeby była tak zaspana, jak mogło się wydawać po głosie, właściwie w ogóle nie wyglądała na zaspaną, a przecież spała, kiedy wychodził z sypialni dziesięć minut wcześniej.

– Dokumentów – odpowiedział cokolwiek, żeby coś odpowiedzieć.

– Jakich dokumentów? Jest trzecia nad ranem – zdziwiła się. – Chodź, rano poszukasz.

Przez kolejne godziny Marek już nie zasnął. Próbował zrozumieć, o co w tym wszystkim chodzi. Do tej pory Ola i Adaś funkcjonowali w jego pamięci jako ci, którzy opuścili go w potrzebie. W ogóle starał się nie myśleć o nich zbyt wiele, żeby nie tęsknić, żeby to nie wytrąciło go z ogólnej równowagi, którą zapewniała mu psychopatyczna nirwana. Teraz zdał sobie jednak sprawę, że oprócz samego momentu ich odejścia nie pamiętał za bardzo wydarzeń wcześniejszych. Tak było od zawsze, tyle że wcześniej uznawał, iż zdarzenia z pamięci wycięła mu kliniczna

depresja. A teraz? Teraz nadal tak uważał, ale po dziwnej rozmowie z Romanem coś zaczęło mu się nie zgadzać. Może zresztą nie o rozmowę chodziło albo w każdym razie nie głównie o nią. Może ten, już wcześniej zauważony, stan ogólnego niepokoju zaczął rzutować na bezwzględnie jasny do tej pory stan jego umysłu. Przy okazji dotarło do niego, gdy patrzył na zdjęcia Oli i Adasia, że właściwie nie bardzo pamiętał ich twarze. Jak można nie pamiętać twarzy własnej żony i własnego dziecka? Kiedyś, gdy był młody, zdarzało mu się zakochiwać tyleż gwałtownie, co przelotnie. Wtedy myślał o dziewczynach, które go zafascynowały czasem tak bardzo, że w końcu zapominał ich twarze. Tyle że to były dziewczyny widziane najczęściej przez chwilę, a nie żona, z którą było się kilkadziesiąt lat, nie syn, który się przy nim wychował. No i sama depresja. Co z nią robił? Może niedużo. Depresja wedle jego pobieżnej wiedzy charakteryzowała się między innymi tym, że niewiele miało się siłą robić. Coś jednak robić musiał, gdzieś chodzić, brać leki, odwiedzać poradnię. Z tego też nic nie pamiętał? Tylko dlaczego Roman twierdził, że Marek nie miał nigdy depresji? On także miał amnezję?

– Coś cię trapi? – zapytała Julia, kiedy jedli śniadanie.

Marek był nieobecny myślami, widać było po nim nieprzespaną noc. Jej pytanie było więc jak najbardziej zasadne.

– Nie, nie, okej, trochę słabo spałem – odpowiedział, unikając jej spojrzenia.

– A czego szukałeś wczoraj w nocy?

– Szukałem? – zdziwił się dla zyskania czasu.

– A co? Zastałam cię w ataku somnambulii? – Zaśmiała się cicho.

– Nie... szukałem... szukałem paszportu, być może pojedę w delegację do Anglii, a tam teraz już tylko z paszportem. – Marek znów się tłumaczył i znów kłamał.

– W środku nocy? – zdumiała się znów racjonalnie.

– Nie mogłem spać, przypomniałem sobie, że nie mam pojęcia, co z nim zrobiłem. To nie dawało mi spać jeszcze bardziej, więc postanowiłem poszukać – kłamał dalej, ale teraz już jakby płynniej.

– Znalazłeś? – Wydawała się wciąż nie do końca przekonana.

– Nie, chyba będę musiał zgłosić zagubienie i wyrobić nowy – przyznał ze smutkiem, który wypłynął z niego naturalnie, choć czego innego dotyczył.

– Masz miesiąc?

– Słucham?

– Pytam, czy masz miesiąc do wyjazdu. Tyle potrwa wyrobienie paszportu. – Uśmiechnęła się.

– Skąd wiesz?

– Wiem, bo sama już wyrobiłam. – Uśmiechnęła się znów, a on odniósł wrażenie, że jej uśmiech był jakby porozumiewawczy.

Już wyrobiła? Co to właściwie znaczy? Zastanawiał się, a po chwili przyszło mu do głowy, że po prostu wariuje. Może wynikało to z napięcia związanego z nadchodzącym dniem zabójstwa Zenona. Przy czym z Zenonem sprawa była zasadniczo prosta. Marczak był bandytą, krzywdził ludzi, więc Marek występował w roli każącego ramienia sprawiedliwości. Z Karoliną już tak prosto nie będzie, choć Marek gdzieś w środku żywił przekonanie, że ona też na pewno jest czemuś winna. Bez tego być może stare etyczne struktury jego mózgu nie pozwoliłyby na to. Bez tego nie mógłby nawet myśleć o tym, że ją zabije. Była winna? Ale czego?

– O czym myślisz? – Julia podeszła do stołu z jajecznicą na patelni.

– O niczym, planuję nasz wyjazd – odpowiedział, próbując zakamufłować swoje zagubienie mało szczerym uśmiechem.

Zuza bez większych problemów znalazła Mariolę Poślednik zameldowaną w mieszkaniu komunalnym na Żeraniu. Mariola nie wpuściła jej jednak bezproblemowo. To, że Walicka przedstawiła się jeszcze zza drzwi jako policjantka, nie pomogło, a raczej wręcz przeciwnie – Mariola jeszcze bardziej utwierdziła się w swoim postanowieniu, by drzwi nie otwierać. Dopiero wybieg aspiranta Korczaka polegający na obietnicy wynagrodzenia jej wysiłku gratyfikacją finansową przełamał lody. Zuza nie była wprawdzie zadowolona z takiego mocno

nieformalnego podejścia do sprawy ze strony swojego młodego kolegi, ale drzwi uchyliły się po chwili i jego wina poszła w zapomnienie.

– Dzień dobry pani? – Aspirant Korczak, stojąc w zagraconej kuchni, walczył z odruchem wymiotnym wywołanym fetorem.

– Taki sobie na razie. – Kobieta bardziej wycharczała, niż odpowiedziała ludzkim głosem.

– Czy moglibyśmy uchylić okno? – zapytał policjant, któremu oswojenie się z warunkami organoleptycznymi nie przychodziło łatwo.

– Przyszliście mi tu okna otwierać? – odparła kobieta, która choć tak naprawdę była w sile wieku, wyglądała na dość starą.

– Przyszliśmy zapytać o pani siostrę. – Zuza nie miała aż takich problemów z oddychaniem, do fetorów przyzwyczyli ją lata pracy w pionie śledczym.

– Ja nie mam siostry – odparła kobieta, po czym ciężko opadła na jedyne niepołamane krzesło w kuchni. – I otwórz to okno, młodzieńcze, skoro musisz.

Korczak, omijając ustawione w wielopiętrowe przyzmy kartony i hałdy szmat wymieszanych z puszkami po kocich konserwach i butelkami po ludzkim alkoholu, dotarł do okna i uchylił je ze skrzypnięciem spowodowanym faktem nieotwierania ich od plejstocenu.

– Ma pani siostrę, Barbarę – upierała się Zuza.

– Miałam może kiedyś, od dawna nie mam – burknęła Mariola.

– Nie ma pani, odkąd panią wyrzuciła z mieszkania na Ochocie – bardziej stwierdziła, niż zapytała policjantka.

– Albo i dłużej. Sporo wiecie. – Kobieta uśmiechnęła się, ukazując ciemne przerwy między jaśniejszymi nieco płaszczynami zębów, które jej jeszcze pozostały.

– Trochę wiemy, ale za mało – potwierdziła Zuza. – Musimy ją pilnie znaleźć.

– Bo? – zapytała Mariola, nagle bardzo konkretnie.

Ogólnie, jak na stan, w którym ją zastali, kobieta zdawała się wyjątkowo sprawna intelektualnie. Tym bardziej szkoda, przemknęło przez myśl Zuzie.

– Bo... próbujemy kogoś odszukać, a pani siostra może nam w tym pomóc. – Zuza nie wchodziła zbyt w szczegóły, ale nie szyła też z niczego, bo uznała, że zdradzając choćby kawałek prawdy, zyska więcej, niż nie mówiąc nic albo kłamiąc.

– Tego jej gacha? – Nie do końca konkretnie zapytała Mariola. – Szukacie tego jej byłego? Tego zbira? Jak on się nazywał? – Mariola spojrzała czujnie na Zuzę, jakby zadając to pytanie, chciała się zorientować, na ile rzeczywiście policja jest poinformowana i w czym.

– Jego też. Nazywa się Zenon, Zenon Marczak i jest byłym mężem pani siostry. – Zuza błysnęła wiedzą.

Mariola chwilę jej się przyglądała, po czym przekierowała spojrzenie na młodego aspiranta, który cały czas starał się stać jak najbliżej uchylonego okna. Korczak zrozumiał aluzję i ku ponownej dezaprobachie swojej przełożonej sięgnął do kieszeni, z której wyciągnął banknot pięćdziesięciozłotowy.

– Nie, ja nic nie wiem. – Mariola rozpoczęła negocjacje finansowe.

– W tej sytuacji będziemy musieli zabrać panią ze sobą na komisariat. – Zuza użyła argumentu pozamerkantylnego, który jednak odnosił się w jakimś sensie do tego samego, do sprawy najbardziej kluczowej dla Marioli, czyli do picia etanolu, które to zajęcie wydawało się mieć dla jej metabolizmu znaczenie większe od wdychania powietrza.

– Nigdzie nie idę.

W tym momencie Wojtek sięgnął do kieszeni raz jeszcze. Może nawet nie musiał już tego robić, na pewno przekonana była o tym Zuza, ale on sięgnął, bo choć wiedział, że Mariola i tak już teraz się zgodzi, to nie chciał jej upokarzać tym, że złamali ją lękiem. Zuza z jednej strony była trochę zła na podwładnego, z drugiej sama też oczywiście dostrzegła psychologiczną złożoność sytuacji i uznała, że policjant z empatią jest jednak czymś raczej rzadkim, a też zdecydowanie lepszym od policjanta bez niej.

– Ona mieszka teraz na Rakowcu. – Mariola patrzyła na dwie niebieskie pięćdziesiątki leżące na stoliku przed nią.

– Gdzie na Rakowcu? – Zuza nie była otwarta na dalsze negocjacje.

– Jasielska cztery mieszkania dwanaście – wyrecytowała Mariola i ściągnęła banknoty ze stołu do kieszeni.

Gdyby teraz chcieli je odebrać, musieliby już chyba użyć do tego broni służbowej.

36. SYN

Na Jasielskiej byli czterdzieści minut później. W mieszkaniu nie zastali wprawdzie nikogo, ale zza drzwi słychać było miauczenie kota, czyli ktoś musiał tu mieszkać. Zuza zastanawiała się chwilę, czy odpytywać sąsiadów na tę okoliczność. W końcu zdecydowała, żeby tego nie robić. Nigdy nie wiadomo, w jakim sąsiad czy sąsiadka byli stanie zażyłości z Barbarą. Jeśli na przykład się przyjaźnili, to z dużym prawdopodobieństwem można było założyć, że powiadomią panią Pośrednik *vel* Poślednik telefonicznie o ich przybyciu i wtedy kot może na przykład umrzeć z głodu. Nie odwiedzili więc sąsiadów, zamiast tego usiedli w samochodzie na dole i czekali. Po dwóch godzinach do klatki wszedł młody, na oko dwudziestoletni chłopak, a ponieważ już się ściemniało, wkrótce w obserwowanym mieszkaniu rozbłysło światło.

– Piotr? – zasugerował aspirant.

– Możliwe. A jeśli tak, to jest to też przy okazji prawdopodobnie syn mojej najbliższej przyjaciółki – odpowiedziała zamyślona Zuza.

– Wchodzimy? – zapytał chłopak, który był niewiele starszy od tego, za którym przed momentem zamknęły się drzwi od klatki schodowej.

– Na razie nie. Jeśli sąsiadka mogła zawiadomić, to on zawiadomi na pewno, więc musielibyśmy go zatrzymać, a nie mamy podstaw.

– Na razie?

– Jak mamusia się nie zjawi za godzinę albo dwie, nie będzie wyjścia – odparła Zuza, po czym sięgnęła po komórkę.

Kiedy zadzwonił telefon, Marek był akurat w mieszkaniu na Woli.

– Cześć – usłyszał w słuchawce znajomy głos policjantki.

– Cześć – odrzekł smutno, ale zaraz odpalił się, jakby korzystał z resztki zmagazynowanego gdzieś optymizmu czy może nadziei. – Macie coś?

– Może – odrzekła. – Żadnych znaków życia?

– Jakąś godzinę temu byłem pod drzwiami – potwierdził, a potem dodał, żeby czymś się wykazać: – Ale podejść jeszcze teraz.

Przez moment milczeli, on przemieszczał się pod drzwi mieszkania Karoliny, sekundy później Zuza usłyszała w słuchawce pukanie i dźwięk dzwonka.

– Nic – odezwał się Marek. – A wy co macie? – wrócił do sprawy, ale starał się jednocześnie nie pokazywać, jak bardzo go to interesuje.

Depresyjny ton jego głosu pomagał w utrzymaniu kamuflażu.

– Mamy kobietę, to znaczy prawie mamy... – zaczęła Zuza, ale się zawahała.

Problemy z przekazaniem pełnej informacji były dwa. Po pierwsze, nie powinna ujawniać danych z toczącego się śledztwa osobie postronnej, po drugie, ujawnienie wszystkiego uderzało dość mocno w *curriculum vitae* jej przyjaciółki.

– I co z tą kobietą? – przycisnął Marek, kiedy Zuza zamilkła na nieco zbyt długo.

Uznał wprawdzie, że już sama wiadomość o jakiejś kobiecie była dla niego wiadomością dobrą, bo oznaczała, że policja wciąż ślizgała się na lewych sankach, ale jednocześnie chciał wiedzieć więcej.

– Możemy się spotkać? – Zuza zerknęła na drzemiącego obok na miejscu kierowcy aspiranta Korczaka.

Jeśli miała coś powiedzieć Markowi, to na pewno nie w obecności tego chłopaka.

– Jasne. Kiedy? – zapalił się Marek.

– Jutro? – zaproponowała. – Może będę wiedziała już coś więcej.

– Jutro... – zawahał się.

Jutro trudno mu było się umówić, bo jutro miał pojechać na działkę, zabić tam Zenona i zutylizować jego zwłoki. Plan był napięty i dość czasochłonny.

– Mam zapchany harmonogram w robocie – dokończył.

– To po robocie – rzuciła.

– Po robocie... – Marek wiedział, że nie da rady się spotkać, ale nagle kompletnie nie był w stanie wymyślić dlaczego.

Sprawa była ważka, dotyczyła życia lub śmierci, argument, żeby się nie spotkać, musiał być naprawdę dużego kalibru.

– Mamy jakieś wieczorne spotkanie w URM-ie – rzekł w końcu. – Nie bardzo mam jak się z tego wyślizgać, minister i w ogóle – szył, ale czuł, że nie idzie mu za dobrze.

– To może dziś – wyszła z kolejną propozycją.

– Tak, dziś byłoby zdecydowanie lepiej. – To też nie było mu zbyt na rękę, bo umówił się już z Julią, ale z dwojga złego na pewno dziś było wyjściem lepszym niż jutro.

– Zadzwoń, jak tutaj skończę – powiedziała, wyglądając z samochodu w stronę wejścia do klatki. – Na razie.

Kiedy się rozłączyli, pomyślała, że coś w tej rozmowie nie było tak, jak być powinno. Przy czym nie chodziło nawet o to, że Marek nie miał czasu się z nią spotkać. Facet miał swoje życie, trudno, żeby podporządkował je teraz całej sprawie jakiejś sąsiadki, z którą poszedł kilka razy do łóżka. Po chwili namysłu zrozumiała, że nie chodziło o to co, a bardziej o to jak. Marek rozmawiał z nią trochę dziwnie, inaczej niż wcześniej. Może było mu po prostu głupio, że ma jeszcze jakieś inne sprawy? Czasem ludzie są mało asertywni i mają wobec samych siebie bardzo wygórowane wymagania. Zuza szturchnęła śpiącego obok Wojtka.

– Co jest? – Obudził się gwałtownie i od razu odruchowo sięgnął pod połę kurtki, gdzie miał kaburę z bronią służbową.

– Ja jestem. – Zuza się uśmiechnęła. – Chodź, idziemy do chłopaka, matka już się raczej nie pojawi.

Karolina siedziała, wpatrując się w ciemność. Światło, jak co noc, zostało zgaszone zdalnie jakieś trzy kwadranse temu. Chwilę rozmawiali z Zenonem, zastanawiając się nad umiejscowieniem tego wszystkiego w czasie. Karolina przypomniała sobie, że przysłała do nich do domu wtedy po raz pierwszy jakoś pod koniec lipca, ale nie pamiętała dokładnie kiedy. Nie wiedzieli też zresztą za bardzo, jaki był dzień teraz, trochę pokręciła im się rachuba. Zenon jako bardziej doświadczony w byciu pozbawianym wolności powinien był zacząć od razu, od pierwszego dnia oznaczać upływ kolejnych, ale tego nie zrobił i teraz ciężko było się już doliczyć. Gdzieś z tyłu głowy czuła, że powoli nadchodzi najgorsze. Miała świadomość, zresztą miał ją też Zenon – choć nie dzielili się akurat tym między sobą – że taka sytuacja zawieszenia nie może trwać wiecznie. Pokręcony Marek, do którego co gorsza wciąż głęboko w środku czuła jakiś rodzaj słabości, nie wsadził ich tutaj na przeczekanie, bo też i co właściwie miałyby przeczekiwać. Do tego sprawa dziwnie wiązała się z jej i Zenona wspólną, dawno zapomnianą przeszłością. Tylko co z tym wszystkim miał wspólnego jej sąsiad? Tego za cholere nie byli w stanie rozgryźć.

– Czyli nie wie pan, gdzie może być obecnie Barbara, to znaczy mama? – Zuza razem z Wojtkiem siedzieli na kanapie w maleńkim dwupokojowym mieszkanku na Jasielskiej, które, o czym świadczyły zgromadzone tu rzeczy, chłopak zajmował na co dzień ze swoją matką.

Mógł ich nie wpuścić. Tak naprawdę było wpół do jedenastej wieczorem, więc zasadniczo nie mieli prawa tu przebywać. Mógł ich nie wpuścić, ale tego nie wiedział, poza tym chłopak najwyraźniej nie żywił żadnych uprzedzeń do organów ścigania. W jego idealnym jeszcze na razie świecie policja była od tego, żeby zaprowadzać porządek i ścigać panoszące się zło. Akurat zresztą w tym rzadkim ostatnio przypadku ideał nie mijał się przesadnie z rzeczywistością. Zuza chciała zaprowadzić porządek i zniszczyć zło. Tyle tylko, że przy okazji ta sprawa dotyczyła jej wyjątkowo osobiście.

– Nie wiem. – Chłopak pokręcił głową, a oni nie mieli powodu, żeby mu nie wierzyć. Po chwili dodał jeszcze ze szczerym uśmiechem: – Mama chadza trochę własnymi drogami.

– A dokąd? – Aspirant Korczak jednak drążył.

– No właśnie to miałem na myśli, mówiąc, że własnymi: że nie wiem za bardzo. – Młody mówił z delikatną i typową dla tego wieku protekcjonalnością kryjącą brak pewności siebie. – Od jakiegoś czasu sporo jej nie ma w domu, chyba się z kimś spotyka, ale z kim, to nie wiem – wyjaśnił.

– Od jakiego czasu? – Do rozmowy powróciła Zuza, która kręciła się po pokoju, a nawet zaszła na moment do pomieszczenia obok.

– Od jakichś... – Chłopak znów próbował sobie przypomnieć. – Od jakiegoś pół roku.

– Od pół roku mama gdzieś znika, a pana to nie zaciekawilo? – Wojtek nie dowierzał.

– Zaciekawilo, ale ona nie mówi, to co mam zrobić? Łazić za nią, wycisnąć siłą? – Młody nagle się znarowił.

W jego zachowaniu wyczuwało się jakiś dyskomfort, gdzieś, nie tak wcale głęboko pod jego skórą, drgała narastająca teraz, ale ogólnie też chyba dość chroniczna frustracja. Nie wychował się raczej w zbyt cieplarnianych warunkach.

– A dlaczego wyprowadziliście się z mieszkania na Opaczewskiej? – uderzył aspirant z innego kierunku.

– Nie wiem tak do końca, nie było nas stać chyba, to jest mniejsze. – wzruszył ramionami, po czym dodał z narastającą frustracją w głosie: – Czy ona coś zrobiła? Coś jej grozi?

– Nie, raczej nie, szukamy jej tylko, żeby o coś zapytać – uspokoiła go Zuza.

– O coś? – Młody najwyraźniej nie dał się za bardzo uspokoić.

– O coś, o drobiazg pewien, ale nie mogę tego ujawnić, to się u nas nazywa tajemnica śledztwa. Prawo mi... nam – zerknęła na Wojtka – nie pozwala mówić o takich rzeczach.

Przez jakiś czas sytuacja zawisała w oczekiwaniu na dalszy rozwój wydarzeń.

– Proszę nam opowiedzieć o swoim dzieciństwie – zaryzykowała Zuza, która czuła, że przypływ jego frustracji może sprzyjać odpowiedzi na takie właśnie zainteresowanie z jej strony.

– Ale co o dzieciństwie? – nastroszył się młody.

– O ojcu, o relacjach, o rozstaniu rodziców? – Zuza szła po bandzie.

Doskonale wiedziała, że nie powinna zadawać takich pytań, ale to, czego nie powinna, interesowało ją coraz mniej. W grę wchodziło życie jej przyjaciółki, a tak naprawdę kogoś więcej niż przyjaciółki.

– Dlaczego mam o tym mówić? – Piotrek okazał się całkiem racjonalny.

– Bo to może nas doprowadzić do odpowiedzi na pytanie, które chcemy zadać twojej mamie, a nie mamy jak – wyjaśniła.

– Jakie pytanie? – dopytał chłopak.

– Jak już mówiłam, nie mogę powiedzieć, ale mogę zapewnić, że chcemy tylko dobrze, no więc...

– Mało pamiętam. Rodzice się rozstali, jak byłem mały – zaczął młody. – Potem mama nie miała partnera długo, aż chyba do teraz.

– Czyli własnymi drogami, ale jednak trochę się pan połapał – nieco zbyt bezpośrednio wciął się Wojtek.

– Trudno się nie połapać, mama jest zmieniona, odżyła ogólnie, widzę, że coś ją napędza, wcześniej był dół. No to chyba partner? – Młodzieńcowi ta bezpośredniość nieomal rówieśnika najwyraźniej nie przeszkadzała.

– Chyba tak... – potwierdziła Zuza. – Cokolwiek, co mogłoby nas naprowadzić? Na partnera w sensie.

– A to on jest problemem? On może zagrażać mamie? – Nagle chłopak znów się zdenerwował.

– Nie możemy tego wykluczyć – skłamała, trochę dla dobra sprawy, Zuza.

Tak naprawdę to mama tego młodego człowieka była związana z Zenonem i Karoliną, a nie jej partner, więc to o nią chodziło, ale chłopak nie musiał –

a nawet nie powinien był – tego teraz wiedzieć.

– On mieszka też na Rakowcu, ale tam za torami, to się właściwie Jadwisin chyba nazywa – odezwał się młody po chwili namysłu, podczas której ważył na jednej szali swój drobny sekret, a na drugiej zagrożenie bezpieczeństwa matki.

– Wie pan w miarę dokładnie gdzie? – ożywiła się Zuza.

– Tak. – Pokiwał twierdząco głową.

Teraz obawiał się, że zapytają skąd, a on będzie musiał im zdradzić, że jednak śledził mamę, ale nic takiego nie nastąpiło, bo po pierwsze nie interesowało ich, skąd wie, a po drugie zdawali sobie sprawę, że wie, bo ją śledził, i nie chcieli go tym żenować.

Chłopak nie umiał podać dokładnego adresu. Potrafił jednak wskazać miejsce, więc zabrali go ze sobą i po dwudziestu minutach byli pod drzwiami wskazanego mieszkania. Wewnątrz paliło się wprawdzie światło, lecz nikt im nie otworzył drzwi. Nie mieli również nakazu, a nawet gdyby go mieli, to musieli z wejściem poczekać do rana. To wszystko ustalili, stojąc z boku samochodu. Syn Barbary nie mógł się zorientować, jak poważna jest to sprawa. Wcześniej oczywiście dzwonili na telefon matki z jego aparatu, a także ze swoich, ale numer był nieaktywny, a z na szybko sprawdzonej przez znajomości Zuzy lokalizacji wynikało, że telefon pani Barbary logował się kilka godzin wcześniej w mieszkaniu zajmowanym z synem na Rakowcu oraz gdzieś w jego okolicy.

– Coraz dziwniejsze to wszystko – stwierdził Wojtek, przypalając papierosa.

– Coraz dziwniejsze, czyli jesteśmy coraz bliżej, ale też czasu coraz mniej.

– Może jednak się tam władować. – Wskazał w kierunku mieszkania. – Teraz.

– Po pierwsze, po takim numerze pójdziesz pracować jako ochroniarz na parkingu, a po drugie, wcale nie wydaje mi się, żeby to dało nam rozwiązanie. – Pokręciła głową. – Moim zdaniem tam nikogo nie ma.

– To gdzie ona jest? – zapytał retorycznie aspirant.

– Nie wiem, gdzie jest. Teraz na szybko trzeba znaleźć, kto tu mieszka i jakiś namiar na tego gacha, może on nas doprowadzi do niej – zasugerowała.

– Ale jak teraz na szybko... ?

– Dzwon do dyżurnego w urzędzie miasta, powiedz, że sprawa niecierpiąca zwłoki, niech wezwie jakiegoś pracownika do komputera w gminie we Włochach, on nam ustali, czyje jest to mieszkanie. – Zuza wydała precyzyjne instrukcje i ruszyła w stronę samochodu.

– A on ma obowiązek to zrobić? – usłyszała za sobą pytanie aspiranta.

– Nie, ale może, wszystko w twoich rękach – odpowiedziała, nie odwracając się już do niego.

Kiedy dochodziła do samochodu, żeby zamienić kilka słów z synem Barbary, a następnie prawdopodobnie odwieźć go do domu, zza pleców dobiegł ją teatralnie wzmocniony szept aspiranta.

– Ktoś idzie do klatki!

Rzeczywiście, w stronę klatki, spod której przed chwilą odeszli, szedł mężczyzna w skórze i z papierosem w ustach.

– Leć! Tylko broń odbezpiecz! – krzyknęła do aspiranta, a sama podeszła do samochodu i powiedziała do chłopaka przez uchyloną szybę: – Zaraz przyjdziemy i odwieziemy cię do domu.

Następnie też ruszyła ku drzwiom wejściowym budynku.

– Dobry wieczór panu! – Aspirant Korczak uśmiechnął się do mężczyzny, który właśnie otworzył drzwi do klatki kodem i chciał ruszyć dalej.

– Co jest?! – Patrzący na niego spode łba facet nie miał najwyraźniej ochoty na rozmowę.

– Policja. – Wojtek jedną ręką sięgnął po odznakę, a drugą położył na kaburze broni służbowej. – Aspirant Wojciech Korczak, komenda stołeczna.

– I? – Na mężczyźnie nie zrobiło to większego wrażenia.

– Czy pan mieszka pod trójką? – zapytała Zuza, która właśnie dołączyła do grupy.

– Spod trójki. Jakiś problem? – Mężczyzna był zadziorny, ale przynajmniej rozmawiał.

– Szukamy pani Barbary Poslednik czy Poślednik, jak pan woli – wyjaśniła Zuza.

– Była u mnie wcześniej, potem gdzieś poszła, ma tu jakąś ciotkę na osiedlu czy kogoś, mówiła, że może wróci. – Facet chyba nie kłamał.

– Tu na osiedlu... A bardziej precyzyjnie? – nalegała Zuza.

– Podobno tam gdzieś bliżej Radarowej, ale nie wiem, gdzie dokładnie, nie pytałem, nie obchodzi mnie jej ciotka – odparł niechętnie.

– A państwa łączy jakaś bliższa relacja? – Aspirant wciął się trochę obok.

Zuza doskonale to wiedziała, lecz nie mogła teraz nijak tego skomentować, więc udała, że Korczak wyjął jej to pytanie z ust, i też czekała na odpowiedź.

– A co was to obchodzi? – Spodziewana odpowiedź nadeszła szybko.

Aspirant chciał wdać się w pyskówkę, jednak Zuza skarciła go lekko wzrokiem. Czekali w milczeniu.

– Spotykamy się czasami od kilku miesięcy, nic konkretnego. Ona się tu opiekuje tą ciotką, a sama mieszka gdzieś na Rakowcu, więc ma mnie po drodze – wytłumaczył mężczyzna.

– Mam prośbę: gdyby się zjawiała, proszę dać nam znać. – Zuza podała swoją wizytówkę, po czym dodała: – Od razu proszę nam dać znać. To bardzo ważne.

– Coś przeskrobała?

– Może jeszcze nic i lepiej, żeby tak zostało. – Policjantka się uśmiechnęła.

37. OSTATNIA NOC

Marek stał przy oknie i palił papierosa. W dole aleją Dwudziestolatków powoli przetoczył się samochód, który po chwili stanął. Weź tu znajdź miejsce parkingowe o tej porze, pomyślał Pobludzki. Osiedla budowane pod dwie nowe syrenki na całą klatkę schodową teraz muszą pomieścić dwa schodzone bmw na jednego mieszkańca.

– Kłudzisz się, czy tak będziesz stał całą noc? – usłyszał za sobą głos Julii.

– Zaraz idę. – Pociągnął jeszcze macha i rzucił niedopałek na trawnik pod oknem.

Nie powinien tak robić, sąsiedzi patrzyli o każdej porze dnia i nocy, a poza tym w ogóle głupio. Ale co? Nie zejdzie teraz przecież po tego kiepa. Zamknął okno i ruszył w stronę kuchni, gdzie miał bidon z wymieszonym z wodą homeopatkiem na ból głowy. Nie bolała go wprawdzie teraz, ale zauważył, że jeśli nie pił lekarstwa przez kilka godzin, ból zawsze wracał.

Po pociągnięciu kilku łyków wszedł do sypialni, w której na łóżku bliżej ściany leżała Julia. Stał jakiś czas, patrząc na nią, w końcu położył się obok ze świadomością, że na zaśnięcie nie ma najmniejszych szans, ale też z poczuciem, że nie ma co za bardzo afiszować się ze swoją bezsennością. Normalnie spał raczej dobrze, co dodatkowo potwierdzało jego donośne chrapanie. Bezsenność nie była zatem czymś typowym w jego przypadku, a jeśli nie była typowa, to oznaczała coś nadzwyczajnego. Marek za nic nie chciał zaś, żeby ktokolwiek, nie wyłączając Julii, wiedział, że jutro w jego życiu ma się coś niezwykle wydarzyć. Nie spał

jednak też jeszcze z jednego powodu. Świadomość, że, o czym teraz był już przekonany ponad wszelką wątpliwość, nigdy nie miał depresji, wybiła go absolutnie z rytmu. Czuł, że w jego głowie dzieje się coś bardzo niepokojącego. Przy czym nie mniej obiektywnie niepokojąca psychopatia, która doprowadziła go do tego, co już zrobił, i za moment miała go doprowadzić do czegoś znacznie jeszcze gorszego, absolutnie go wcześniej nie przerażała. Więcej – nawet dawała mu spokój ducha, jakiego nigdy dotąd nie zaznał.

Wtedy jednak miał poczucie totalnej kontroli nad sytuacją i wreszcie też nad własną psychiką. Urojenie, jakim okazała się depresja, prawdziwe powody rozstania z żoną były jednak zgoła czymś innym. Wariował? Miał schizofrenię? Z tym koszmarnym schorzeniem całe życie borykała się jego babcia ze strony ojca, umarła też chyba w jakimś sensie na to, a kiedy umierała, nikt nie miał już z nią żadnego kontaktu. Marek pamiętał przerażenie w oczach babci w czasach, gdy ten kontakt istniał jeszcze na tyle, że wysyłano go do niej czasem na kilka nocy. Pobludzki bał się tego przerażenia.

– Nie śpisz? – odezwała się nagle z boku Julia.

– Nie – odpowiedział.

– Spokojnie – powiedziała miękko głosem.

– Jestem spokojny – skłamał.

– Nie jesteś.

– Skąd wiesz?

– Czuję to przez skórę. – Obróciła się do niego twarzą, po czym zetknęła swoje uda z jego udami.

Był za bardzo rozbity, żeby poczuć to, co poczułby normalnie. Nie mógł spać, ale bliskość z kimkolwiek teraz też nie była mu na rękę. Chciał tylko leżeć i czekać, aż nastanie w końcu jutro.

– No więc? – Julia jednak nie odpuszczała.

– Nie wiem, praca, może księżyc, cokolwiek, tak czasem bywa. Muszę się zdrzemnąć, mam jutro trudny dzień... w pracy – dodał, próbując zamknąć drażliwy

temat.

– Opowiedz mi, może będzie ci łatwiej – zaproponowała, nie pozwalając mu uciec od tematu.

Co miał jej opowiedzieć? Że jutro rano jedzie do pracy tylko po to, żeby zostawić tam swój telefon i wymknąć się tylnym wyjściem, bo tak naprawdę musi zabić człowieka? Dlaczego musi, swoją drogą? Bo tak zaplanował, a teraz najważniejsze dla niego było trzymać się planu? Może jednak wariował, a plan był jedyną rzeczą, która trzymała go jeszcze jako tako przy rzeczywistości? „Jako tako”. Tak, to było dobre określenie. Tylko po co w ogóle albo dlaczego to zaplanował?

– Mamy jutro prezentację wszystkich projektów przyjętych do finansowania – skłamał. – Muszę wykazać przed szefami, że są tego warte.

– To opowiedz mi o tych projektach, przećwiczysz, uspokoisz się, ja się czegoś dowiem, takie *win-win*. – Julia uśmiechnęła się dziwnie.

A może zresztą uśmiechnęła się normalnie, a tylko jemu wszystko się teraz wydawało dziwne.

– Co robiłaś tamtej nocy? – zapytał nagle, zaskakując tym głównie samego siebie.

– Której nocy?

– Wtedy, kiedy zastałem cię w drugim pokoju – brnął. – Jakaś medytacja?

– Nic nie robiłam. Śniło ci się. Już o tym rozmawialiśmy. – Julia była spokojna.

Wedle jego zmęczonej głowy była zbyt spokojna, ale ten spokój w końcu udzielił się też jemu i Marek zapadł się w nicość.

Zuza siedziała w służbowej kii, zaparkowanej w szeregu innych samochodów stojących w alei Dwudziestolatków. Wcześniej okrążyli osiedle kilka razy w nadziei nie wiadomo na co. Teraz aspirant wysiadł i zniknął gdzieś między blokami przy ulicy Radarowej. To działanie też nie miało za bardzo logicznego umocowania. Chodził trochę, że a nuż coś ciekawego wypatrzy, trochę, żeby wypalić papierosa, trochę, by rozprostować kości. Nic więcej na tym etapie nie

mogli zrobić. Facetowi, u którego byli wcześniej, nie wierzyli do końca, ale nie mieli żadnego sposobu na to, by coś więcej z niego wycisnąć. Syna Barbary odwieźli do domu. Nadal istniała pewna obawa, że zawiadomi matkę. Jej telefon wprawdzie milczał i wciąż był nieaktywny, ale działały inne kanały komunikacyjne, choćby komputer i internet. Jeśli chodzi o telefon, to znajomy z sieci komórkowej miał powiadomić Zużę, gdyby tylko gdzieś się w końcu objawił.

Nagle, wyrywając ją z zamyślenia, zadzwonił jej telefon. Była pierwsza w nocy, więc połączenie trochę ją zaskoczyło, numer był nieznany.

– Mówi Krzysiek – usłyszała męski głos w słuchawce.

– Słucham? – Imię Krzysiek nie mówiło jej zbyt wiele.

– No, byliście u mnie dwie godziny temu. Miałem zadzwonić, jakby coś.

– A tak, dzięki bardzo. Mamy coś? Przyszła? – ożywiła się Zuza.

– Nie przyszła, ale podzwoniłem trochę i ustaliłem z kumplami adres tej ciotki, zresztą nie wiem, czy ciotki, gównu mnie to obchodzi. W każdym razie ten adres, gdzie ona tam łązi – wyjaśnił.

– Wielkie dzięki. – Zuza przywołała gestem aspiranta, który sterczał na rogu pod latarnią, czekając nie bardzo wiadomo na co.

Adres był w bloku oddalonym od ich samochodu o kilkadziesiąt metrów. Na tym osiedlu zresztą wszystko od wszystkiego było oddalone o kilkadziesiąt metrów.

– Idziemy tam od razu? – Wojtek nie krył ekscytacji.

– Nie. Teraz to w końcu zadzwoń do tego dyżurnego miasta i ustal, na kogo jest mieszkanie. Poczekamy do rana, nie ma co się tam pakować tak w ciemno, weźmiemy chłopaków z AT, żeby kierownik się nie pieklił – poinstruowała.

– Tam poszliśmy, tu będziemy czekać. Co za różnica?

– Tam była jedenasta, teraz jest wpół do drugiej, a poza tym mam intuicję, żeby tam się nie pakować bez wsparcia – rzuciła krótko, ucinając temat.

38. WARIANT UCIECZKOWY

Gdyby było inaczej, miałyby rację, zawsze lepiej czekać na wsparcie w takich okolicznościach, tu jednak sytuacja była wyjątkowa o tyle, że człowiek znajdujący się w obserwowanym mieszkaniu znalazł ją osobiście i kilka godzin później, pijąc poranną kawę w towarzystwie Julii, dostrzegł ją siedzącą w samochodzie. Był to ten sam samochód, który widział już w nocy krążący po osiedlu i – jak wtedy sądził – szukający miejsca do zaparkowania.

– A jednak – powiedział, odstawiając spokojnie kubek na kuchenny blat.

– Co a jednak? – zapytała zaciekawiona Julia, która weszła właśnie do kuchni też już gotowa do wyjścia.

– Nic, nic, tak mi się powiedziało. – Marek nie próbował już nawet wymyślać jakichś lepiej osadzonych usprawiedliwień.

Julia nie była teraz jego problemem.

– Muszę lecieć. – Mężczyzna wziął leżącą na krześle teczkę i ruszył do drzwi.

– Zaraz, a śniadanie? Kanapki robię. – Julia popatrzyła za nim zdziwiona.

– Nie dziś, muszę tam być za pół godziny – wyjaśnił raczej odruchowo niż po to, by cokolwiek wyjaśnić.

– Widzimy się później? – Julia również zapytała bardziej odruchowo, niż żeby coś ustalić, ale na to pytanie nie otrzymała już odpowiedzi.

Pobłudzki najpierw poszedł jeszcze do salonu, tam z sekretery zabrał szybko wszystkie albumy ze zdjęciami i kopertę z dokumentami na jego nazwisko – lepiej było, na ile to jeszcze możliwe, nie ułatwiać Zuzie identyfikacji. Następnie

skierował się do drzwi, uchylił je delikatnie, żeby sprawdzić, czy na klatce schodowej kogoś nie ma. Na razie nie było, więc ruszył szybko po schodach w dół, ale zamiast wyjść na podwórko, skierował się prosto do piwnicy. Otworzył kluczem główne wejście do niej, po czym ruszył długim korytarzem prowadzącym przez kolejne klatki schodowe, aż do ostatniej, gdzie było zejście do podziemnego bunkra przeciwatomowego zbudowanego tu jeszcze w latach siedemdziesiątych poprzedniego stulecia.

Nie spodziewał się tego, jeszcze nie teraz. Nie spodziewać się nie oznaczało jednak nie być przygotowanym, w każdym razie nie w jego przypadku. Ostatnie miesiące były jak gra komputerowa: rozpatrywanie wariantów rozwoju wydarzeń, przygotowywanie dróg ucieczki, ubezpieczanie wielostopniowe na wszelką możliwą okoliczność, jakkolwiek byłąby ona nieprawdopodobna.

Jak do niego doszli, swoją drogą? Zuza była sprytniejsza, niż się spodziewał, może prześledziła jednak jego ruchy i przemieszczanie się numeru nawet wtedy, gdy on uznał, że już nie będzie tego robiła? Tylko że on nigdy nie zabrał swojego głównego telefonu do mieszkania, które właśnie odnaleźli. Jak zatem?

Marek zastanawiał się, idąc teraz przez ciemne jak Hades po zmroku, pełne pajęczyn korytarze. Na ich końcu było drugie wyjście, czy wejście raczej, w piwnicy dziesięciopiętrowca po przeciwnej stronie ulicy 1 Sierpnia. Wejście absolutnie nieużywane i zapieczętowane pewno przed kilkudziesięciu laty. On sprawdził je jednak już kilka miesięcy temu, otworzył, a potem zapieczętował ponownie za pomocą plomb. Teraz znów je zerwie, ale to, że dojdą, jak się wydostał, nie będzie już miało i tak znaczenia.

Wyjście zastawione było rowerami i wózkami, więc musiał się trochę namęczyć, żeby wypchnąć stalowe drzwi. Przy okazji narobił huku, ale na jego szczęście nikogo nie było akurat w tym momencie na klatce. Później wyszedł na zewnątrz, podniósł kołnierz kurtki, włożył czapkę i ruszył w stronę przystanku tramwajowego przy alei Krakowskiej. Mieszkanie tu na Jadwisinie oraz siłą rzeczy też pewno to na Woli, jego praca i całe dotychczasowe życie właśnie się skończyły,

lecz podobnie jak miał przygotowaną drogę ucieczki z tej konkretnej sytuacji, miał też przygotowany drugi wariant swojej egzystencji.

Pozostawało tylko jedno pytanie, które nie pozwoliło mu zmrużyć oka ostatniej nocy.

Jako kto właściwie przygotowywał to wszystko?

Nie zostawiła go żona z dzieckiem? To on ich zostawił, nie miał też wcześniej depresji, czyli?

Może w ogóle był kimś innym?

– Mieszkanie należy do Cecylii Walczak – aspirant Wojtek odczytał informację z notesu w telefonie.

Do mieszkania, które okazało się otwarte i w którym na gazie ktoś zostawił gotujące się jajka, weszli chwilę temu poprzedzeni plutonem antyterrorystów przysłanych na szybko z rozkazu ich przełożonego, komisarza Włodarczyka. Szef wydziału zorientował się przy okazji, że sprawa zrobiła się znacząco bardziej skomplikowana i niebezpieczna, niż przypuszczał na początku, kiedy jego podkomendna zaczynała się nią zajmować.

– Gdzie ta Cecylia? – zapytała Zuza, nie mając przesadnej nadziei na rychłą odpowiedź.

– Na cmentarzu północnym. Od sąsiadów dowiedziałem się, że od lat mieszkał tu syn Cecylii, Marek Walczak. – Wojtek jednak ją zaskoczył.

– Marek... – powtórzyła Zuza jak echo. – Sprawdzisz go?

– Już sprawdzam. Mam kilku. Wiek od dwudziestu ośmiu do siedemdziesięciu dwóch lat. – Aspirant wyglądał na naprawdę zadowolonego z siebie.

– Meldunek? – zasugerowała.

– Żaden z tych sprawdzanych nie jest zameldowany tutaj.

– Praca, abonamenty telefonii komórkowej, jakieś inne kwity? – wymieniła.

– Zaraz się biorę do roboty.

– A ta cała Barbara? Operacyjni zgłosili? Wróciła do domu?

Aspirant znów pokręcił głową.

– Numer też się nie uaktywnił. I teraz już się nie uaktywni, i do domu też już nie wróci.

– Bo?

– Bo widząc, że nadchodzimy, spierdoliły stąd dwie osoby. – Zuza wskazała na stół, na którym stały dwa talerzyki z równymi plasterkami pomidora – Swoją drogą, sprawdziliście którądy? Klatka była pod obserwacją.

– Przez bunkier.

– Przez co?

– Pod klatkami jest łączona piwnica, która prowadzi do starego bunkra przeciwoatomowego, a ten ma drugie wyjście w bloku po przeciwnej stronie ulicy.

– Ja pierdolę! – Zuza myślała chwilę. – Wzięliśmy zdjęcie tej całej Barbary od syna z domu?

– Wzięliśmy.

– Przekaż do patroli i na monitoring miejski jako poszukiwaną...

– Okej. – Aspirant ruszył ku wyjściu z klatki.

– Zaczekaj. Najpierw daj mi.

Wyjął zdjęcie z wewnętrznej kieszeni kurtki i podał je Zuzie. Ze zdjęcia patrzyła na nią atrakcyjna, na oko czterdziestokilkuletnia blondynka, która w oczach miała jednak coś dziwnego. Jakby pod spodem toczył się jakiś drugi, zły obieg – pomyślała Zuza, fotografując zdjęcie swoim telefonem.

Kiedy współpracownik się oddalił, Zuza zaczęła kręcić się po mieszkaniu. Gdzieś tu musiało być też zdjęcie znajomego pani Barbary, Marka Walczaka, a także jakieś kwity mówiące nieco więcej o nim. Ruszyła do pokoju, w którym już wcześniej dostrzegła sekretkę z mnóstwem małych i większych szuflad.

Marek, jadąc tramwajem na Okęcie, cały czas zastanawiał się, czy w mieszkaniu nie zostawił jednak czegoś, co po pierwsze pomogłoby go zidentyfikować, a po drugie, kiedy już zostanie zidentyfikowany, nie ujawniłoby adresu domu po

rodzicach, a właściwie po wuju. Raczej nie było niczego takiego – dbał bardzo, żeby w mieszkaniu nie istniały żadne ślady po tamtym życiu, którego zresztą nienawidził.

A może tamto życie, podobnie jak rodzina i depresja, też było zmyślane?

Może miał szczęśliwe dzieciństwo, a jego ojciec nigdy nikogo nie skrzywdził?

Nie, to akurat nie było możliwe.

Pamięć dzieciństwa była w nim silniejsza niż cokolwiek innego, z nią nie dałoby się zrobić nic, podobnie zresztą jak z pamięcią dzieciństwa większości ludzi. Ten etap w pamięci każdego odciskał się najsilniej.

W jednej z okęckich uliczek niedaleko pętli tramwajowej Marek miał zaparkowany kolejny nabyty wcześniej na wszelki wypadek samochód, stare renault mégane, które – podobnie jak subaru – kupił na lewe dane i też nigdy go nie przerejestrował. Dotarcie do niego tym tropem było zatem całkowicie niemożliwe. W skrytce auta miał też schowany kaszkiet i okulary zerówki w ogromnych, kwadratowych ramkach. Ten zestaw czynił zeń kogoś kompletnie innego, a aspekt wizualny wydawał się kluczowy podczas kolejnych godzin.

Wsiadając teraz do samochodu, którym zamierzał za chwilę udać się do Bogatek, zastanawiał się jeszcze, jak potoczyły się wydarzenia i jakie miały konsekwencje dla Julii, którą zostawił za sobą w mieszkaniu. Doszedł do wniosku, że pewno nieszczególne, bo kobieta nie miała pojęcia, ani jaka jest jego druga, mroczna twarz, ani czego zdążył już dokonać i co jeszcze planował. Prawdopodobnie po krótkim przesłuchaniu zwolnią ją do domu. Po prostu znalazła się przy niewłaściwym człowieku w niewłaściwym momencie.

39. MAREK

– Czyli mamy grupę przestępczą? – Zuza po przeszukaniu całego mieszkania stwierdziła, że ktoś naprawdę bardzo dobrze przygotował się do zajęć. Stała teraz pośrodku kuchni i próbowała wysnuć cokolwiek ze śladów pozostawionych w czasie natychmiastowej i niespodziewanej ewakuacji. – Pytanie: co ich łączy?

– Łóżko? – zasugerował aspirant.

– Trochę mało, żeby wspólnie dokonać porwania dwóch osób. – Pokręciła głową. – Ona ma motyw, oczywiście jeśli założymy do tego, że jest pierdolnięta, ale on?

– Pan Marek?

– Pan Marek. – komisarz znów powtórzyła jak echo za nim, lecz tym razem echo obilo się o wnętrze jej czaszki jeszcze parokrotnie. W końcu sięgnęła po telefon.

Chwilę po wybraniu numeru zgłosiła się pani z komunikatem, że abonent jest niedostępny. Zuza spróbowała jeszcze parę razy. Do tej pory, ilekroć dzwoniła do Marka Pobludzkiego, sąsiada Karoliny, ten albo odbierał już po dwóch, trzech sygnałach, albo czasem, gdy był zajęty, nie odbierał, nigdy dotąd nie miała jednak sytuacji, żeby numer był nieosiągalny.

Zuza zakończyła połączenie i wybrała kolejny numer. Tym razem do swojego znajomego w sieci komórkowej. Jako że na numer Barbary miała już nakaz sądowy, mogła zaryzykować prośbę o sprawdzenie kolejnego bez kwitu, który też zobowiązała się oczywiście rychło dostarczyć.

– Sprawdzalem ci go juz raz – stwierdzil.

– Tak, ale teraz okolicznosci sie zmienily. Poza tym facet zawsze byl dotad osiagalny, a teraz nagle nie jest – wyjasnila Zuza.

– Bywa, ze ludziom wyczerpuja sie baterie albo z kimś akurat gadaja. – Znajomy probowal sie wymigac.

– Sprawdzisz? – Zuza nie miala czasu na udowodnianie, ze Ziemia bywa jednak czasem plaska.

– Sprawdze – odpowiedzial tamten z delikatnym przekasem.

Chwile pozniej komisarz jechala ze swoim samozwanczym asystentem do mieszkania na Woli, w ktorym Pobludzki mieszkal sciana w sciane z Karolina.

– Ale facet nazywa sie Pobludzki, a ten tutaj nazywa sie Walczak. – Aspirant tez probowal podac w watpliwosc jej intuicje. – Marek to nie Apolinary, dosyc popularne imie. Mam dwuch wujkow o takim imieniu, jednego od mamy, jednego od ojca.

– Od ojca masz stryjka, a nie wujka. Skad wiesz, ze ten tutaj nazywal sie Walczak? Jego matka nazywala sie Walczak, wiec sasiedzi tak go nazywaja, ale przeciez nie wiemy, co jest w papierach – tłumaczyła Zuza.

Wczesniej, bedac jeszcze na osiedlu, probowala zdobyc skads na szybko zdjecie Pobludzkiego, zeby zapytac sasiedow, czy to nie on przypadkiem byl dla nich Markiem Walczakiem, lecz o dziwo w sieci niczego nie znalazla. Zadzwonila wiec w tej sprawie do ministerstwa, pytajac przy okazji, czy Marek jest w pracy, czy przypadkiem nie jest dwojga nazwisk, i czy drugie nie brzmi Walczak. W pracy go nie bylo, wzial podobno tak zwany dzien wolny na zadanie, o nim jako o Walczaku nikt nigdy tam nie slyszal, a jego zdjecie z tych robionych grupowo przy roznych okazjach sekretarka dyrektora departamentu zatrudniajacego Marka obiecala wkrótce podeslac.

W domu na Woli go nie zastali, nie bylo tez oczywiscie Karoliny, co Zuza sprawdzila juz teraz raczej pro forma, niz wierzac w nagle objawienie sie przyjaciolki w mieszkaniu bez slowa.

– Co teraz?

– Teraz... – policjantka się zawahała. – Wiem, gdzie po raz ostatni monitoring zarejestrował wtedy to subaru, myślę... mam cię nadziei, że teraz też tamtędy pojedzie, więc ustawię się tam na górze z lornetką. – Czuła, że im bliżej są rozwiązania, tym bardziej sytuacja wymyka im się z rąk.

Tamci, tamta, czy ktokolwiek to był, wiedział już w każdym razie, że policja jest blisko. To musiało przyspieszyć działania. Może zatem nieświadomie Zuza wystawiła Karolinę sama na jeszcze większe niebezpieczeństwo?

– Że kto pojedzie? – zapytał logicznie aspirant.

– Nie wiem, ta cała Barbara, może ten Marek... – Zuza popatrzyła na niego.

Miał rację, dziwiąc się. Tak naprawdę nie mieli za wiele, pewno należało poczekać, ustalić coś więcej. Tyle że ona czuła, że czekać nie można, że za chwilę zamiast szukać Karoliny, będą ścigać jej zabójcę albo zabójców. Ona wolała zaś ścigać jednak porywacza.

– Jak przyjdzie zdjęcie z ministerstwa, wróć tam, na to osiedle i pokaż ludziom – zasugerowała, wysadzając go pod siedzibą komendy stołecznej.

– Nie sądzę, żeby to był ten sam facet. – Pokręcił głową. – Są chyba jakieś limity na zbiegi okoliczności.

– To akurat nie byłyby już zbiegi okoliczności. – Uśmiechnęła się. – Sprawdź.

Marek, jadąc do Bogatek, zatrzymał się po drodze w Żabce, gdzie kupił sporą ilość podstawowych produktów żywnościowych i kilka zgrzewek wody. Wcześniej kupował dwie, ale na kolejne dni będzie ich potrzebował więcej. Wprawdzie po dzisiejszym dniu suma osób pozostanie taka sama, on jednak pił nieco więcej, niż przewidział jako minimum dla Zenona. Ani w tej Żabce, ani zresztą w żadnym innym sklepie nigdy nie robił zakupów dwa razy. W Bogatkach i w promieniu kilku kilometrów od nich nie korzystał nigdy z żadnego sklepu, no i rzecz jasna nigdy nie używał kart kredytowych, lecz jedynie gotówki.

Na miejscu był dwadzieścia minut później. Nie denerwował się przesadnie, bo był przekonany, że nie ma takiej ludzkiej mocy, by ktokolwiek tu za nim dotarł. Na

pewno po tym, co wydarzyło się dziś rano, nie będzie mógł już wrócić do miasta. Ale tutaj? Tu nikt go nie znajdzie, bo nie było żadnych tropów, które mogłyby to umożliwić. Marek czuł się bezpiecznie, lecz zastanawiał się również, co będzie dalej. Pierwotnie miał dziś o siedemnastej – swoją drogą, nie miał pojęcia, dlaczego wybrał akurat ten dzień i tę godzinę – zabić Zenona, następnie zutylizować ciało i wrócić do Warszawy po to, by po kilku dniach przyjechać tu znowu i to samo zrobić z Karoliną. Teraz zaszła zmiana, po zabiciu Zenona musiał tu zostać, bo tylko tu był bezpieczny. Na później miał oczywiście kolejny plan awaryjny, na razie jednak, do czasu jej wyeliminowania, które też miało nastąpić konkretnego dnia i o konkretnej godzinie, był zmuszony tu pozostać. Tydzień sam na sam z nią. Oczywiście nie musiał do niej schodzić codziennie, ale już sama jej topograficzna bliskość wydawała się nieco utrudniać sprawę.

40. OSTATNIA SZANSA

Zuza po tym, jak odwiozła swojego samozwańczego asystenta do stołecznej, sama wyjechała na S7 i dalej trasą na Kraków w kierunku Grójca do miejsca, gdzie po raz ostatni na monitoringu widoczne było subaru wiozące tamtego dnia Karolinę. Samochód dawno sprawdzili i okazało się, że poprzedni właściciel sprzedał go komuś, kto, gdy je kupował, teoretycznie nie żył od pięciu lat. Dowód się zgadzał, prawdopodobnie był podrobiony albo skradziony dawno temu, kiedy tamten człowiek jeszcze żył. Subaru trafiło na bęben do drogówki, ale Zuza nie obiecywała sobie po tym zbyt wiele, czuła już od dawna, że zawodnik, z którym miała do czynienia, nie popełnia tak banalnych błędów. Dzięki przypadkowi widzieli to subaru jednak parokrotnie na różnych monitoringach, a tu widzieli je po raz ostatni. Na razie policjantka wiedziała tyle, że kobieta, której szukała, była jakoś powiązana z sytuacją. No i wiedziała, jak owa kobieta wygląda. Dlatego stanęła teraz na pagórku wznoszącym się za skrzyżowaniem, przy którym ustawiona była tamta kamera monitoringu, zdjęcie Barbary przyczepiła pinezką do drzewa i sięgnęła po lornetkę. Prawdopodobieństwo, że kogoś w ten sposób namierzy, było nader niskie, ale z drugiej strony nie miała kompletnie pomysłu na to, co innego mogłaby zrobić, a coś robić musiała, bo czas uciekał.

Samochody spływały z pagórka po drugiej stronie ku skrzyżowaniu dość wolno. Po pierwsze, często czekało na nie na dole czerwone światło, a po drugie, całe skrzyżowanie oprócz monitoringu obstawione było też fotoradarami. Minęło mniej więcej pół godziny, przed oczami schowanej za drzewami Zuzy przepłynęło kilkaset powiększonych przez soczewki lornetki pojazdów. Komisarz wypatrywała

jednak odruchowo przede wszystkim srebrnego subaru, chociaż logika podpowiadała, że nawet jeśli kobieta będzie się tędy przemieszczać w to samo miejsce, w które pojechał wtedy tamten facet z Karoliną, to prawie na pewno nie będzie jechała tym samym autem.

I faktycznie nie jechała tym samym, ale prawdopodobnie zrzędzeniem losu jechała też subaru. Może lubią tę markę – zastanawiała się Zuza, jadąc za nią chwilę później. Najpierw jednak, gdy dostrzegła ją w drugim rzędzie pojazdów, które stanęły na światłach, nie mogła w to uwierzyć i kilkakrotnie zerknęła na przemian na zdjęcie zabrane od jej syna i na kobietę za kierownicą czerwonego subaru imprezy.

– Cześć. – Zadzwoiła do Wojtka po paru kilometrach, które przejechała, trzymając się cały czas w bezpiecznej odległości za subaru. – Namierzyłam ją.

– Nie wierzę – zareagował chłopak totalnie zaskoczony. – A ja jadę ze zdjęciem do sąsiadów tego Walczaka.

– To się zatrzymaj, namierz mnie po GPS-ie auta i prześlaj link na mnie do patroli z Tarczyna, Piaseczna, czy co tam jeszcze znajdziesz. Niech podciągną za mną, ale mają trzymać dystans. Wjadą, jak dam znać.

– Ale sama się... – Aspirant wyczuł, że nie pora jeszcze na skracanie dystansu służbowego. – Niech się pani komisarz sama w to nie pakuje.

– Dobra, skręca... muszę się teraz skupić. Na razie. – Zuza zakończyła rozmowę.

Była na wysokości Tarczyna, kiedy znajdujące się mniej więcej czterysta metrów przed nią subaru wrzuciło kierunkowskaz. Zuza musiała teraz bardzo czujnie zwolnić i odczekać na tyle, żeby nie znaleźć się tuż za samochodem kobiety. Kto wie, być może Barbara widziała ją z okien mieszkania Walczaka, zanim razem zerwali się z niego przez bunkier. Na jej szczęście z przeciwka nic akurat teraz nie jechało i subaru skręciło w drogę na Prace Małe i Piaseczno prawie natychmiast po zjechaniu na lewy pas. Komisarz też przejechała wtedy na ten pas i też skręciła kilkanaście sekund później. Odległość między samochodami wzrosła

teraz do mniej więcej sześciuset metrów i Zuza już jej nie zmniejszała. Po przejechaniu około dziewięciu kilometrów przed wjazdem do miejscowości Bogatki subaru zwolniło i, nie wrzucając tym razem kierunkowskazu, skręciło w prawo w drogę gruntową. Tu już Walicka wjechać nie mogła. Droga była mało uczęszczana, więc pojawienie się na niej jakiegokolwiek innego auta zwróciłoby prawdopodobnie uwagę kobiety.

Zuza zatrzymała samochód na poboczu głównej drogi kilkadziesiąt metrów dalej, wysiadła, ruszyła w stronę drogi gruntowej na piechotę i raz jeszcze sięgnęła po telefon.

– Jestem w Bogatkach, schodzę do drogi wzdłuż rzeczki. Jak tu podciągną, to niech nie wjeżdżają w tę drogę bez polecenia ode mnie – podkreśliła ponownie, nie będąc nawet pewna, czy aspirant Korczak jej słuchał.

– Proszę poczekać, pani komisarz, to mogą być groźni ludzie – zaprotestował młody, po czym dodał na zachętę: – Nasi z Tarczyna zaraz będą.

– Nie ma czasu. – Zuza rozłączyła rozmowę i ruszyła w dół nasypu, na którym była główna droga, gruntówką między pola podmokłego torfu.

Przez jakiś czas szła, starając się trzymać blisko drzew nasadzonych wzdłuż drogi. W ten sposób była mniej widoczna. W oddali widać było drewniane zabudowania gospodarcze i ceglany dom w centralnej części obejścia. Subaru, którym podróżowała Barbara, dostrzegła około trzystu metrów dalej, stojące mniej więcej w dwóch trzecich dystansu między drogą główną a zabudowaniami. Samochód parkował przy kępie krzaków osłaniających go od strony domu. Czyżby ona też przyjechała tu kogoś śledzić? – pomyślała Zuza, po czym odbiła w bok od drogi i dalej szła już zagajnikiem rozciągniętym nad polami. W pewnym momencie zobaczyła Barbarę, która weszła na pagórek znajdujący się kawałek od domu i obserwowała zabudowania ukryta za drzewami.

Z miejsca, w którym stała, Barbara widziała podwórko jak na dłoni. Zerknęła na zegarek. Dochodziła szesnasta czterdzieści pięć. W momencie gdy zaczęła się już lekko niecierpliwic, otworzyła się brama od stodoły i wyszedł z niej Marek

prowadzący przed sobą nagiego Zenona. Kobieta uśmiechnęła się do siebie, a kiedy mężczyźni przeszli podwórko i weszli w przeszklony wiatrołap ceglanego domu, ona też wyszła zza drzewa i... poczuła chłód stali przytkniętej do karku.

– Teraz cicho i spokojnie. – Stojąca za nią Zuza zacisnęła dłoń na jej mięśniu kapturowym, tak że kobieta aż syknęła z bólu.

– Ale co...?

– Nic. Idziemy, a jak krzykniesz, to przestrzelę ci czaszkę. – Zuza przyblefowała lekko i popchnęła kobietę przed sobą.

Po minucie powolnego marszu weszły na podwórko od strony, z której nie mogły zostać dostrzeżone. Zuza zatrzymała się na chwilę, rozejrzała na boki i pchnęła tamtą dalej, ku wejścia do domu. Wkrótce były przed wiatrołapem. Policjantka najciszej, jak się dało, odsunęła skrzydło drzwi i prowadząc Barbarę cały czas przed sobą, minęła przeszkloną werandkę ganku, po czym weszła w głąb mrocznej sieni. Na moment przystanęły. Zuza nasłuchiwała. Jakieś stłumione odgłosy dochodziły z pokoju po prawej. Popchnęła kobietę w tamtym kierunku.

W końcu doszły do białych drewnianych drzwi. Zuza nacisnęła klamkę, drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem i ich oczom ukazał się widok dosyć nietypowy. Na środku kompletnie pustego pokoju wyłożonego szczelnie folią malarską, z oknami zamaskowanymi deskami ustawionymi w pewnej odległości od nich, stał pieńek, przy którym klęczał nagi Zenon ze skrępowanymi rękami i nogami. Jego głowa była przyłożona bokiem do pieńka, a twarz wyrażała rozpacz zmieszana z kompletną obojętnością. Nad nim, ubrany w biały owerol w rodzaju tych stosowanych przez medyków działających podczas COVID-u albo przez kolegów Zuzy z kryminalistyki, stał Marek z siekierą w obu rękach.

– Rzuć to! – krzyknęła Zuza, bardziej odruchowo niż w efekcie głębszego taktycznego przemyślenia.

Marek obrócił się do niej, a właściwie do nich, bo Barbara stała wciąż przed nią.

– Julia? A co ty tu...? – Pobłudzki, patrząc na Barbarę, na moment oniemiał, ale po półsekundzie jego zdziwienie przerodziło się we wściekłość. – Sprowadziłaś ją tutaj!

Mężczyzna ruszył z siekierą na nie, ale bardziej chyba nawet na Barbarę niż na Zuzę. Kobieta odruchowo wyrwała się z wciąż krępującego ją uchwytu Zuzy i szarpnęła się do tyłu. To na chwilę zaburzyło sytuację.

Zuza przestała mierzyć ze swojego glocka w Marka. Mężczyzna wykorzystał ten moment i rzucił siekierą w ich stronę. Czy chciał trafić bardziej w Zuzę, czy w Barbarę, czy po prostu chciał zyskać na czasie, trudno było ocenić. W każdym razie siekiera uderzyła Zuzę w lewy bark, przecinając kurtkę i ciało nieomal do kości. Policjantka jęknęła z bólu, skuliła się. To był ten moment, który Marek wykorzystał na to, by przewrócić maskownicę z desek, wziąć rozpęd i wyskoczyć z foliowej komnaty przez zamknięte okno. Szkło, drzazgi, huk łamanej ramy. Kiedy Zuza podniosła głowę, dociskając ranę ręką, z której musiała wypuścić broń, po Marku pozostał tylko unoszący się w powietrzu kurz i drzazgi na podłodze. Nie on był jednak teraz najważniejszy dla niej. Nie z jego powodu się tu zjawiła, bo ujęcie sprawcy zaprzętało ją znacznie mniej niż zadbanie o ofiary, a szczególnie o jedną z nich.

– Karolina? – Spojrzała na leżącego teraz na boku wśród potłuczonego szkła gołego Zenona, a w jej wzroku było błaganie.

– Pod stodołą – wyszeptał mężczyzna.

– Jak pod stodołą? Zakopana? – zapytała z przerażeniem.

– Nie, on tam ma tę swoją pojebaną ziemiankę. – Zenon pokręcił głową.

Zuza złapała pistolet w dłoń, z której po palcach sączyła się krew, drugą rękę – tę, której normalnie używała do obsługi broni – przyciskała do rany, tamując upływ krwi. Wybiegła na podwórko, gdzie dostrzegła Barbarę, która stała i patrzyła w pustkę. Wyglądała na kogoś, kto jest w dość głębokim szoku.

– Chodź tu! – krzyknęła.

Kobieta podeszła do niej.

– Idziemy. – Zuza wskazała wejście do stodoły.

Potem znalazły niespecjalnie zamaskowany w tym momencie właz, policjantka kazała Barbarze zwanej też Julią go podnieść, bo sama nie była w stanie tego zrobić. Zeszły na dół po drewnianych schodach, Barbara przodem oświetlała drogę komórką. Jedno pomieszczenie, fetor fekaliów i niemytych ciał, drugie, ciemno, na sienniku w rogu pod ścianą siedziała przerażona kobieta.

– Karolina? – Zuza zapytała bardziej, żeby upewnić się, czy przyjaciółka żyje, niż żeby ustalić, czy to ją widzi przed sobą.

Karolina pokiwała głową i zaczęła płakać. Zuza dopadła do niej i otoczyła ją ramionami, zalewając ją przy tym obficie swoją własną krwią.

Barbara stała przy wejściu i nie bardzo wiedziała, co ma ze sobą zrobić. Sytuacja, którą, wyglądało na to, sama dokładnie zaplanowała i wyreżyserowała, zmieniła się nagle tak, że kompletnie utraciła nad nią kontrolę. Gdzieś w tle dały się słyszeć syreny nadciągającej odsieczy.

41. ROMANTYK

– Czyli jeszcze raz. Marka Pobludzkiego poznała pani mniej więcej pół roku temu? – Tydzień później Zuza siedziała z ręką na temblaku naprzeciw Barbary Poślednik w jednej z sal służących do przesłuchań w Komendzie Stołecznej Policji w pałacu Mostowskich. Marek, odkąd wyskoczył przez zamknięte okno, zniknął jak kamień w wodę. Poszukiwania trwały, a dla niej jednym z głównych tropów była siedząca przed nią kobieta.

– Tak, spotkaliśmy się w sklepie przy alei Krakowskiej, od słowa do słowa, kawa, kino, potem zaprosił mnie do siebie, czyli do mieszkania, w którym pani już była na Jadwisinie. Ja wtedy spotykałam się z człowiekiem, który mieszkał przy Dwudziestolatków, ale tamta znajomość raczej już się wypaliła... – Barbara mówiła płynnie, co sprawiało wrażenie, jakby rzeczywiście opowiadała coś, co się zdarzyło, a nie tworzyła byty z głowy.

– Naprawdę? Zdaje się, że nadal się pani spotyka z tamtym mężczyzną? – przerwała jej Zuza.

– Tak, zdarza mi się jeszcze czasami. – Barbara popatrzyła na nią bez cienia strachu.

– Sporo mężczyzn naraz – skomentowała Zuza.

– To karalne? – zapytała tamta zadziornie.

– Nie, to akurat karalne już nie jest. – Komisarz pokręciła głową. – A dlaczego Pobludzki, gdy panią zobaczył, powiedział: „Julia”?

– Tak mnie nazywał, on wariat był trochę, ale przeważnie taki raczej radosny wariat, romantyk.

– Romantyk?

– No Julia. Z *Romea i Julii*.

– No to rzeczywiście... – Zuza pokręciła głową, choć nie wiadomo czy z wrażenia, czy raczej z zażenowania. – I co było dalej?

– Dalej zbliżyliśmy się, kiedyś opowiedziałam mu w końcu o swoim życiu, o Zenonie, o pani Karolinie, o synu i te wszystkie rzeczy, które pani zna. – Barbara umilkła na chwilę i popatrzyła na Zuzę, jakby upewniając się, czy policjantka zna je rzeczywiście.

– O tym, że Karolina uwiodła pani męża i że zakradła się do was, nie ujawniając, że jest matką adoptowanego przez was dziecka – wyrecytowała Zuza.

– Tak.

– I? – Zuza popatrzyła na nią, bo teraz nadchodziło najciekawsze. – Co było dalej?

– Dalej właściwie nic, to znaczy od pewnego momentu zorientowałam się, że on się trochę dziwnie zachowuje, opowiadał mi różne wersje swojej przeszłości na przykład, czasem była w nich żona i dziecko, czasem nie było. Zaczęłam mieć też wrażenie, że coś knuje, że jest jakiś plan, którym się ze mną nie dzieli – wyjaśniła.

– Skoro tak, to czemu się pani z nim nie rozstała, czemu nie opowiedziała pani tego komuś, policji albo chociaż synowi? – Zuza nie dowierzała.

– Bo to były wrażenia, nie zgłasza się wrażeń na policję, synowi nie opowiada się o kochankach. A czemu się nie rozstałam? Czy ja wiem, bo chyba poza tym było mi z nim dobrze – Barbara odpowiedziała po krótkim zastanowieniu.

– Nie na tyle dobrze jednak, żeby rozstać się z tamtym mężczyzną – zauważyła komisarz.

– Może gdzieś z tyłu głowy się go bałam, dlatego chciałam mieć oparcie jeszcze w kimś innym. Marek mnie fascynował, ale też chwilami przerażał. –

Kobieta spojrzała na Zużę, jakby zastanawiała się, czy coś takiego jest możliwe, i jakby to w niej szukała upewnienia.

– Ale kiedy pod jego mieszkaniem na Jadwisinie zjawiliśmy się my, to już mogła pani założyć, że jej odczucia mają umocowanie. – Zuza jednak nie miała ochoty upewniać tej kobiety w niczym.

– Tak, ale od tego momentu wszystko toczyło się już bardzo szybko. On mnie zabrał z domu, wyszliśmy przez ten bunkier, potem mnie zostawił na ulicy, ale kazał obiecać, że nie zgłoszę się do was – tłumaczyła.

– I dotrzymała pani obietnicy. Na to jest paragraf, to już pani wie, zresztą sądzę, że wiedziała pani o tym też wcześniej. – Zuza nie miękła ani trochę, mimo że kobieta była coraz bliższa łez. – Po co pani tam pojechała i skąd wiedziała pani, gdzie w ogóle jechać?

– Tak, to, że wtedy nie zgłosiłam, to głupota, ale proszę mnie zrozumieć, chciałam najpierw sama to pojąć, dowiedzieć się, czy on rzeczywiście jest zły, czy może jest ścigany niesłusznie, i dlatego pojechałam. A skąd wiedziałam? Byłam tam z nim raz, wiedziałam, że to jedyne miejsce, gdzie może się schronić. – Barbara była naprawdę przekonująca.

– Kiedy tam dotarłam, nie odniosłam wrażenia, że idzie pani się z nim spotkać, raczej działała pani z przyczajenia. – Zuza wciąż nie do końca dawała się jednak przekonać.

– Szłam normalnie, ale jak zobaczyłam tego nagiego człowieka na podwórku, nie wiedziałam jeszcze wtedy, że to Zenon nawet... Przeraziłam się i dlatego się schowałam.

– I wtedy zjawiałam się ja. Pytanie, czy to dobrze, czy nie? – Zuza nie patrzyła na Barbarę.

– Jak pani może nawet tak mówić, przecież gdyby nie pani, oni by zginęli, ja pewno też. – Barbara wydawała się oburzona.

– Pani raczej by nie zginęła, zważywszy na to, że przecież on zamierzał ich zabić dla pani. Zaczynał od pani byłego męża dokładnie co do minuty w piętnaście

lat po tym, jak Karolina zjawiała się u was w domu po raz pierwszy. – Teraz Zuza spojrziała na Barbarę ponownie. – Dobrze, na dziś wystarczy. Mam prośbę, żeby na razie nie wyjeżdżała pani z miasta.

– Nie zamierzałam. – Kobieta uśmiechnęła się, choć uśmiech zaraz zniknął z jej twarzy. – Czyli jestem podejrzana?

– Tak, na razie podejrzana o ukrywanie osoby popełniającej przestępstwo. – Zuza pokiwała głową i wstała od stołu, dając kobiecie znać, że na dziś ich spotkanie się zakończyło.

Kiedy ta ruszyła już do wyjścia, zapytała ją jednak o coś jeszcze:

– Czy ma pani wiedzę albo chociaż podejrzenie co do tego, gdzie mógł się ukryć Pobludzki?

– Nie, ale teraz na pewno już bym tego nie zataiła. – Po raz pierwszy dziś Barbara powiedziała coś, w co Zuza w pełni jej uwierzyła.

Po jej wyjściu Zuza zastanawiała się chwilę jeszcze nad jej zachowaniem i nad tym też, że w jej przekonaniu to ta kobieta właśnie była *spiritus movens* całej intrygi. Zbyt dużo było zbiegów okoliczności i zbieżności w datach, owe piętnaście lat od momentu zjawienia się Karoliny w ich domu, późniejsza prawdopodobna data planowanej egzekucji Karoliny też nie była przypadkowa. Dokładnie rok i tydzień później, co Zuza wiedziała już od przyjaciółki, pani Poślednik przyłapała ich w domu na romansowaniu. Pytania były w zasadzie tylko dwa. Po pierwsze, dlaczego swoją wendetę Barbara Poślednik rozpoczęła akurat teraz, a nie na przykład w rocznicę bardziej okrągłą i dlaczego nie wcześniej? Drugie pytanie, może nawet poważniejsze, było o to, jak tak naprawdę i na podstawie jakich kryteriów na współdziałowca, a właściwie bardziej nawet na wykonawcę, upatrzyła sobie do tego Marka Pobludzkiego. Zuza wiedziała zatem, a w każdym razie przeczuwała, że pani Barbara powinna zostać doprowadzona przed sąd i skazana z paragrafu o sprawstwo kierownicze, tyle że miała również przecucie, iż pani Poślednik tak dobrze przygotowała się do sprawy, że udowodnić jej cokolwiek będzie nie sposób.

42. NAJCIEMNIEJ POD LATARNIĄ

Pobludzki tymczasem ukrył się właściwie pod latarnią.

Konkretnie miał latarnię tuż przed swoimi oknami w bloku przy ulicy Mołdawskiej 13. Latarnia ta przeszkadzała mu zresztą szczególnie w nocy, gdy obserwował blok po drugiej stronie szkolnego boiska oddzielającego ulicę Mołdawską od Jasielskiej. To tam na pierwszym piętrze, w niewielkim mieszkanku mieszkała Barbara Poślednik, którą do tej pory znał jako Julię Malicką i której udało mu się wmówić, że chodzili razem do klasy.

Nie chodzili. Teraz powoli wszystko wracało do jego pamięci. Poznali się w sklepie przy alei Krakowskiej, później była kawa i kino, potem spotykali się kilka razy w apartamentach wynajmowanych na godziny, a wkrótce zaczęły się w jego życiu, a właściwie w jego głowie dziać wszystkie te dziwne rzeczy. Dlaczego upatrzyła sobie akurat jego? W jej opowieści był element prawdy. Najlepiej zresztą kłamać się, kiedy bazy do kłamstwa używa się choćby zrębów prawdy. Rzeczywiście znali się z liceum. Ona była w klasie równoległej, on próbował ją wtedy bezskutecznie poderwać. Była jego pierwszą, dość szaloną miłością. Taka okoliczność okazała się pomocna w tym, by go zmanipulować. Ślad po takiej młodzięcej namiętności zawsze zostaje odcisnięty gdzieś głęboko w psychice, człowiek ma ogromny sentyment do tamtego czasu i tamtych okoliczności. Do tego odwołała się Barbara, a właściwie w tamtym czasie Julia. Marek pamiętał ją bardzo intensywnie, ona to wykorzystała najpierw, by go uwieść, a potem by kompletnie namieszać mu w głowie. Coś w nim, głęboko w środku, było od trzydziestu kilku lat gotowe zrobić dla niej wszystko. Dla niej sytuacja była

wymarzona, bo właśnie zrobienie tego wszystkiego było jej zamysłem. Cóż bowiem może być większym wyzwaniem dla człowieka od zabicia innej osoby, a właściwie nawet dwóch, które na domiar kompletnie nic mu nie zawiniły, więcej nawet, w ogóle ich wcześniej nie znał?

Teraz, po wynajęciu na te same lewe papiery, na które niegdyś nabył subaru, mieszkania vis-à-vis niej, od kilku dni właściwie dzień i noc ją obserwował. Chciał wiedzieć jak najwięcej o jej dziennych i nocnych zwyczajach i rytmach.

Przede wszystkim jednak chciał zobaczyć, teraz już na żywo, to, co wtedy zobaczył w swoim domu, czyli jej dziwny nocny rytuał, któremu, jak dziś przypuszczał, sam musiał kiedyś zostać poddany w okolicznościach, których nie pamiętał. Hipnoza albo jakiś rodzaj okultystycznego zamroczenia czy transu, wzmagane zapewne przez „środek homeopatyczny” na jego nawracające bóle głowy, którego posiadanie i proweniencja wcześniej kompletnie nie zaprzętały mu głowy. Uznał, że jest, bo jest, w ogóle nie zastanawiając się nad tym, skąd się wziął, bo prawdopodobnie to, że go brał, było fragmentem „wgranego” mu hipnotycznie przez Julię programu. Teraz wiedział już oczywiście doskonale, że sukcesywnie dostarczała mu go właśnie ona.

Od tamtego dnia, gdy prawie zabił ledwie mu znanego człowieka, do którego nic właściwie nie miał, środek poszedł w odstawkę i po dwutygodniowym okresie fatalnego samopoczucia i objawów odstawiennych świadomość, pamięć i poczucie tożsamości zaczęły powracać. Dziś upłynął miesiąc od tamtych wydarzeń, które – gdyby nie upór i interwencja policjantki, przyjaciółki Karoliny – zakończyłyby się tym, że dziś byłby już wielokrotnym zabójcą, który zrealizował plan krwawej zemsty jakiejś mocno powalanej czarownicy. Miesiąc upłynął w dzień, a teraz była noc. W oknach mieszkania w bloku po drugiej stronie szkolnego boiska widać było, jak w blasku świec półnaga kobieta odprawiała jakieś obrzędy, które mało przypominały te znane mu jako religijne, ale za to bardzo przypominały to, co zobaczył tamtej nocy i co teraz przeblyskiwało mu w pamięci z jakiejś jeszcze jednej, innej nocy, która zmieniła jego życie.

Dziś w nocy potwierdziło się to, czego wcześniej był właściwie pewien, ale co dla spokoju własnego sumienia potwierdzić musiał.

Na miejsce wezwał ich syn, który zastał mamę nieżywą na łóżku, kiedy wrócił z wyjazdu na weekend z przyjaciółmi. Obok łóżka leżały trzy opróżnione opakowania po klonazepamie i nieomal całkowicie wypita butelka białego wina mozelskiego. Na obu tych rzeczach kryminaliści ujawnili odciski palców, które później zostały zidentyfikowane jako odciski denatki. Już na miejscu na podstawie plam opadowych i zasinienia pod paznokciami patomorfolog określił moment śmierci na pomiędzy osiem a dwanaście godzin wcześniej.

Sąsiedzi odpytani o to, czy ktoś odwiedzał w tym czasie Barbarę Poślednik, zeznali, iż niczego takiego nie zauważyli, a przeważnie ruch na klatce schodowej nie umykał ich uwadze. Po pierwsze, drzwi do mieszkań były cienkie i nieuszczelne, po drugie, mieszkania były tak małe, że właściwie przez cały czas siedziało się przy samej klatce schodowej. Sąsiadka z naprzeciwka zeznała, że pani Poślednik wróciła do domu poprzedniego wieczora około dwudziestej i że była sama. Nikt nie dociekał, skąd to wiedziała, żeby jej nie zawstydzić, ale to, jak bardzo była o tym fakcie przekonana, świadczyło, iż prawdopodobnie widziała po prostu sytuację przez wizjer.

Później nikt już do mieszkania nie wchodził, a jeśli, to w każdym razie nie przez drzwi. Właśnie owo „nie przez drzwi” było kluczem do rozwiązania tej zagadki, której nikt jednak nigdy nie rozwiązał. Marek do mieszczącego się na pierwszym piętrze mieszkania śpiącej już w tym momencie snem kamiennym, bo podlanym sporą ilością mieszanki winno -barbituranowej, Barbary dostał się bowiem przez okno i oknem następnie je opuścił.

Zuza, stojąc trzy dni później przy zwłokach rozłożonych na kamiennym stole w sali zakładu medycyny sądowej, miała dość ambiwalentne odczucia. Oczywiście, gdyby pojawiło się cokolwiek, co wskazywałoby, że udział w śmierci Barbary miały jakieś osoby trzecie, przeprowadziłaby dochodzenie i ujawniłaby winnych.

Z drugiej strony bardzo nie chciała, aby owo cokolwiek się pojawiło, choć dzięki swojej policyjnej intuicji miała poczucie, że Barbara nie odeszła z tego świata sama.

– Nie ma żadnych śladów udziału kogokolwiek w tej śmierci. – Siwy i kościsty profesor Misiak, którego Zuza znała od lat lat, zapalił papierosa, czego absolutnie nie wolno było tu robić i co zawsze tu robił, a następnie paczkę podsunął Zuzie, która jak zwykle skorzystała, bo rzeczywiście trochę ciężko było tu bez tego.

Przez chwilę palili w milczeniu.

– Jedyne co, to że ta pani zabierała się z tego świata na raty – podjął w końcu wątek.

– Na raty? – Zuza popchnęła go ku dalszym rozważaniom, gdyż profesor zawiesił się już na nieco zbyt długo.

– Na raty. Najpierw wprowadziła razem z winem sporą dawkę, ale jeszcze do udźwignięcia przez organizm – zaczął, po czym podszedł do próbówki z wypreparowaną treścią żołądka, w której nadal widać było pływające resztki ogromnej liczby tabletek. – A dzieła dopełniła jakiś czas później, tym razem po prostu popijając tabletki winem.

– A te wcześniejsze? – zdziwiła się Zuza. – Mówił profesor, że też z winem.

– Te pierwsze nie tyle z winem, co w winie. Rozpuściła je sobie najpierw, może żeby nie czuć smaku, żeby nie mieć świadomości łykania tabletek – zasugerował.

– Pewno tak. – Zuza pokiwała głową i w tym momencie już na zawsze przestała się nad tym zastanawiać.

Szeroko zakrojone poszukiwania Marka Pobludzkiego nie przynosiły tymczasem oczekiwanych rezultatów.

Mężczyzna zapadł się pod ziemię, rozplynął się w niebycie. Tak przynajmniej uważała Zuza i reprezentowane przez nią organy ścigania. Inne zdanie miała na ten temat Karolina, która tydzień po powrocie do domu znalazła na wycieracze bukiet róż, butelkę wina mozelskiego, którym raczyli się w tamte pamiętne wieczory z Markiem, oraz kopertę.

W liście Pobludzki pisał o tym, że nie prosi jej nawet o wybaczenie, bo to nigdy nie może nastąpić, a co więcej on sam sobie też nigdy nie wybaczy tego, co zrobił, jakiegokolwiek byłyby okoliczności łagodzące, ale błaga ją jedynie o przyjęcie przeprosin.

Karolina zastanawiała się przez kilka dni, czy poinformować Zużę o tym zdarzeniu, lecz uznała w końcu, że to nie ma sensu, gdyż przyjaciółka nic z tego nie wyciągnie dla dalszego dochodzenia, ale za to prawdopodobnie bardzo się znów zdenerwuje albo wręcz przerazi.

Ona, choć jej psychika przeszła w ostatnim czasie niemało, nie denerwowała się aż tak bardzo, bo wiedziała, że ze strony tego mężczyzny nie grozi jej najmniejsze niebezpieczeństwo. Jeśli już, to bardziej bała się Barbary Poślednik, jednak ten lęk ustał, gdy dowiedziała się od Zuzy o jej samobójczej śmierci.

43. KAPITULACJA

Tego dnia w komendzie stołecznej odbywała się narada, po której główny poprosił Zuzę na spotkanie do swojego gabinetu.

– Zgłosiłem cię do odznaczenia – zaczął po tym, jak sekretarka postawiła przed nimi tacę z kawą i herbatnikami, a następnie wyszła z gabinetu.

– To miło. Za co? – Zuza się uśmiechnęła.

– Za uratowanie życia ludziom, w każdym razie jednemu człowiekowi na pewno. – On odwzajemnił uśmiech. – Swoją drogą twoja intuicja nigdy nie przestanie mnie zadziwiać.

– Intuicja to jakby trochę inny poziom inteligencji – zaproponowała.

– Czyli tego nie da się nauczyć. Z tym trzeba się urodzić i to na domiar z całą pewnością trzeba się urodzić tobą. – Pokręcił głową.

– Przesadzasz. – Machnęła lekceważąco ręką. Z tyłu głowy wiedziała doskonale, że ta sprawa wcale nie była pokazem jej policyjnych talentów i umiejętności. Wręcz przeciwnie: przez swoje emocjonalne zaangażowanie przynajmniej do pewnego momentu kompletnie ją zaważyła.

– Jest jeszcze jedna kwestia do omówienia – powiedział, a jednocześnie przestał się uśmiechać, więc od razu domyśliła się, że drugiego odznaczenia nie będzie.

– Wal – rzuciła zdecydowanie, patrząc na niego.

– Odbieram ci sprawę – oznajmił krótko.

– Sprawę?

– Sprawę poszukiwania tego Pobludzkiego.

– Bo?

– Bo traktujesz to zbyt osobiście i za bardzo cię to angażuje, a są inne sprawy, ważniejsze w tej chwili, i tam mi jest potrzebna bardziej twoja intuicja, więc...

– Ale...

– Nie przerywaj mi... Więc...

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi.

– Wejść!

Główny nie lubił, gdy musiał coś komuś długo tłumaczyć, nie znosił też, gdy podwładni mu się przeciwstawiali, a tu doskonale wiedział zawczasu, że komisarz Walicka łatwo się nie podda.

Drzwi się otworzyły i stanęła w nich sekretarka.

– Z dołu już drugi raz dyżurny dzwoni, że ktoś przyszedł do komisarz Walickiej...

– Niech poczeka.

– Ale... dyżurny mówi, że to ważne, ten ktoś ma coś wspólnego z tym Pobludzkim, czy jak mu tam, no z tym, co pani komisarz go szuka i...

– Pobludzkim – poprawił ją komendant.

Na chwilę zapanowało milczenie.

– Już mi pan odebrał sprawę czy mam jeszcze zejść? – Zuza przerwała ciszę.

Sekretarka nie miała więcej odwagi, by się odezwać.

– Idź! – Komendant pokręcił tylko głową. Był zły, tym bardziej że doskonale wiedział, iż nie ma ku temu powodu. – Sprawę odbieram ci od jutra.

Zuza wyszła bez słowa.

Na dół zeszła schodami, choć mogła windą, ale wtedy trwałoby to dłużej, a ona nie chciała dłużej, bo była jednak ciekawa. Już zbliżając się do kantorka dyżurnego, zorientowała się, że sprawa jest nieco bardziej skomplikowana, niż się spodziewała.

Przy wejściu kłębiło się kilku funkcjonariuszy, a gdzieś pośrodku między nimi stał zakuty w kajdanki poszukiwany europejskim nakazem sądowym i wszystkimi możliwymi listami gończymi Marek Pobludzki.

W sali przesłuchań panował półmrok. W normalnej sytuacji, gdy od podejrzanego chciano uzyskać jakieś wyjaśnienia albo wydobyć od niego przyznanie się do winy, światła było więcej, choć od dość dawna nie stosowano tu już żarówki świecącej prosto w oczy.

Przez chwilę Zuza i Marek siedzieli w milczeniu. On przypięty kajdankami do blatu stołu czekał cierpliwie, ona zastanawiała się, o co właściwie chce go zapytać.

– Dlaczego pan przyszedł? – zdecydowała się w końcu, ale w związku z wszystkim, co się wydarzyło, mimo że wcześniej byli na ty, intuicyjnie wybrała formę oficjalną.

– Żeby ponieść karę i żeby pani podziękować – odparł szybko, jakby doskonale wiedział, o co go zapyta, i z góry się przygotował, jednocześnie bez zdziwienia on też przeszedł na formę sztywniejszą.

– Podziękować za co?

– Za to, że uratowała pani życie tego człowieka i moje. – Kolejna reakcja nadeszła dopiero po dłuższym namyśle.

– Pańskie? – zdziwiła się Walicka.

– Czym jest życie człowieka, który zabił innego człowieka, tak naprawdę nic do niego nie mając? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Nie wiem, nigdy nikogo nie zabiłam.

– Piekłem... – Marek uśmiechnął się smutno. – Tak myślę, ale właśnie dzięki pani nadal na szczęście nie wiem tego na pewno.

Zuza pokiwała głową, chwilę znów milczeli.

– Jest pan zatrzymany pod zarzutem porwania, przetrzymywania, usiłowania zabójstwa i czynnej napaści na funkcjonariusza policji. – Zuza dopełniła formalności.

– Wiem. – Pokiwał głową. – Nie chcę się usprawiedliwiać, chcę ponieść karę, ale proszę przebadać to, co przyniosłem w tej fiołce.

– A co to jest?

– Sam jestem ciekaw. W każdym razie tę fiołkę i kilka poprzednich jako lek na ból głowy wręczyła mi pani Julia Malicka alias Barbara Poślednik. Lek zgodnie z jej zaleceniem stosowałem przez cztery miesiące codziennie, później odstawiłem go z niejakimi problemami. Dodatkowo załączam próbki mojej krwi, którą pobierałem sobie sam przez dwa tygodnie od odstawienia tego czegoś – wyjaśnił.

– Pani Poślednik nie żyje – powiedziała Zuza i trochę odruchowo spojrzała na niego.

– Nie wiedziałem, to bardzo przykre – odrzekł z kamienną twarzą.

– Nie jest pan ciekaw, jak zmarła? – zapytała.

– Nieszczególnie, jeśli mam być szczery. – Popatrzył na nią, a jego oczy nie kłamały.

44. WYROK

Substancja, którą do przebadania przekazał im Pobludzki, była mieszaniną barbituranów i naturalnych substancji halucynogennych. Biegły psychiatra stwierdził, że jej zażywanie mogło w znacznym stopniu ograniczyć poczytalność zażywającego, w tym wypadku podejrzanego Marka P., szczególnie jeśli równoległe był on poddawany manipulacjom natury hipnotycznej czy parapsychologicznej. Przebadanie próbek krwi dodatkowo wykazało, iż ilość substancji sukcesywnie się zmniejszała w ciągu dwóch tygodni od jej odstawienia. Krew jednoznacznie została potwierdzona jako krew podejrzanego Marka Pobludzkiego.

W toku dochodzenia ujawniono jeszcze, że znajdujące się w substancji czynniki nieżyjąca Barbara Poślednik na przestrzeni poprzedniego roku nabyła częściowo w sposób legalny, czyli na recepty, a częściowo z pomocą syna nielegalnie w dark necie. Syn zeznał, że zakupów dokonywał na prośbę matki, która nie wyjaśniła mu nigdy, do czego owe chemikalia będą jej potrzebne.

W związku z tym, że ponad wszelką wątpliwość trzech niezależnych psychiatrów stwierdziło, iż Marek Pobludzki działał w stanie niepoczytalności indukowanej podawanymi mu bez jego wiedzy lekami psychotropowymi i substancjami halucynogennymi oraz hipnozą, został uniewinniony od większości popełnionych przez niego czynów karalnych. Skazano go jedynie na trzy lata za to, że ukrywał się przed wymiarem sprawiedliwości przez miesiąc po tym, gdy nie był już pod

wpływem substancji, czyli stał się poczytalny, a jednocześnie przecież nie utracił pamięci swoich wcześniejszych czynów.

45. UNIEWINNIENIE

– Masz gościa. – Klawisz, który chwilę wcześniej odryglował stalowe drzwi celi, patrzył na niego bez szczególnej wrogości.

– Gościa? – zdziwił się Marek.

W więzieniu odwiedzał go czasem Roman, ale był niedawno, poza tym klawisze znali go już, więc nie był dla nich gościem, tylko po prostu Romanem.

– Cześć. – Karolina siedziała za przegrodą z pleksi, trzymając słuchawkę przy uchu, a jemu wydawała się jeszcze piękniejsza niż wtedy, gdy działo się to wszystko.

– Cześć. – Pokiwał głową, bojąc się popatrzeć jej w oczy.

– Przyszłam ci powiedzieć, że przyjął tamte przeprosiny. – Uśmiechnęła się delikatnie, ale on tego nie wiedział, bo nawet po tych słowach nie był w stanie na nią spojrzeć.

Po chwili przedłużającego się milczenia Karolina odłożyła słuchawkę, wstała z krzesła, popatrzyła na niego przeciągle i wyszła.

Na parkingu pod więzieniem czekał na nią samochód.

Komisarz Zuzanna Walicka przekręciła kluczyk w stacyjce i powoli ruszyła, wyjeżdżając z parkingu.

– Kocham cię – powiedziała nagle Karolina. – Żadnego mężczyzny nigdy tak nie pokocham.

Projekt okładki i stron tytułowych: Krzysztof Rychter

Fotografia na okładce: Magdalena Wasiczek | Trevillion

Wydawca serii: Adrian Tomczyk

Redaktorka prowadząca: Agata Ługowska

Redakcja: Ida Świerkocka

Korekta: Mirosław Ruszkiewicz, Mirosław Krzyszkowski

Projekt layoutu: Irena Jagocha

Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń jest przypadkowe.

© Copyright by Igor Brejdygant, MMXXIII

© Copyright for this edition by Społeczny Instytut Wydawniczy Znak sp. z o.o., MMXXIII

Wydanie I

Kraków MMXXIII

ISBN 978-83-240-6869-2

znak

Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl

Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Ossowska